Biblioteka Główna UMK Toruń
1243346
1243347
KLOCEK
Biblioteka Główna UMK
300049108548

Dr. Tripplin

WSPOMNIENIA
z
Ostatnich Podróży

1-2

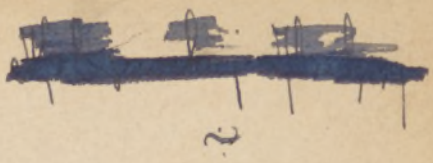

WSPOMNIENIA
z
OSTATNICH PODRÓŻY.

Teodor Tripplin
M.D.

1871309

WSPOMNIENIA
z
OSTATNICH PODRÓŻY

Dra Teodora Tripplina

TOM I.

Z portretem Autora.

MORZE CZARNE. WARNA. BOSFOR. KONSTANTYNOPOL. SKUTARI. MARMORA. DARDANELLE. TENEDOS. SMYRNA. EFES. CHIOS. SAMOS. KOS. RODOS. CYPER. BEIRUT. SIDON. TYR. AKRA. KARMEL. JAFFA. RAMLE. JEROZOLIMA.

WARSZAWA.
NAKŁADEM AUTORA
W Drukarni Alexandra Ginsa.
Nowozielna № 37 (1064 D).
1878.

91

Bibl. Publ. m.st. W-wy

Wymiana

DAR ze ZBIORÓW 3 MAJA 1946

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Августа 1877 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

1243346

W 53/15

ROZDZIAŁ I.

Do Azyi.

Na pienistych szczytach ciemnozielonych fal, raz wzniesieni wysoko, drugi raz pogrążeni głęboko pośród nurtów wody rozkołysanej ledwo co ucichłą burzą, słabym popychani wiatrem, posuwamy się naprzód, oddalamy się od brzegów, nie wiele dbając o to, w jakim popłyniemy kierunku...

Para nie dmucha, dym nie krztusi i białych nie wala żagli, zmęczone mewy najwygodniej, najbezpieczniej siadają sobie na przecznicach i spoglądają na nas głupio, lecz swobodnie. Delfinów zawsze kilkoro za nami, raz zaświecą grzbietem i nurka dają, potrząsając płytwami i ogonem po nad falą, jak gdyby nas wyzywać chcieli na figle i znów się ukazując, wskakują całem ciałem po nad powierzchnią fali i rozwijają wszystkie płytwy jak skrzydlate stworzenia. Pysk mają obszerny i dosłownie żyją z tego co im weń wpadnie; wygodny sposób żywienia się; wszak i nietoperze nie robią inaczej. A jak burze miną, to poszczą i nocują w głębi morza, a tam padają ofiarą rekinów gruntowych, szukających pożywienia. Wszystko to potrzebne, aby natura szła takim, jakim się przyzwyczaiła chodzić, biegiem; rekiny zaś na to potrzebne, żeby ich skórą politurować meble. Wszystko przewidziała natura.

Od dawna pragnąłem płynąć znów bez trzaskającej maszyneryi, bez swędu i dymu, tak jak kiedyś płynąłem po Baltyku, Sundzie i północnym Oceanie, nie dbając o to kiedy przybędę, nie dbając nawet o to, gdzie

przybędę. Pierwszych mych podróży uroki otoczyły znów duszę moją stęsknioną, już nie do ojczyzny ciała mojego, lecz raczej ducha Tego, dla którego pamięci zniosłem tyle upokorzeń i krzywd podczas lat wielu w ciągłej pracy i bezustannym mozole.

Nie uniosłem z sobą nic prócz pewności, że żadne zadane mi przez ziomków krzywdy nie zdołają mnie pobudzić do gniewu ani do żadnych nienawistnych uczuć względem tych, co sprzedają swe przekonania i pióra spekulantom...

Gniew mój jest uroczystą, świętą rzeczą, nie wywieram go na owych politowania godnych pigmejczykach, którzy żyją z przedawania sumienia swojego, czyli raczej swych sumień, bo co lat kilka odrasta im inne, jak rakom nogi.

Okręt którym płynąłem, był to statek przewozowy, dalmacki, „Zadar“, idący do Konstantynopola. Powierzyłem się kaprysom powietrza, a nie, ujętej już w moc ludzką, parze. Każda podróż odbywana wygodnie ze stereotypowemi ludźmi, wydawała mi się tuzinkową i dawnych mych wrażeń z podróży mało godną.

Z kapitanem tego statku, poczciwym, niemłodym już Dalmatą, zawarłem piśmienny kontrakt, na mocy którego płaciłem mu codziennie pięć franków za pomieszczenie i łóżko w jego kajucie, za dwa funty chleba, za dwie kwarty wody i za pół kwarty wina zwyczajnego, nie złego czerwonego; żywić się zaś postanowiłem wiktuałami zakupionemi w Galaczu, zwłaszcza owym sławnym extraktem mięsnym profesora Liebiga, którego skuteczność przedsięwziąłem sprawdzić sam na sobie, z resztą zabrałem z sobą dobrej kawy, herbaty, czekolady, cukru, ziemniaków, oliwy, masła, soli i pieprzu poddostatkiem, i w dobre wszedłem stosunki z kucharzem, od którego dobrej woli zależało ugotowanie moich żywności. Zrzekłem się tedy na całą podróż mięsa, lecz nie ryb, gdyby ich łowiono na drodze, co być mogło.— Kontrakt piśmienny zawarłem z kapitanem w przytomności konsula austryackiego w Galaczu i za jego rękojmią i za pierwsze sześć dni podróży złożyłem kapitanowi trzydzieści franków, które przepadały, gdyby tylko trzy dni lub nawet dzień jeden podróż moja trwała.

Nie jedynym byłem pasażerem na „Zadra“. Rodzina izraelitów z Czernichowa, złożona ze starego teścia, z męża i z żony trzydzieści lat mającej, zamieszkała na dolnym pomoście i, dążąc ku Jerozolimie, puściła się tą okazyą do Konstantynopola: wszyscy troje razem płacili kapitanowi także tylko pięć franków i utyskiwali że to strasznie drogo, żalili się na biedę, chociaż kilka pak towarowych mieli z sobą, zaręczali że jadą tylko do Jerozolimy, by tam umrzeć w ojczyznie przodków. Ciągle się z wielką gorliwością modlili, głębokich cierpień ślady na ich twarzach wyryte były, zwłaszcza na twarzy żydówki, która kiedyś musiała być nadzwyczaj piękną. Przemawiali do mnie zawsze po niemiecku i za niemca mnie poczytali, a że pomimo tego nigdy o Polakach źle nie mówili, lecz zawsze sławili dobroć ich serca i szlachetność, więc mnie tem naturalnie bardzo ujęli, i tyle im świadczyłem, ile tylko prawdziwy chrześcijanin może świadczyć bliźnim, tak widocznie i tak głęboko cierpiącym. Kto tyle cierpiał ile ja, zwłaszcza w ostatnich czasach, ten wie ile dolegają boleści, i ten się ulituje nawet nad cierpieniami najokrutniejszego wroga, a w tych ludziach, tęskniących tak szczerze do ojczyzny przodków, pragnących złożyć obolałe kości w ziemi i dla mnie świętej, widziałem tylko braci.

Zaraz w dwie godziny po wpłynięciu na morze Czarne, z Suliny, z ujścia Dunaju zerwała się odrazowym prawie uraganem, ciężka burza od zachodu północnego i prawie nas trafiła nieprzygotowanych na tę katastrofę: jeden z mniejszych wyższych żagli papugowych został porwany w kawałki i fale myły pokład białą pianą, przewalając i zrzucając w odmęt chłonący wszystko, co nie było mocno przymocowane. Niebo kirem się pokryło grubym i tak zasłoniło słońce, że o godzinie trzeciej po południu w końcu Czerwca nastąpiła ciemność pomrokowa, czytać niedozwalająca. Świst, ryk, grom, huk i błyskawice, prawie nieustające, przestraszały najstarszych majtków i nasz kapitan, umiejący na swej twarzy, tak jak każdy prawie sławianin, hamować wzruszeń objawy, zadrżał pomimowolnie razy kilka i kilkakrotnie się przeżegnał, naprzód po kryjomu, potem z całą solennością i oczywiście, tak jak gdyby tym uroczystym

aktem chciał okazać Niebu, że tu już jego własna nie wystarcza ani sztuka, ani odwaga i bez uchybienia samemu sobie może uznać, że tylko z łaski Stwórcy przyjść może ocalenie. Trzeszczał też czasem i jęczał we wszystkich swych szczelinach statek, lubo nowy i wybornie zbudowany, a ster groził pęknięciem, lubo prosto za sobą miał wiatr i fale się krajały rdzennie na krawędzi mocnych grubych tarcic, z których wroto było spojone.

— Daléj do budy, daléj do budy, panie Doktorze, albo się ukórz przed Wielkością Pana Boga znakiem krzyża świętego, krzyknął do mnie kapitan, grożąc pięścią.

Dałem mu ten dowód pokory, przyznam się tu szczerze, gdyż w takim razie opór lub upór były, zdaje mi się, niedorzecznem junactwem.

Nie wiele jednakże to pomagało, gdyż prawie w tejże samej chwili, ze dwieście, przynajmniej dwudziestocztero-funtówek zadrżało na zenicie tuż nad naszemi głowami i pociski padły na pokład w kształcie kul lodowatych wielkości kartacza i zatętniały na pokładzie piekielnym werblem, i taką massą lodu go przywaliły, że statkowi zagrażały zanurzeniem; prawie na pół stopy twardego lodu mieliśmy za minut kilka z tyłu okrętu, wynoszonego falą, a, na przedzie z półtory; coraz więcej się też chylił okręt: wzięto się natychmiast do rozbijania balustrady siekierami by się dać stulić złowieszczym kulom, a dwóch majtków tak ciężkie kontuzye odebrało w głowę i twarz temi twardemi piłkami, że się całkiem krwią obleli i spore czerwone ślady na białem tle pokładu pozostały. Szczęściem że ta kanonada trwała tylko minut kilka, byłaby się niezawodnie skończyła zagładą nas wszystkich, to rzecz oczywista i tak zaręczał kapitan, który dopiero po raz drugi w życiu był świadkiem podobnego zjawiska i sam uderzony w kark gradem doświadczył bólu mocnego, wymagającego arniki i kamfory.

Straszna ta burza trwała ze wszystkiem godzinę przeszło przy pędzie szalonym wichru w stronę południa. Z pędem wiatru i my także zdążać musieliśmy, lecz statek miał pierś szeroką, okrągłą jak gęś olbrzymia i wcale nie był stawianym na szybkość, to nas pocieszało, że prędko biedz nie możemy pomimo gwałtowności wiatru, i że nie utkniemy na lądzie jeszcze odległym. Grad

ten kolosalny, który jak się później dowiedzieliśmy, pogrążył w głębi kilka okrętów i przeszedł aż na stały ląd w Azyi w okolicy Trebizondy, niesłychane tam wyrządził szkody w porcie i na okolicznym lądzie, niszcząc okręty i domy, zwalając minarety i drzewa, niszcząc ogrody i pola na odległość, mil, z okładem, dwudziestu.

Biedna żydówka o mało co nie skonała, czerwona, oczywiście arterjalna, krew jej się rzuciła ustami razem z womitami; lecz Bóg raczył dla niej zesłać chojną rękę najskuteczniejsze lekarstwo, to jest, lód. Polykając małe jego cząsteczki, doznała prawie natychmiastowej ulgi, lecz skutki tego przerwania arteryjki potrwają zapewnie na zawsze i skrócą jej życie — to niezawodne. Kaszel musiałem stłumić silnemi opiatami, które ją aż w narkozę wprawiły.

— Chętniebym umarła, lecz w Jerozolimie – tyle się na to cieszyłam, — zaręczała żydówka. Wierzyłem tych słów całkowitej szczerości, cierpienia bowiem pochodzące ze szlachetnego źródła, uzacniają serca ludzkie i są w stanie robić nawet z fanatycznej bukowińskiej żydówki szczerą chrześcijankę, doprowadzając pomimowolnie do uznania wyższych prawd i wyższych uczuć. Miałem miesięcy kilka potem sposobność przekonać się, że te uczucia nie były kłamane i żem się nie mylił, wierząc w mimowolną chrystianizacyę żydówki, żony i córek belferów chassydowskich czyli tak zwanych chajderów, uczących w pokątnych szkołach fanatyzmu i nieubłaganej nienawiści przeciw chrześcijanom.

Nieraz i w Jerozolimie będziemy mieli do czynienia z temi fanatykami judaizmu, z temi prawdziwemi ultramontanami żydowszczyzny, warto zatem obznajmić się z oryginalnością tych niebezpiecznych zasad, szkodliwych rozumowi i uczciwości. Chassydim znaczy właściwie pobożny w języku hebrajskim. Takiemi się mieni być pewna sekta pietystów żydowskich, powstała w połowie XVIII stulecia w Polsce i która ztąd się rozrasta, jako jadowite grzyby na całą Rossyą, Węgry, Rumunię i na wschód nawet azyatycki. Niejaki Izraël z Podola zwany Baal-Szem-Tobim wystąpił około roku 1740 w Galicyi, jako święty taumaturga, to jest cudotwórca i zgromadził około siebie liczne grono zwolenników, którzy

się sami nazwali pobożnemi, to jest chassydami, i zajęli się wykładaniem jaknajmistyczniejszem i jaknajniedorzeczniejszem starego testamentu i talmudu. Ale w tem absurdum mistycznem jest jakiś systemat dziwaczny i przyciągający, dla tego się podoba i wydaje być prawdopodobnym głupszej części ludzkości; otóż mamy i tu *credo quia absurdum est*. Sam siebie ten reformator cudotwórczy, znający się na figlach kuglarskich, a nawet na elektryczności i magnetyzmie nazwał *Cadykiem* to jest *vice-bogiem*, ubierał się w jedwabne, całkiem białe, suknie i zawsze był otoczony, gdy się raczył okazywać płacącym za to, licznym dworem gabbajów, to jest sekretarzy i szamaszymów, to jest posługaczy. Zawsze zaś czytał modrą księgę Sohar, obejmującą kabalistykę żydowską i pisaną w języku chaldyjskim a drukowaną po raz pierwszy w Mantui w r. 1560, później nawet w Lublinie. Nie jedną rzecz nową postanowił ów vice-bóg żydowski, uwolnił swych zwolenników od ascetycznych ćwiczeń sfanatyzowanych talmudystów, nakazał nawet pewne wesołe zabawy dla podniesienia ducha. Istotnie od tego czasu widujemy w wielu miejscach maskarady żydowskie, dziwnie śmieszne, bo wykonywane przez ludzi, którzy prawdziwej radości i wesołości, szczerego napadu dowcipkowego dla tego nie doznają, że zawsze o pieniądzach myślą, nim ich nie posiędą i że się je stracić obawiają, gdy je posiadają. Chłop polski weselszy gdy ma kwaterkę wódki w żołądku, niż żyd, gdy ma kwartę dukatów w kieszeni.

Cadyk Chassydymów, to jest ów vice-bóg żydów chassydowskich przesiaduje prawie zawsze w Galicyi wschodniej w jakiemś małem miasteczku, do którego ze wszech stron pielgrzymują chassydzi, jedni aby go tylko oglądać, inni aby osiągać jego rad religijnych, prawnych i lekarskich. Nikt jednakże nie przystąpi bez opłacenia się służącym. Posada takiego vice-boga, jest jeszcze monarchiczniejsza od posady papieża, gdyż jest dynastyczną, to jest przechodzi z ojca na syna, w braku zaś potomstwa płci męzkiej, przechodzi na jednego z adeptów, przez samego Cadyka jeszcze za życia mianowanego. Wszystko to dzieje się jeszcze w obecnym czasie i trwa po dziś dzień, razem z tysiącem innych oburzających dziwactw, w jednych lub drugich częściach naszej

dawnéj Polski. To mi opowiedzieli na Czarnym morzu mąż i ojciec téj szczerze religijnéj biednéj żydówki, którą starałem się z taką usilnością uratować od śmierci.

Burza minęła, wiatr ustał prawie całkiem, lecz statkiem kierować nie mogliśmy, musieliśmy się dać popychać rozkiełznanym falom w tę stronę, w którą biegły, to jest w stronę południowo-zachodnią; jeśli tak potrwa z dzień, a wiatr się nie wzniesie, to utkniemy jednakże gdzieś na brzegu Anatolii, może nieopodal od Synopy. Mniejsza o to, nikt mnie nigdzie nie czeka, nikogo i niczego się nie boję, tu mam na okręcie praktykę, więc medycyny nie zaniedbuję, z głodu nie umrę dzięki ekstraktowi Liebiga, którym także żywię panią Silberbaum z niemałym dla jéj zdrowia skutkiem.

Już się nawet zupełnie wypogodziło i mewy nas opuściły, lecz fala trwa ciągle bardzo silna i żaden wiatr się nie zrywa. Ustał prawie nagle i zupełnie.

Panowie Silberbaum byli istotnie uczonemi ludźmi, lubo mniéj wierzyli w historyę spisaną w starym testamencie, niż w kabałę, to jest w owe ustne i tajemne podania przekazane przez Mojżesza Jozuemu, a przez tegoż siedemdziesięciu starszym powierzone. Kabała znaczy w języku hebrajskim to samo, co Mazora w chaldejskim, to jest podanie tajemne. A zatem Mojżesz nie wszystko spisał w biblii, czego się nauczył i co przeczuł genialnym duchem, essencyę wiedzy zachował tylko dla jednego człowieka, którego godnym przyjaźni swéj uważał.—Kabała początkowo zajmowała się tylko kwestyami, odnoszącemi się do Boga i do stworzenia świata i dopiero późniéj, aż w dwunastym roku w zakres jéj weszła egzegeza i moralność i takim sposobem stała się dla wielu strasznie uczonych żydów mistyczną filozofią religii. Liczne, w tym duchu napisane, dzieła, objaśniły tajemne znaczenie pisma świętego i jego wykładów, oraz ducha praw. Inne jeszcze więcéj posunięte, dla mnie najzupełniéj niedorzeczne, dla mistyków nadzwyczaj ważne, uczyły robienia cudów za pomocą użycia boskich imion i świętych zdań. Ztąd wzięły początek owe mistyczne słowa, jak Abrakadabra, Żoruim-Bimmała i inne podobne, powtarzane Bóg wie czemu przez Chassydystów. Przeciwnikami kabały są jednakże Talmudyści,

to jest Izraelici wierzący w inne podania, także niby od Mojżesza pochodzące a zebrane przez Rabiba Jehudę (Jada Rabi) sto pięćdziesiąt lat po Chrystusie. Obu zaś przeczą Karaimi to jest prawowierni Izraelici, którzy, zarzucając wszystkie badania, trzymają się niewolniczo starego testamentu, tak jak się protestanci ściśle trzymają nowego.

To przyznać musimy, że Karaimi są niezawodnie najuczciwszemi wyznawcami starego zakonu.

Czemu wytaczamy te pytania cokolwiek drażliwe, może nawet trochę swędzące przed sąd publiczności? Dowiemy się o tem w Jerozolimie, tym czasem musimy tylko nadmienić, że nas pan baron Weltreibski nie mało zabawił, gdy w Izbie deputowanych w Wiedniu, której jest członkiem, oświadczył bez żadnéj najmniejszéj ogródki: Jedes Land hat solche Juden, wie es verdient zu haben, Polen aber hat die schlechtesten" — „każdy kraj ma takich żydów na jakich zasługuje, Polska zaś ma najgorszych". U nas żydzi powinni być najlepszemi, nigdzie bowiem tak dobrze przyjętemi nie byli, nigdzie się tak nie rozmnożyli i nigdzie nie posiedli tyle zyskownych i łatwych żywiołów życia. Czyż zresztą pan Weltreibski uważa żydów za konieczną plagę każdego narodu? Dalibóg pan baron jest tyle zabawnym ile enigmatycznym deputowanym i nie wiem czy zasługuje na order siedmioramiennego lichtarza, który ma być ustanowionym przez króla Rotschild et comp.

Teraz korzystając z ciszy przymuszającéj nas do bezczynności, dajmy się uspokoić falom, które raz, głęboko wzruszone, jeszcze zawsze dążą ku południowemu wschodowi i przejdźmy z obozu Izraela do obozu naszych najpołudniowszych pobratymców, Dalmatów, których język, dla naszego ucha wdzięczny, swojski, wymawiany jakimś akcentem do włoskiego podobnym, wabi nas i czaruje.

Owi synowie sławiańszczyzny, w których kraju kwitną i dobry owoc noszą pomarańcze i cytryny, a czyste, ogniste wytłacza się wino, sympatycznem na mnie spozierają okiem, wiedzą że jestem ich bratem, chociaż zrodzony na północy, gdzie tylko dzielne jabłka i gruszki dojrzewają i gdzie jęczmień z chmielem bratać

się musi króla Gambryna sztuką, by wydać produkt orzeźwiający, który zastępuje ojca Noego czerwony, wesołą myśl budzący, wyskoczek. Sami odgadli, że jestem ich bratem i powiedzieli mi wręcz: „nie możesz ty panie być ani niemcem, ani włochem, kiedy się tak ujmujesz za każdym cierpiącym i z nim się dzielisz tem, co masz najlepszego“. Dalibóg tak sami powiedzieli, wyciągając śmiało ku mnie dłonie grube, spracowane, brudne, pewni że ich nie odtrącę ręką moją, która do rękawiczek przywykła.

— Tak dzieci, odgadliście, jestem bratem waszym, urodzonym i wychowanym nad Prosną, tam gdzie żyją ludzie, w sercach których wszystkie się płodzą dobre uczucia i których język zawsze powie, co się w sercu dzieje, a że wszyscy ci Dalmaci rozumieją i mówią po włosku i że tak łatwo być patetycznym w tym języku, więc rzekłem:

— Si, sono Slavo!

Jeden z nich, sternik, wiedział co to znaczy Vistula, Varsavia, *Cosciusko*, bo kiedyś się uczył w szkołach, nim go Austryjacy do służby morskiéj wzięli za jakiś objaw patryotyczny.

Dalmaci nie mają powodu cieszenia się ze swego położenia politycznego. Kraj ich stanowi długą, wązką przestrzeń na wschodnich brzegach Adryatyku, podzieloną na trzy części posiadłościami tureckiemi, wkraczającemi weń dwoma niewygodnemi klinami, przecinającemi królestwo dalmackie aż do morza. Można sobie wystawić, jak to ciągłe przekraczanie tureckich granic utrudnia kommunikacye. W roku 1861 Garibaldi, widząc usposobienie Dalmatów, obiecał przyjść im w pomoc zaraz po oswobodzeniu Neapola, lecz dokonawszy ostatniego dzieła z sumiennością i za pomocą przyjaciół swych sławiańskich—darował królestwo neapolitańskie królowi włoskiemu, złożył dowództwo wojskowe i cofnął się na wyspę Kaprerę, by tam hodować bób i kartofle i rozmnażać osły i kozy. Dalmaci gotowi do powstania, osiedli na koszu; sławianie zaś, którzy pomagali włochom, rozproszyli się i poszli walczyć i umierać w różnych kątach świata, w Ameryce—nawet w Australii.

W roku 1866 Dalmaci przekonali się naocznie, że Austrya, jakąkolwiek jest, nie da się zwalczyć samym tylko Włochom, że na to trzeba silnego ramienia pruskiego i intryg samologicznych pseudo-napoleońskich. Z resztą Austrya musiała zwolnieć i poudzielać hojne autonomie: od lat kilku inne nastały niedogodności z powodu blizkiéj Hercegowiny, Bośnii i Czarnogóry. Sławianie wszyscy myślą o owéj wielkiéj przyszłości, która im się należy.

Ogół Dalmatów jest rzymsko-katolicki, szczerze do swéj religii przywiązany, lecz jezuitom nie da wkraczać w interesa familijne tak jak owe kliny tureckie wkraczają w ich kraj,—woleliby może widzieć u siebie księży żonatych, tak jak było kiedyś i jak przystoi by był człowiek, nieodróżniający się od innego ogromnemi wyjątkowemi, danemi jednemu na miljon cnotami. Klimat czysty i zdrowy, w zimie nawet tak łagodny, że opału nie trzeba,—ziemia w wielu miejscach nadzwyczaj żyzna, sprzyja wegetacyi, to też nie braknie oliwy, wina, pomarańcz, cytryn, fig, orzechów włoskich, tytoniu, a nawet drzew lukrecyowych, morwowych, szafranu. Ryb co niemiara, zwłaszcza serdeli i makreli,—raków i ostryg, również kopalnie wydają żelazo, asfalt, węgiel kamienny, gips, wapno, piaskowiec, margiel; utrzymują z pewnością, że i miedź by się w ich łonie znalazła. Na pół miliona chrześcian, jest tylko 350 starozakonnych i to rytu portugalskiego, bardzo chędogiego, wypada tedy jeden na 1478 chrześcian. Szczęśliwy kraj,—tam łatwiéj żyć chrześcianinowi! by tak u nas było!—Klasztorów jest jednakże jeszcze u nich 68, i mnichy wałęsają się po kraju z kwestą—to szkoda, bo ludu wiejskiego rozum, kieszeń i moralność cierpią na tem; może nawet zdrowie... Tak przynajmniéj utrzymuje sternik, świadomy rzeczy człowiek, który był wszędzie i na morzu i na lądzie, i zna tak dobrze mnichów, jak bonzów, fakirów, derwiszów i psyllów. Przecież sami księża mówią, że gdzie ich mniéj, tam więcéj jest prawdziwie powołanych i wybranych.

Było mi bardzo dobrze z temi ludźmi, kapitan nie dał mi żyć moim extraktem Liebiga, musiałem obiadować z nim i z sternikiem, a miał kilkanaście butelek dobrego pieczętowanego wina, mogącego iść w porównanie

z Falernem. Wkrótce też uspokoiły się fale i mogliśmy łowić sztokfisze i dorady,—ku południowi już się ukazywał ląd Anatolii; mniejsza o to, wiatr się zerwie jak będzie koniecznie potrzebnym i ruszymy dalej, wyłowiwszy wszystkie ryby, jakie się schwytać pozwolą. Tym czasem z resztek ryb robimy dwa spore w siatce zawarte zrazy, ukrywamy w nich hak i przymocowawszy do lin, wrzucamy je do morza, by złowić rekina, co nam się też udało. Był on zdrów i młody i jakoś mu z pyska wyglądało, że to poczciwiec, który się mięsem ludzkim jeszcze nigdy nie karmił. Wątrobę miał wyborną, która jeszcze ciepło włożona w wino białe słodkie, wzdęła się, spólchniała i potem, duszona w maśle, w wyborny obróciła się pokarm. Pani Silberbaum zaręczyła mnie, że tak smacznej wątróbki gęsiej w życiu swojem nie jadła, lubo przecież zna się na tem i rok rocznie dwanaście gęsi własną ręką tuczyła. Żarłocznego drapieżnego psa morskiego wzięła za cnotliwą, Kapitol bronić umiejącą bohaterkę, — ależ się często bierze wilka, kiedy czarną maskę na się włoży, za baranka.

Cisza trwała nawet podczas nocy, co się bardzo rzadko zdarza na morzu Czarnem, gdzie krążą wiatry różnorodne, prądowe i górskie i aż z głębi Syberyi przez tatarskie puszcze i stepy przybywają zimne powiewy. Mogliśmy za pomocą zarzewia łowić ryby, bośmy się znajdowali nad niezbyt głębokim gruntem, lecz obfitą zdobycz nie była. Dopiero z rana zerwały się wiatry z syberyjskiej strony i niemi krzyżując zdołaliśmy się oddalić od brzegu, grożącego nam śmiercią na piaskach. Wiatr skierował się nareszcie więcej na północ i teraz chwytając go ukosem w sporządzone żagle, skierowaliśmy się ku Bosforowi, w tę cieśninę tak uroczą, tak niebezpieczną i historyczną, która wiedzie w złoty róg i do morza Marmara. Jutro, jeśli ten wiatr dotrwa, będziemy przy wejściu cieśniny, a jeśli nie będziemy, — to mniejsza o to: na mnie już nie czekają ani chorzy, ani uczniowie, ani redaktorzy, ani drukarze,— tu na statku „Zadar“ cały mój makro i mikrokosmus. Kwestja pieniężna także nie utrudnia położenia mojego, kapitan bowiem uroczyście mi oświadczył, że nie przyjmie odemnie żadnej nadpłaty, nawet gdyby podróż moja przeciągnąć się miała do

dni piętnastu i że codziennie butelka pieczętowanego jest na moje rozkazy. Tylko recept musiałem mu napisać ze dwadzieścia na wszystkie możliwe wypadki i to wszystko z objaśnieniami spisanemi po włosku. Codziennie prosił o jakąś nową receptę przeciw rzadziej wydarzającym się chorobom i przypadłościom, a te recepty chował z największym staraniem i w najlepszym porządku; szczerze dobry Dalmat wierzył w wiedzę moją, dla tego żem tę biedną żydówkę, która istotnie już ducha wyziewała, ocalił, czyli raczej, żem jej życie przedłużył.

Austrya wydzielała bardzo skąpą ręką poddanym swym światło, mianowicie już Sławianom pod jej berłem zostającym; dla tych oświecenie było uważanem po prostu za rzecz szkodliwą nie zgadzającą się ani z polityką całego kraju, złożonego z tylu narodowości, ani też nawet z przyrodą sławianina, którego oświecenie odwodzi od rolnictwa i od pracy ręcznej, ciężkiej, do której, według najuczeńszego zdania niemców, czy nieoświeconych czy oświeconych, sławianin jedynie, dzięki właściwej swojej przyrodzie, przeznaczonym jest. Tak rozumuje niemiec od bardzo pewnego czasu, tak rozumował i prusak nawet kilka lat temu, kiedy jeszcze był hołdownikiem innego państwa mocniejszego, kiedy wypełniał jaknajpokorniej, częstokroć nawet jaknajnieubłaganiej jego rozkazy. Tak jest,—dziś jeszcze Sławianie są uważani przez niemieckich *kulturtregierów* (to jest rozkrzewicieli światła), za barbarzyńców, należących do rasy wcale niezdolnej do przyjęcia wyższej cywilizacyi: ona byłaby dla Sławian szkodliwą. Słowem, tak Niemcy rozumują o Sławianach, jak niegdyś Izraelici mienili się jedynym uprzywilejowanym przez Jechowę ludem, rozumowali o reszcie, o Egipcyanach, Chaldejczykach, Grekach i Rzymianach. Bodajby ich podobna za to spotkała kara; kto pychą grzeszy, ten strasznie przeciw Bogu i ludziom przewinił.

Bój pomiędzy sławiańszczyzną, a germanizmem trwa od bardzo dawnego czasu i trwa dotychczas. Brutalskiemi sposobami już się nie wytępiają Sławianie, ale się wytępia bardzo chyżo sławianizm. W wiekach średnich wyganiano ich z własnych siedzib, sprzedawano ich żony i dzieci, jako niewolników, tak jak Muzułmanin

jeszcze sprzedaje; wyrzynano im nawet po prostu języki, aby nie mogli przemawiać macierzystą mową, tak dla niemca nienawistną, może dla tego, że pomimo swéj mniemanéj wyższości talentu nie zdoła się jéj nauczyć żadnym sposobem. Czego niewyrabiał krzyżyk teutoński z Sławianami baltyckiemi, nimich wytępił do nogi! a wszystko to czynił pod chasłem rozkrzewiania chrystyanizmu, ale nie tego ewangielicznego, tylko owego zagórskiego, o którym z taką zgrozą mówi św. Jan w Apokalipsie, gdyż on przewidział, że strasznie duży i jadowity grzyb urośnie na owych śmieciach.

Dzisiaj toczy się ta walka bardzo rączo pod mianem kultury, to jest oświaty, pod względem materyalnym, aby zubożyć wszystkich i niemniej pod względem moralnym.

Uznali wprawdzie i Niemcy urzędownie, że państwa już się nie mogą obejść bez mniejszego lub większego udziału swoich obywateli w rządzie i wskutek tego Niemcy narzucają Sławianom taką formę organiczną, jaka mniéj licznemu żywiołowi niemieckiemu daje oczywistą niezaprzeczalną przewagę; i tak naprzykład pozwala się Niemcom zakładać rozmaite stowarzyszenia, zwoływać posiedzenia, wydawać czasopisma, lecz Sławianom utrudnia się pod różnemi bezwstydnie oczywistemi pozorami jedno, drugie i trzecie, tak że trudno przychodzi sławianinowi uzdolnić się do życia publicznego wymową i pismem, tak że im jeszcze trudniéj przychodzi wykazać się z cnotami pod względem których, trzeba im koniecznie przyznać, wyższymi są od swych Kaimowych współbraci i skutkiem czego wytwarza się w nich koniecznie *proletariat*, ów stan bardzo przykry pod względem nietylko materjalnym lecz i moralnym,— ów stan z którego, z biegiem czasu, wyrodzić się musi dążność do kommunizmu, to jest niebezpieczeństwo dla, państwa, religii i dla tronu.

— Kto zna Niemców, chociaż cokolwiek, — mówił mi kapitan Jakób Mirowitz—ten odrazu przyzna, że łatwiéj im być ojczymami niż ojcami, łatwiéj Kaimami niż Ablami, mają w naturze swéj pewne sobkostwo, które ciągle i zawsze czuwa nad ich lepszą naturą, wywierającą się czasami siłą pomimowolną nawet w egoiście

i sami się obawiają tych ruchów szlachetniejszych, pilnują ich jako szkodliwości, zwłaszcza kiedy są w styczności z nami, sławianami.

Z tego się przekonywamy, że to samo się dzieje na brzegach Adryatyku, co się dzieje na brzegach Baltyku, Preglu, Odry i Warty, i to się dzieje z taką bezogródkową, bezwzględną, bezwstydną oczywistością, jak gdyby już niebyło ani w Europie, ani w świecie żadnego narodu sławiańskiego, cieszącego się niepodległym bytem politycznym, cieszącego się samosilną potęgą,—a milczą wszyscy, skoro niemiec zarozumiały wykrzykuje publicznie i officyalnie: „do nas należą ujścia rzek, których posiadamy źródła! do nas źródła rzek, których posiadamy ujścia! do nas więc panowanie nad największą częścią Europy, do nas nawet należy druga hemisfera, którą cywilizujemy naszą pracą, nauką, naszą krwią“. Myśmy naród szlachetny, postępowy, światłonośny! Bóg nas obdarzył włosem jak promienie słońca jaśniejącym, czołem obróconem ku gwiazdom, obliczem, na którem Bóg wycisnął piętno wyższości swojéj!

Tak się zubóstwili Niemcy, o których my najlepiéj wiemy, do jakiego stopnia potrafią być *pachołkami* przemocy,—*tirapiedami* jak ich nazywają Włosi, okrutnikami jak ich zowią Francuzi.

Długoż jeszcze niemiec wykrzykiwać będzie: slavus saltans et cantans in vinculis atque in catenis de jure proprietatis nullam conceptionem habet, sed multos modus bibendi!— ? To po prostu znaczy, że sławianin w niewoli szczęśliwy, byleby mógł kraść i upijać się.

Tymczasem wzmogły się na morzu czarném wiatry i obróciły zupełnie ku północy z coraz większą gwałtownością, z siłą buhającego niespodzianie gorącą parą, jak gdyby z piersi Sahary, Sirokka.

— To strasznie zdradliwy rafał, ten strzelający peryodycznym wybuchem Sirokko, gotów mi się wisus wplątać pomiędzy żagle jak szmermel, potargać mi płótna i zwalić maszt, rzecze do mnie kapitan i w chwili gdy to rzekł, wydał rozkaz; jeszcze przed wykonaniem takowego zawył Sirokko; wdarł się pomiędzy żagle, podarł je i wyższą część drugiego masztu powalił zdruzgotaną na pokład. Nic tak nagle wykonanego przez tchnienie po-

wietrza jednorazowe w życiu mojem nie widziałem; statek się wykręcił na prawo, na lewo, pochylił bardzo znacznie na przód, bugszpryt głęboko w falach zanurzył, potem, drżąc cały jak gdyby ze strachu, uniósł się na ogromnéj nadbiegłéj fali na jakie czterysta stóp w górę, potem ta fala nagle odpłynęła i statek na jéj grzbiecie pienistym stoczył się z tyłu w odmęt i znów tył tyle zanurzył, że woda aż tylny pomost obmyła. Od téj chwili znów się rozpoczęły okropne kołysania i bezsilni musieliśmy poddać się ich prądowi, biegnąc w tamtą stronę, zkąd przed sześciu dniami przybyliśmy. Otóż to perypetye podróży żaglowych po tak kapryśnym jeziorze, jakim jest Czarne morze.

Biedna żydówka, nękana znów chorobą morską, w skutek rozkołysania statku rozchorowała się; urządziłem jéj łóżko wiszące i temu niezawodnie środkowi zawdzięcza, że objawy nudności nie poszły do najwyższego stopnia, to jest do wyrzucania krwi. Zdaje się jednakże że i nastrzykiwanie veratryny podskórnie w dołek za pomocą sikaweczki *Pravas* przyłożyło się do dobrego skutku. Na dwoje zatem wróżka wróżyła, lecz to wiem że w razie naglej potrzeby kilkoma środkami razem przeciw niebezpieczeństwu działać wypada: *melior anceps medicina quam nulla medicina*. Niechciałem dać umrzeć żydówce dopóki zemną pod jednym dachem całego nieba i na jednéj tarcicy pozostawała,—a zresztą chcę by poczciwa istota, która koniecznie pragnie umrzeć w krainie naddziadów, doczekała się chwili, w któréj umrze, chętnie pogodziwszy się ze Stwórcą jéj życia, ze Stwórcą jéj niedoli.

Boże, jakież Ci składam serdeczne dzięki za to, żeś mi pozwolił urodzić się i wychować w religii filozoficznéj, żadnemi dogmatami wyjątkowych przywilejów nieskalanéj, żeś mi pozwolił odczuć boleści i cierpienia w każdéjistocie—każdego ze stworzeń Twoich. Ale mówże tutaj do ślepych o kolorach, a do bezuczuciowych o ludzkiem miłosierdziu! Wystawisz się znowu na obmowy, dopókiś wolny, a zdradzą cię, gdyś w więzieniu lub nieobecny. Za życia nic ci dobrego nie wyświadczą, a po śmierci powiedzą, żeś się zapił.

Huczą burze, świszczą wiatry, jęczą wypierane ze związków szczeliny, skowyczą z zawias wyrugowane drzwi i drzwiczki, a stęka ster w żelaznych klamrach, lubo grubemi jak ramie przywiązany linami do wszystkiego, co zdaje się mocnem, a co jednym ciosem silnego bałwanu może być potrzaskanem w najdrobniejsze ułamki. Tylko o jedną tarcicę, na którą mi miło przytulić nagie ucho, oddzielonym jestem od wieczności,—a nie lękam się jéj, gdyby ona nawet była snem wiecznem. Śmierci się nie lękam, w piekło nie wierzę, a pogardzam wszystkiemi, którzy żyją *materyalnie*.

Tym czasem „Zara“ szybował naprzód i to bardzo dzielnie, lubo lotki jednéj był pozbawiony, czem kapitan nie tak bardzo się martwił, przed wyjściem bowiem z portu Zadarskiego już był oświadczył swemu armatorowi, że ten maszt nie oprze się silnéj burzy i że lepiéj by było zastąpić go nowym, zupełnie zdrowym.

Z tego się urągał armator, mówiąc, „że wszystko razem było poświęcone przez księdza i że temu masztowi jeszcze się więcéj dostało wody święconéj z kropidła kapłańskiego, jak reszcie okrętu, i że przeżyje cały okręt“.

To rzecze kapitan pogardliwie wstrząsając silnemi barkami:

— „A więc żyją jeszcze w waszym kraju tacy łatwowierni?“ spytam.

— Co pan chcesz? brat jego jest księdzem, który okręt błogosławił i on wierzy bratu, który jest kanonikiem bogatym,— i starym, rzecze kapitan.

— I zapewnie majątek jemu zapisze, jeśli go nie zapisze kościołowi.

— Nie, do tego stopnia nikt już u nas głupim nie jest—dosyć się daje papieżowi bez tego i to tylko starym gwardzistom szwajcarskim i młodym paniczom z gwardyi rzymskiéj szlachetnéj na dobro wychodzi,— pal ich djabli tych najemników i tych próżniaków, którzy nic z siebie lepszego zrobić nie zdołali, jak stróżów starego poczciwego człowieka, którego nikt wykraść nie chce i nikt okraść nie może, prócz samych gwardzistów. Ot! tak niedorzecznemi już nie jesteśmy, spoglądaliśmy na te wszystkie rzeczy i sprawy z blizka, przeszło w uzs

panowanie głupoty na najwieczniejsze wieki wieków, amen; jezuityzm u nas piszczy z ostatniej swej fujarki — na tyle się przynajmniej u nas zdobyto po tak długiem uciemiężeniu, po tak częstem krwi rozlaniu: tylko szkoda żeśmy to wszystko zyskali dzięki wrogom naszym prussakom, lecz nie dzięki woli naszego...

Nie miał czasu dokończyć, bo w tej właśnie chwili huk działa ze strony zachodu zabrzmiał w powietrzu i rozległ się aż do nas przeciw pędowi wiatru. Wysłano najlżejszego majtka na maszt przedni, mniejszy od złamanego, lecz w tej chwili wyższy. Nic ujrzeć z razu nie zdołał majtek, w minutę potem drugi nas doszedł z bliższej odległości wystrzał i majtek ujrzał o jakie pół mili morskiej statek dwumasztowy tonący, kilku ludzi wtaklaży powiewających szmatami. Przyspieszyć biegu nie mogliśmy, wysadzić łódź na tak wysoką rozbujałą falę byłoby junactwem niczem usprawiedliwić się nie mogącem; — nikt, ani nawet ja sam do tego nakłaniać nieśmiałem, niestety mogliśmy się tylko modlić za tych bliźnich, i to zrobiliśmy z serca zdejmując jednocześnie czapki i klękając na ciągle zmywanym przez parskającą falę pomoście. Działo już nie zagrzmiało po raz trzeci, tylko okrzyk boleści majtka na maszcie oznajmił nam, że wszystko się skończyło, że statek zagrożony spuścił się do otchłani morza z całą swą załogą. Żadnego po sobie nie zostawił śladu, tylko w logbuchu, w księdze okrętowej zanotowano, w jakiej chwili, pod jakim stopniem i pod jaką minutą, szerokości i długości nastąpiło to nieszczęście z okrętem którego nazwisko było „Oberon“ i którego spód był malowany na czerwono. Później dowiedziano się, że był to statek hamburski z załogą dziewięciu ludzi i z dwunastoma żydami mołdawskiemi udającemi się do Ameryki. Na coś przynajmniej posłużyła obecność nasza lubo w oddaleniu: pozostali dowiedzieli się z pewnością, że opłakiwani już nie żyją i siedm pozostałych wdów mogło iść za mąż, dla nich „Zadar“ był może dobrodziejem.

Tym razem wiatr dął ciągle wiernie ze wschodu na zachód i trzeciego dnia potem a dziesiątego naszej podróży ujrzeliśmy wschodnie brzegi Bulgaryi

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W Toruniu

i mogliśmy zawinąć nazajutrz, szukając pomocy dla naprawienia szkód, do zatoki Warny, a wkrótce potem (po pewnych formalnościach, które ułatwił konsul austryacki z władzami ottomańskiemi), do przystani a nawet do doksu dla przystawienia masztu i innych napraw na pomoście. Nie zupełnie łatwo było mi osiągnąć pozwolenie wylądowania do miasta i krążenia po okolicy; władze tureckie podejrzliwem okiem spoglądały na mieszkańców cesarstwa rossyjskiego, nawet na takich jak ja. Musiałem się osobiście przedstawić Jego Excel. Jaśnie W-mu Baszy Warneńskiemu, jeszcze dość młodemu dygnitarzowi, który mówił wcale nie źle po angielsku i w długą wdał się zemną rozmowę o cholerze, tyfusie, dżumie, ospie i innych epidemicznych i zaraźliwych chorobach. Widać jednak że nie był urzędnikiem zupełnie kartonowym i że dbał o dobro powierzonej mu ludności.

Spytał mnie nareszcie dla czego tak gorąco pragnę zwiedzić okolice Warny.

— Jedynie tylko dla przypatrzenia się z blizka pomnikowi postawionemu w r. 1854-m królowi Władysławowi III, poległemu na owych polach przed czterema wiekami z okładem. Wykonał ten pomnik jeden z moich powinowatych pułkownik Ostrorog, z którego licznemi krewnemi w blizkich byłem stosunkach.

— Jak się to czasy zmieniły!— rzecze Basza zacierając ręce zupełnie z europejska.— Przedtem Papieże byli naszemi zaciętemi wrogami i nakłonili tego młodego walecznego monarchę do wiarołomstwa, a teraz Papież jest naszym *good friend*, dobrym przyjacielem i błogosławi orężowi naszemu.

— Nie wszyscy dobrze wychodzili na jego błogosławieństwach, a nie wszyscy źle na jego przekleństwach. Najlepszym tego dowodem istnienie jego ojczyzny Italii—odpowiedziałem.

Śmiał się basza z tej odpowiedzi jak inny prosty śmiertelny i do mych wycieczek dla oprowadzenia mnie, dodał mi kapitana Abdula-Effendy, który wziął z sobą konnego janczara a ten znów mukra i parę koni. Będzie mnie ta wycieczka cokolwiek drogo kosztowała.

— Weź pan z sobą w olstra dwie buteleczki dobrej jamaiki, będzie nam jakoś weselej—szepnie w ucho Abdul tak dobrą polszczyzną, jaka się tylko słyszeć daje w saskim ogrodzie lub w szwajcarskiej dolinie.

Abdul-Effendy był po prostu panem Ignacym Abramow.... synem pułkownika polskiego i wnukiem generała tegoż nazwiska. W skutek zmiany narodowości i religii, został kapitanem z urzędnika teatralnego i muzułmaninem z najprawowierniejszego katolika.

Puszczamy się w stronę zachodnią, tam gdzie na podnóżu niewysokich gór wznosi się, pośród żyznéj zielonéj niwy, wysoki kurhan, na którym sterczy biały, w promieniach słońca jak srebro świetniejący, obelisk. Żyzny tu, urodzajnością zdumiewający czarnoziem, na którym wszystko co rośnie wybuja—lecz wybuja niepoprawnie. Winogrona jeszcze niedojrzałe, dochodzą wielkości czterech pięści a każde ziarnko już duże jak największa wiśnia. Smak jeszcze przykry, kwaśny, skórka twarda — jeszcze im potrzeba miesiąca do dojrzenia, lecz w tenczas będą olbrzymie lubo jak zaręcza kapitan Abdul nie będą nigdy wytworne jak tam dalej na południu. Wina z nich wyrabiane tutaj są istotnie miernej wartości, niewiele lepsze od wina Suresne z okolic Paryża, a gorsze jeszcze od zwyczajnego winosza węgierskiego z ziemi Spiskiéj.

Temu winu brakuje owego szlachetnego zapachu, który się czerpie tylko w ziemi wapiennej, przesiąkłéj aromatem do pewnego wapna przywiązanym,—w gruncie zbyt tłustym nie ma go wiele; dla tego też wina z takiego gruntu pochodzące są mocne, posilne lecz nie czarują bukietem.

Pszenica tutejsza jest tak dobra jaką niegdyś była sycylijska, dopóki ta wyspa znajdowała się w rękach pracowitych ludzi i nim ją odziedziczyli próżniacy, w mody, gusła i cuda wierzący. Arbuzy spore jak dynie dziko tu rosną, nikt ich tu nie pilnuje, należą do każdego. Janczar rozłupuje je pałaszem prosto z psoty: konie jedzą i piją je chętnie i potrząsają wesoło uszami, rżąc z radości.

Proste chłopskie konie tutejsze są miłemi stworzeniami: ich głowy małe, oczy roztropne, nogi filigranowe lecz mocne, pewne, suche, grackie, a tak zawsze chodzą jak panny na sali balowéj przy preludującéj muzyce, pilnie się oganiają sutym ogonem, drży na nich skóra, w ruch wprowadzona osobną nerwową muszkulaturą, a spoglądają roztropnie, swobodnie na prawo i na lewo, czasem nawet i w tył tak jak gdyby się przyjrzeć pragnęły dobrze wszystkiemu. Pobudzać ich wcale nie potrzeba do biegu, wiedzą one dobrze gdzie trzeba dreptać owym tancerskim stępem a gdzie biedz galopkiem wygodniuteńkim a tak miłym, że najmniejszego nie sprawia znużenia. Nie są to rosłe konie, raczej spore koniki, nie są szkapki czystéj rasy arabskiéj, ani też wysokiej ceny, ale pod huzara już by się zdały, chociaż nie pod rosłego ułana.

Chatki bulgarskie nizkie, bardzo nizkie, już wiemy dla czego, żeby się poborca podatków nie mógł rozmachać sułtańskim kijem. Widząc nas z daleka zbliżających się, lud opuszczał robotę na polach i ogrodach, pozostawiając rydle, motyki i grabie i spieszył chronić się pod chatki, spieszył cwałem, w derdy, matki zabierały dzieci a choć im coś spadło na ziemię z ubioru, to się po zgubiony przedmiot nie schylały.

— Muszą Was tu dziwnie kochać panie Ignasiu, rzeknę do kapitana Abdula.

— Tak jak psy kotów, lub raczéj jak kury sokoła — odpowie rumieniąc się kapitan i po bulgarsku krzyczał na uciekających żeby się nie lękali, że on nie poborca tylko przyjaciel, który wino pije i nic złego nie chce zrobić.

— Poznają wnet że ja jednym z dawnych braci, rzecze zmartwiony i janczarowi kazał zsiąść z konia i pozbierać zgubione fartuchy i chustki aby je zwrócić.

Istotnie zaraz się zatrzymali i zbliżyli, sypiąc salemaleki, to jest pozdrowienia od serca do ust i do głowy, i potem spuszczając rękę do ziemi.

— Wiedzą, że wiele jest pomiędzy turkami dawnych chrześcian, a nas, z owych stron z nad Wisły, lubią, i uniewinniają.

— Ale u nas jeszcze gorzéj wieśniakowi — nieprawdaż?—spyta pan Ignacy.

— Nie kochanie, tak oczywiście źle nie jest, u nas baszowie nie śmią już rządzić zdzierstwem, gwałtem, niesprawiedliwością, w oczy bijącą, i uciskiem,—u nas coś się robi istotnie by zabliźnić stare rany a tu oczywiście zadają się nowe: u nas uprawianoby daleko lepiej tę żyzną ziemię...

— By z niej wyzyskiwać więcéj i cięższe nakładać podatki—rzecze Abdul .

— Wieśniak u nas istotnie nie jest tak ubogim jak był przedtem i przychodzi do pojęcia swéj godności jako człowieka. A z resztą u nas nie ma kościołów spalonych lub stojących pustkami tak jak tutaj, owszem stawiają się nowe. W kołach rodziny jest u nas bezpieczeństwo i spokój; kobiety nie są zabierane gwałtem do haremu, ani chłopaki porywane, obrzezywane i przeznaczane do wojska.

Abdul-Effendy uśmiechał się, ruszał ironicznie ramionami i—milczał; potem zsiadł z konia i oddał go janczarowi, wziął z rąk jego pozbierane szmaty i sam własnoręcznie oddał je strwożonym kobietom uśmiechając się do nich przyjemnie, tak jak gdyby były piękne. I ja naśladowałem w tem Effendego; — nareszcie zaproszeni wstąpiliśmy do chaty, w któréj niespostrzegany już przez janczara renegat pokłonił się obrazowi Panedyi i zasiadł, przywitawszy się znowu z wieśniakami, pytając czy niema co do jedzenia, zwłaszcza czy niema z łokieć kiełbasy wędzonej, którą niezmiernie lubił, dla tego zapewnie że Alkoran ją zakazuje.

— Jest kiełbasa, jest szynka, chleb kwaszony, jest wino—wszystko co Chrześcianinowi miłe.

Biedny panie—musiałeś się zapewnie dla tego zturczyć, żebyś całą swoją rodzinę uratował od zagłady?

— A tak istotnie, — pięćdziesiąt ośm osób, może i sześćdziesiąt ośm, bo pięć kobiet spodziewało się potomków, a tam u nas *w Bośnii* połowa kobiet przynajmniéj rodzi bliźnięta—odpowie pan Ignacy, który w potrzebie umiał kłamać jak włoski dentysta, a zaś od urodzenia był figlarzem, tak jak u nas o nich nietrudno.

Wiemy że nie był Bośniakiem, lecz że w Bośnii szlachta łatwo przechodzi na Islamizm o tem także dobrze wiedzieć musimy. Tak się jedni posługiwali złą sławą drugich, a częściéj się dzieje w świecie, że jeden posługuje się dobrą sławą drugiego. Effendy zaprzągł się do łokcia kiełbasy poprzedziwszy dzieło całą szklanką wódki spędzonéj pokryjomu w tejże saméj chacie ze śliwek. Bulgar choć tak potulny, lękliwy i wcale niepocześnie wyglądający, jest jednakże skrzętnym, przemyślnym i oględnym,—częstokroć pracując i dając się męczyć, trapić, łupić przez całe życie, zbiera pewien grosz, który przezornie przechowany, kapitalizowany i procentujący płodzi grosze legalne i nielegalne i wzrasta do pewnych rozmiarów, aż tam nareszcie znów jakaś katastrofa turecka nastąpi i przepada pieniądz, cała rodzina, chata i grunt w otchłań przepaści niewydającą już nic—neque nomen loci. Tak się tu dzieje a gdzieindziej jeszcze gorzej!

— Teraz dwa żywioły w walce niech się zniszczą wzajemnie, niech oba przepadną dla dobra przyszłości, chociażbym i ja z niemi, nawet bez zasługi walki miał przepaść, zapomniany lub nawet przeklęty!—rzecze Abdul zapałem alkoolicznym wzruszony.

Do jakiej tu rozpaczy dojść może człowiek ceniący pracę, uczciwość i honor, tak jak botanik kocha kwiaty i astronom gwiazdy, to tylko Bóg pojmie lub ten, co go ubóstwia, jak ja Go ubóstwiam. Jakie tu zamięszanie żywiołów życia z żywiołami zguby, jakie tu rozterki pomiędzy polityką i uczciwością, tego nawet szatan i zwolennicy jego nie pojmą.

Wielki to był Sybaryta ten pan Abdul Abram.... i nie z jednego pieca chleb jadał, nie jednej także sprawie służył: z białowieskiej puszczy zabłąkał się na Baltyk, potem przez Londyn aż do Meksyku z Maksymilianem, wrócił do Europy by się zaciągnąć do Zuawów pontyfikalnych, zkąd po wzięciu Rzymu, dostał się do Konstantynopola pod skrzydła proroka. Wszędzie się nauczył języka z dziwną łatwością daną tylko sławianinowi, który się otrzaskał w pierwszej młodości z dźwiękiem kilku języków; wszędzie mu było nieźle, bardzo dobrze nigdzie: nie ożenił się przynaj-

mniej ani po chrześciańsku ani po muzułmańsku i za to powinnibyśmy mu być wdzięczni, owe bowiem małżeństwa co skojarzone tak w przechodach, wydają tylko nieszczęsne istoty noszące nazwiska polskie a z wszelkiej ogołocone zasadności, z wszelkiéj wiary, to jest z wszystkiego co dla zacnego człowieka powinnoby być zasadą dobrego wychowania.

Stajemy nareszcie koło mogiły, pod którą spoczywa kilka tysięcy polaków i węgrów, i jak historya głosi kadłub tylko, króla Władysława III, syna Władysława Jagiełły i Zofii córki Jerzego, księcia Olszańskiego, urodzonego w r. 1424 w Krakowie. — Królem Polskim był w roku 10-ym życia, królem Węgierskim mając lat 16 i był wychowanym głównie przez matkę, która jak wiemy była czwartą żoną Jagiełły, tyle lubiącego słowiki i kobiety, ile niecierpiał Krzyżaków i innych niewygodnych sąsiadów. – Matkę mając ultramontanizmowi oddaną, Władysław nauczył się jeździeć na koniu, bić i — podlegać Rzymowi a nie własnemu sumieniu. Młodziuchny, waleczny książe zajął się gorliwie przy pomocy Jana Hunjada i legata papiezkiego Cezarini wytoczeniem wojny Turkom, silnie wdzierającym się do Europy. W świetnej wyprawie 1443 roku pogromił bisurmana na całej linii i zawarł w Szegedynie roku 1444 w miesiącu Maju przymierze zaprzysiężone na Ewangelię i na Koran. Miało ono trwać lat całych dziesięć i tak uroczyście zostało zawartem jak żadne inne ani wprzód ani później. Lecz papież jakiś, Urban czy inny, z tego przymierza nie był zadowolony, i przez Cezariniego nakłonił młodego króla do zerwania go, dawszy mu absolucyą na popełnienie wiarołomstwa najoczywistszego, najniepolityczniejszego, najzgubniejszego i po prostu powiedziawszy, *najhaniebniejszego*. Liczył młody król na potężną od mocarstw zachodnich pomoc, o tem nie wiedział że ten zachód zazdrościł już Polakom i Węgrom zwycięztwa. Władysław, ożywiony duchem krucyatowym, uległ nieroztropnie radom Cezariniego, który także, pomimo obietnicy, nie stawił się w obozie zapaleńców; uderzył z małą liczebnie, lecz wyborową armią na przemocnych w sile i liczbie Turków, walczył jak lew do ostatniej chwili, uderzony przez że-

lazny szyszak w prawe skronie toporem spadł z konia; jeszcze żywemu ścięto głowę i przechowaną w prasnym bezkolorowym miodzie przesłano Sułtanowi, który wraz z kilkuset, ogromem ciała zastanawiającemi jeńcami otrzymał ją w Brussie w Anatolii, wówczas stolicy państwa Tureckiego. Przez lat przeszło dwieście tam ją przechowywano w skarbcu i cudzoziemcom pokazywano. Jeszcze ją tam widział Doktór angielski Whichfield w 1711 roku i opisał, że miała małe oczy i bardzo długą twarz, tak jak ją miał mieć Jagiełło.

Wszędzie tylko Rzymowi zawdzięczamy klęski, a żadnej z niego niemamy korzyści,—jednakże w Rzym więcejwierzymy niż w własny rozum i w własne sumienie; wszystkie późniejsze zwycięztwa polskie nad Turkami tyle nie zrobiły dobrego dla Europy ile ta jedna, niestety! zasłużona klęska pod Warną zrobiła złego dla swiata chrześciańskiego. Turek wierzył, że Bóg i dobra wiara za nim walczą, wtargnął do Europy i dziś jeszcze tam panuje nad ośmiu milionami sławian, tak zaś rozkiełznał sumienie innych piętnastu milionów, że wierzą zarazem i w Rzym i w Konstantynopol. Szczególne, do niepojęcia dziwaczne zwichnięcie dobrego sensu!

Pomnik postawiony za 40,000 franków z pozwolenia rządu ottomańskiego, niewiem czy na cześć króla Władysława czy też na jego niesławę, składa się z obelisku trzydziestodwustopowego murowanego, z wapieńca stopowego, sześciennego, licho ciosanego. Na nim napis niegłęboki, literami na czerwono malowanemi, z których dziś niełatwo wyczytać słów kilka lecz jeszcze są tam nazwiska jak Władysław hrabia Zamojski, Generał Dywizyi, Władysław hrabia Ostrorog, podpułkownik Armii Ottomańskiej i Władysław III król polski i węgierski. Trudno się domyśleć który z tych trzech Władysławów najważniejszą osobą,— ale to nie trudno zgadnąć, że ten licho i z lichego materyału postawiony pomnik nie długo potrwa, czub jego już się zsunął; a Grecy z osady poblizkiej, nie Bulgarzy, nie Turcy, tylko Grecy jak nie mają nic lepszego do robienia, przybywają tutaj z długiemi żerdziami, strącają

kamienie co im nader łatwo przychodzi ; wapno bowiem skruszało od dawna i w piasek się przemieniło, a tak jedyne dzieło hrabi Wład. Zamojskiego, który tutaj od roku 1854—56-go formował dywizją legionu cudzoziemskiego co nigdy nieprzyjaciela nie widziała, nie potrwa długo, zniknie bez śladu, bo Grecy unoszą z sobą kamienie i stawiają z nich podstawy do drzwi i okien.

Bulgarowie z resztą zaręczają, że im dobrze tu było z owemi legionistami, że handel szedł dzielnie i że podczas ich pobytu, żaden Turek nie śmiał im dmuchnąć w kaszę ani też wchodzić w drogę. Bulgarki też, naturalnie owe starsze czterdziestokilkoletnie, rozszerzały usta od ucha do ucha na te wspomnienia, a młodsze spoglądały na matki ciekawemi, trochę mniej głupiemi jak zwyczajnie oczami.

Lecz po wojnie krymskiej, po odciągnięciu Francuzów i reporterów angielskich, po nowem rozproszeniu się Polaków, w gruncie serca uczciwego, serdecznych sprzymierzeńców Sławian, wszystko znów wróciło do dawnego porządku, dopanowania baszów i baszibużuków, do kindżału, kija i bata, do bezprawia, zdzierstwa, pożogi i gwałtu.

Nic a nic chrześciaństwo nie zyskało w Turcyi tą krwawą wojną krymską. Nowe wojsko tureckie, niby na wzór innych europejskich, uorganizowane nic nie posiada z męztwa dawnych janczarów wytępionych już w roku 1823 ; umie jednakże doskonale rabować bezbronnych chrześcian i napełniać chrześcianki goryczami.

Toż samo można powiedzieć o urzędnikach, począwszy od najniższego szeusza to jest policyanta, który zarazem w razie potrzeby chętnie pełni obowiązki kata, aż do baszy również chętnie patrzącego się z lulą w gębie na męki bitych i wieszanych chrześcian. Dziewięć dziesiątych gruntu leży odłogiem, w najurodzajniejszych stronach ludzie umierają z głodu,—przemysł żaden, handel w rękach cudzoziemców, kapitały w kieszeniach lichwiarzy żydowskich lub co gorsza arabskich,—tak jest, w tym kraju jest coś gorszego od żyda, a my nie łatwo to pojmiemy ; ależ zważmy, że

Arab jest muzułmaninem i że poparcie znajdzie u rządu przeciwko najwyższego stanu giaurowi. Turcy zniwelowali społeczeństwo podbitych, w ich oczach nie ma różnych giaurów, wyższych i niższych stanów, tylko wierni i niewierni, a Koran zawyrokował, że niewierny jest niewolnikiem i musi pozostać niewolnikiem. Chrześcianie niby to otrzymali równouprawnienie, lecz wszelkie spory sądzą się według Alkoranu, tego ogólnego wszystkich muzułmańskich państw kodeksu prawnego, ten zaś nakazuje nieubłaganie, aby innowierca był nawróconym na Islamizm lub został niewolnikiem. Żaden tedy z układów i traktatów zawartych z niewiernemi, czy to krajowemi czy zagranicznemi, czy nie gwarantowanemi czy gwarantowanemi przez dwory zagraniczne, a nawet przez potężną Anglię, nie będzie nigdy ściśle wykonanym, bo się temu fanatyzm religijny Turka, zawsze szczerze i jedynie na Koranie oparty, prędzej lub później sprzeciwi. Sułtan, gdyby nawet był przez czas niejaki szczeremi uczuciami uczciwości i sprawiedliwości względem swych chrześciańskich poddanych i względem swych chrześciańskich protektorów przejętym, gdyby nawet nie popadł jeszcze w dziwactwa, w których każdy z sułtanów prędzej lub później grzęźnie, musi się nareszcie liczyć z tak zwaną *świętą Ulemą* to jest radą czuwającą zazdrośnie nad całością wiary, która zarazem jest najwyższą władzą religijną i sądową a nawet prawodawczą. Rządzi się ona ściśle zasadami Islamizmu i stawia nieprzełamany niczem opór wszelkim reformom, które tutaj są zwane innowacyami giaurskiemi, zgubnemi dla całości Islamizmu; a ten ma jeszcze do trzechset milionów zwolenników gęsto rozsianych po przestworzach Azyi i Afryki. W tej ostatniej w głębi krajów, tysiące a może miliony pogan nawraca się na islamizm. Nawet i Etiopczyki, chrześcianie przystępują do Koranu. Nie łatwo przyjdzie zwalczyć opór synów Mahometa, a jednak walka przeciw nim, walka ogólna chrześcian musi być rozpoczętą, a kto ją szczerze w imieniu myśli chrześciańskiej rozpocznie, ten zdaje mi się ma wielkie przed Bogiem i ludzkością zasługi.

Od Warny ku stronie zachodniej płaszczyzna wspina się coraz więcej w górę, aż się jej widnokrąg odgranicza od firmamentu pasmem górzystem tylko, o dwie lub półtrzeciej mili od brzegu morza odległem. Są to już podgórza małego Bałkanu zkąd wije się wartkim kręconym biegiem rzeka Kamczuk i tworzy żyzne, zielonością zachwycające doliny, gdzie mnóstwo żyje ludzi, którzyby istotnie byli szczęśliwemi, gdyby ich rządzono sprawiedliwością. Lecz pomiędzy Bulgarami sielsko pojmującemi szczęście i życie, są tu i osady greków wcale inaczej usposobione, tym praca, przemysł, handel wcale nie wystarczają do życia, tym potrzeba do szczęścia używania innych, niestety niepoczciwych sił życia. Graeca fides — pessima fides! Ci nic nie pojmują prostego uczciwego, tym potrzeba podstępu, chytrości, filuterstwa—lub nawet zdrady, rabunku a przynajmniej uroku przemycarstwa. Ci nie uciekają przed nami, lecz witają nas uniżenie, patrząc jednakże z pod oka,—zapraszają nas niby, lecz widać łatwo że nieszczerze. Oficer niechce też z nimi wchodzić w rozmowę, chyba mówiąc po turecku i ograniczając się na pytaniach mniej więcej urzędowych o rabusiach lub znanych defraudantach. Kobiety tych Greków są wcale piękne, lecz na skinienie zazdrosnych mężczyzn chowają się za krzewy, klomby, lub nawet do chat. Oddalając się rzucają na nas ciekawe, nawet kokieteryjne spojrzenia,—jakby się nie lękały bliższej zażyłości.

— Z temi ludźmi ostrożnie należy postępować— rzecze Abdul — pełno pomiędzy niemi szpiegów, nie jadłbym w ich domu kiełbasy i nie piłbym wina za nic w świecie: poszliby niebawem donieść o tem do Baszy. Ci ludzie zawsze gotowi do służenia rządowi, by lepiej mogli cichaczem wykraczać przeciw niemu; zły to ród, żółcią i jadem przesiąkły.

Tak o nich mówił kapitan i trzymał się w kupie dopóki między niemi pozostawał: istotnie trudno się czuć wygodnie i miło w tem medium tak zawistnem, chytrem, śledzącem.

Przed jedną z tych chat nie tak niskich jak bulgarskie, widziałem jak jeden pop który miał prawo być cyrulikiem w razie potrzeby, puszczał krew pe-

wnej młodej kobiecie, chorej na gwałtowne zapalenie oczu, ostrą małą siekiereczką z arteryi skroniowej, i to jednocześnie z prawej i z lewej strony. Wcale zręcznie wykonał tę operacyą, przez którą istotnie natychmiast ulżył chorej. Zręcznie także zatamował krew, i założył bandaż.

Ten młody i przystojny pop mówił doskonale po turecku, chętnie otwarcie odpowiadał na nasze pytania i tak nas uprzejmie zapraszał do siebie na kawę, żeśmy się wymówić nie mogli.

Piękną, wysoką, nader szlachetnie wyglądającą miał popadję, i troje dziatek cudownie ładnych z ciekawemi wielkiemi oczyma, z czołami i nosami w jednej prostej pionowej linii. To już typ prawdziwie grecki bez żadnego przymięszania sławiańskiego, co tu na północy państwa tureckiego nadzwyczaj rzadkiem jest zjawiskiem.

W ogrodzie sporym, tuż nad Kamczukiem, pełno fig, śliwek, gruszy, jabłoni a nawet granatów lubo nie sporych, które pielęgnowane starannie, zasłonięte murem od północy i wschodu, dojrzewają jednakże. Nie mówię już o ogromnem mnóstwie wykwintnej ogrodowizny, melonów Kantalupy, arbuzów czerwonych, pomidorów, ogórków fioletowych, złotego agrestu, malin, pożyczek, winogradu muszkatowego, pigw i drzew, noszących duże, jak włoskie orzechy, truskawki.

Papas Adonis Karoallis urodzony na wyspie Samos, mówił także bardzo dobrze po włosku, a jak się dowiedział że jestem lekarzem, regularnie promowanym doktorem, nie mógł się posiąść z radości i przyprowadził swą matkę, chudą, wysoką, klassycznej budowy osobę, która cierpiała na ów nerwowy ból twarzy znany i papasowi pod nazwą grecką Prosopalgia.

— Najlepszem, dziś, za najskuteczniejsze uważanem lekarstem byłoby wstrzykiwanie morfiny ową drobną sikaweczką wymyśloną przez doktora Pravas — rzekłem.

— Słyszałem, słyszałem o tym sposobie leczenia, oh carissima eccellentissima Signoria, wiem że ten środek cudów dokazuje!— krzyknie Papas.

— Bardzo często, lecz nie zawsze jednakże; boleśei nie sprawia prawie żadnej, a w tym razie użyty być powinien koniecznie. Posiadam ten instrumencik, a dopiero po jutrze puszczam się w dalszą podróż, moglibyśmy zatem próbować szczęścia.

— Toż ja biegnę z panem, biegnę natychmiast: to moja matka, moja poczciwa kochana matka, i jak jeszcze piękna — nieprawdaż? mam doskonałą mulicę która lekko nosi, sam ją prowadzić będę za cugle!

Służącej ani służącego nie było właśnie w domu; sam Papas wziął się natychmiast do osiodłania mulicy, lecz kapitan skinął na Janczara i ten wyręczył go. Niebawem też Papas przyniósł półgąsiorek jakiegoś starego muszkatelu, połysku bursztynowego i kieliszków kilka.

— Ałłah—bismiłłah! to coś wygląda na wino; mnie niewolno—dalibóg niewolno — rzecze kapitan markotnie.

— Capisco—pojmuję powie Papas, znika z butelką i powraca z wielką filiżanką napełnioną jej nektarem.

— To herbata — zaręcza Papas — dar-dar! (na słowo, na słowo) i wciska kapitanowi filiżankę w rękę.

— Dar—dar! to co innego – rzekł poważnie kapitan—i wypił— wypił aż do ostatniej kropli ten *dar-dar* poczciwego ojca Noego, aż mu zbielały błękitne polskie oczy od rozrzewnienia.

— Okrójkę wędzonej półgąski, nieprawda Effendy?—proponuje Papas.

— Niech i tak będzie, gęś jest ptakiem Prorokowi miłym, bo się płucze, skubie i myje często.

Znikła popadja z gąsiorkiem, z filiżanką, i niebawem wraca z napełnioną i z dużym talerzem, na którym jaśniały czerwoniuteńkie okrójki wędliny. Pochodziły z takich gęsi co to chodzą na czterech nogach, uciekają od wody czystej, lubią się tarzać w błocie, nigdy się nie myją i gęgają z francuzka *oui-oui* kiedy są bardzo młode.

Wiedział to dobrze Abdul, lecz pocóż tu zgłębiać zoologiczne kwestje? gęś nie kwiczy w żołądku i nie zdradzi nikogo, byleby ocalić pozory.

Janczar okulbaczył mulicę, puszczamy się w podróż zaraz po wysuszeniu gąsiorka i po oczyszczeniu półmiska z gęsi. Że Papas był dobrym synem, doskonałym małżonkiem i zręcznym cyrulikiem, o tem jejestem przekonanym; lecz o tem wątpię żeby był dobrym obywatelem, gdyby był wolnego kraju wolnym członkiem, i on bowiem jak się z rozmowy przekonałem pielęgnował jakieś przesądne zdania o niższości rassy sławiańskiej, utrzymując że ona tylko do uprawy roli lub do ciężkich robót zdolna i mięszać się nie powinna w sprawy trudniejsze, nawet do handlu, że jej zbywa do tego pamięci i przebiegłości, a już do wykwintniejszych sztuk, to zupełnie niezdolna, ani bohomazu umalować nie jest w stanie bulgar, a jak zagra w swoje dudy i bałabajki, to wszystkie greckie psy, nerwowym słuchem wyposażone nielitościwie wyją.—„Nie—artystycznego smaku w niczem nie mają, nawet smaku w ustach, ich wino, wódka i piwa niegodziwe, ich wieprze nawet, inny podlejszy smak mają od naszych, nie umieją ich karmić chemicznie stopniowanym sposobem, darmo: natura odmówiła im nie jednéj rzeczy dając muszkulaturę mocną, wytrzymałość na wszelkie niewygody i prostotę w gustach; jedzą byle co aby tylko dużo, a najchętniej kartofle, groch, grykę, kapustę z okrasą sperkową i szumówkę do tego spijają nieoczyszczoną. A jak sobie podochocą, to przy odgłosie dudy i fujary skaczą ciężko jak tyle worków owsa,—potem się pobiją pomiędzy sobą po łbach kijami grubemi jak dyszle: mnie z tem dobrze, bo się przychodzą leczyć do mnie na rany i kontuzye, ależ to wszystko najoczywiściej dowodzi, że sławiańska rassa do niczego jak do pałki i do cepa“.

Otóż jak niepochlebne zdanie wydał o nas sławianach nadobny Papas Adonis, urodzony w Samos i tam sprawujący obowiązki spiritualne i materyalne, o tem zaś wcale niewiedzący, że i ja i mój przydany mi, do *czuwania nademną* aniół-stróż Abdul Effendy byliśmy sławianami urodzonemi nad Prosną i nad Wisłą.

Effendy niecierpliwie pokręcał wąsa i postanowił zemścić się za to przy sposobności zwyczajem tyle gre-

ckim ile tureckim, to jest podstępem i przemocą. Przecież tylko dla dowiedzenia się prawdy podróżuję, korzystam z chwilowej gadatliwości greka, który mnie za włocha poczytuje i pozwalam mu wyłuszczać to co myśli. Żal mi że nie mogę tu powtórzyć tego, co o innych sławianach mówił, com sam spostrzegł tu i owdzie o nich w mnogich podróżach, bystre wyłupiając oczy, uszy nadstawiając czujne i wrażliwym mózgiem chwytając choć najmniejsze przelotne spostrzeżenia, — żal mi istotnie, lecz światła bez cienia nie ma, a gdy tylko światło oddać wolno, zdawałoby się ono rażącem dla wszystkich a nawet dla piszącego.

Operacyjkę jednakże wykonałem i ona natychmiastowym, tym razem, została uwieńczoną skutkiem.

— To dobrze na raz, lecz tę operacyjkę kilka razy przed każdem okazaniem się bólu powtarzać należy aż nastąpi radykalne wyleczenie — rzekłem do Papasa.

Napierał się bym odstąpił ten instrumencik, nawet na wagę złota, lecz istotnie kosztował mnie więcej niż jego waga złota, bom go kupił w Warszawie gdzie lancent płaci się na wagę złota, — a w Konstantynopolu pewno go za żadne niedostanę pieniądze, zaraz zaś po tem wyruszam na wschód i tam zapewnie znajdę niejedną sposobność leczenia wielu chorych za pomocą wstrzykiwań podskórnych. Wiele nie żałowałem później mojego uporu, wiele bowiem zawdzięczyłem temu drobnemu instrumencikowi w Jerozolimie, gdzie także nie był znanym.

Effendy nie opuścił mnie ani na chwilę podczas pobytu mojego w Warnie, ani na chwilę mówię, noc bowiem pierwszą spędził zemną w hotelu angielskim, drugą zaś na statku parowym Lloydu austryackiego, którym następnego dnia raniuteńko wyruszyłem do Konstantynopola. Jestem pewny, że tę pieczołowitość o mnie zawdzięczam samej rekomendacyi Baszy Warneńskiego, biorącego mnie za jakiego agenta sekretnego, których wielka liczba krążyła po wszystkich kątach Turcyi. Napomknął mi Effendy więcej jak raz, może nawet z dziesięć razy, widząc że się nauczam z pewną chciwością a nawet łatwością języka tureckiego,

że łatwo lekarzowi zdobyć sobie piękne położenie w Turcyi, zwłaszcza w wojsku, ale że trzeba przystać przynajmniej pozornie na wiarę muzułmańską.

— W tej się urodziłem i wychowałem religii, której nigdy ani nawet pozornie odstąpić nie można, bo jest zarazem filozoficzną i szlachetną, wyjawiającą się każdym czynem i każdem słowem,—i tem mi jest droższą, że za nią już niemało cierpiałem. A z resztą oddać moją duszę narodowości, która żadnej niema przyszłości i żadnego prawa do niej, to byłoby niedorzecznością do nieusprawiedliwienia; umiem pracować, żadnego nieposiadam nałogu, to wystarczy na całe szczęście człowiekowi, który się małem zadowolnić nauczył.

Tą kategoryczną odpowiedzią pozbyć się usiłowałem dalszych nalegań, lecz mój Effendy nie dał się zbić tak łatwo z pantałyku i namyśliwszy się cokolwiek zwyczajem, z resztą dość rozumnym już od Turków przyjętym, rzekł:

— Nie ma panie Doktorze religii filozoficzniejszej i hygieniczniejszej od naszej: wierzymy w Monoteizm, jednego tylko z ducha jednolitego, jednonumerowego wszechobecnego, wszechmogącego Boga, w Boga Platona, Arystotelesa i Sokratesa; najrozumniejszego jakiego sobie tylko rozum ludzki najprostszy i najszczytniejszy wyobrazić zdoła. Religia nasza jest najhygieniczniejszą, bo zabrania trunków wyskokowych (mówiąc to pan Ignacy — Abdul-Effendy wychyla kieliszek araku), zabrania mówię trunków wyskokowych i zezwala na pożycie z kilkoma kobietami, żyć bowiem z jedną tylko, to pan konsyliarz przyznać musi, że to strasznie niezdrowo, — ola Boga! Ałłach-Bismiłłach! Lepiej jeszcze żyć bez wszelkiej tak jak pan konsyljarz, lub też z wszystkiemi jak ja.

I ja się też namyśliłem tureckim, wcale niezłym zwyczajem i rzekłem:

— Filozoficznym systematem Monoteizm jest, to ani słowa, lecz da się pogodzić z trynitarskim jaknajwygodniej bez naciągania prawdy; hygieniczną religią Mahometanizm byłby także gdyby się liście pomarańczowe nie przemieniały w winogrona, półgąski

w szynki, a tytoń w opium. Co do kobiet to może także masz słuszność, dla człowieka rozumnego już jedna kobieta jest zbytkiem, a dla zwierzęcia dwunożnego bez pierza jedna jest niedostateczną, ale wasza religia to ma złego w sobie, że każdego do niej nienależącego uważacie za niegodnego łaski boskiej, za was niegodnego, któremu braterstwa odmówić wolno. A zatem religia wasza jest nieszlachetną, od ducha chrystianizmu niższą, co tem więcej razi żeście lat siedemset po narodzeniu Chrystusa stworzyli wasz Alkoran, i że najlepsze idee w nim zawarte pochodzą tak z biblii jak osioł dardanelski pochodzi od szlachetnego equus Onagra mającego ogon jak koń. A zatem wasza religia jest wyraźną degradacyą, dla tego też niema w niej życia rodzinnego, i dla tego też wy jesteście oczywiście najwyraźniej plemieniem wymierającem, skarłowaciałem i wkrótce znikniecie z widowni świata europejskiego chociaż się odżywiacie w krwi chrześciańskiej to jest w polskiej. Dixi!

— Niech pana konsyljarza jaknajsiarczystszy piorun trzaśnie za takie *dictum acerbum* — rzecze Abdul-Effendy i wypił od razu dwa kieliszki araku, potem westchnąwszy swym konwulsyjnym oddechem miecha kowalskiego wypuszczonego z ręku dodał:

— Alea jacta est—nie umiałem żyć dla Chrystusa, będę umiał umrzeć za Mahometa!—rzekł nareszcie biedny z sumieniem swojem zakłócony renegat.

Pożegnałem się w czuły, w pamięć przenikający sposób z kapitanem Dalmackim, z marynarzami „Zadaru“ i z rodziną izraelską, z którą później miałem się połączyć w Jerozolimie i w większą jeszcze wejść zażyłość. Trwała ona aż do śmierci, nie mojej, ani prawdziwej, ani pozornej, ani istotnej, ani kłamanej.

Jeszcze czulej pożegnałem się z swym aniołem stróżem, z zabłąkanym ziomkiem, który w srogich burzach losu stracił tak wiele: młodość, mająteczek, całą swą rodzinę a nawet narodowość i religię, a jednak nie stracił polskiego serca, które się może jeszcze zawczasu do dawnego życia przebudzi. Bóg wiele odpuszcza żałującym,—on już teraz żałuje i nieraz sobie przypomni

słowa, którem do jego lepszego ducha wystosował. Gdzie jest rozum tam są i środki odnowy: takie mam przeczucie, że go gdzieś w lepszem spotkam położeniu.

* * *

Wartkim pędem trzepią koła po powierzchni Euxynu i kręci się śruba podwodna prąc i spychając martwe tym razem, spokojne wody, tumaniąc je obracając w białe szumowiny. Z czarnego komina buchają jeszcze czarniejsze kłęby dymu i na azurowem niebie znaczą drogę wcale do drogi mlecznej niepodobną. Towarzystwo gentelmańskie nie jest zgromadzonem na tyle okrętu tak jak na każdym innym parostatku kołowym, lecz na przodzie statku dość wyniesionym, a to z powodu łoskotu, turkotu i ruchu śrubowego: żaden żagiel nie jest rozpiętym, wiatry bowiem zasnęły zupełnie i chorągiewki na maszcie, obwisłe aż wstręt patrzeć, nie skrzypią wcale około żelaznej osi.

Między panami i paniami towarzystwa pierwszoklassowego było wiele anglików i angielek: panowała w nim tedy sztywność, nieufność, nieśmiałość i jakaś nuda, którą nieurocze dzieci Albionu umieją wprowadzić w każde towarzystwo. Były tam trzy damy tureckie wysokiego tonu, należące do drugiego Baszy Warneńskiego, także tu obecnego i siedzącego starym tureckim zwyczajem nie na krzeselku lub na ławie lecz na własnych nogach skurczonych pod siebie: prawda że miał pod niemi grubą poduszkę powleczoną aksamitem, ta zaś leżała bezpośrednio na ziemi. Naturalnie, że w swych tłustych wargach trzymał lulę; po za damami tureckiemi stał i wachlował je młody murzynek z nagiuteńkiemi nogami ale z resztą czyściutko, ładnie ubrany. Był to prawdziwie *un amour de négrillon*, prawdziwej nubijskiej poprawnej rassy, bez żadnej blizny na pogodnej, regularnej, błyszczącej jak lakierowana skóra twarzy, — oczy miał duże, czarne, w białkach nie żółtawych jak ją brunatne murzyny mają, lecz w niebieskawych. Włosy miał kędzierzawe, czarne, welniane lecz połyskujące jak futerko astrachańskie. Wszystkich zainteresował ten wyjątkowo

piękny murzynek, nawet zimnych anglików, nawet ciepłe angielki, które z razu spojrzawszy się na jego nagie aż po kolana nogi, krzyczały fy! shocking! (pfe! wstyd!). Potem się jednak pogodziły z całością negierka i jedna z nich wydobyła album z teki i rysowała profil młodzieńca z największą starannością.

Żeby były wiedziały owe angielki do jakiego właściwie rodzaju należy ten prześliczny biedny murzynek, to by się może niebyły nim tyle interesowały. Jakież to okrutne religie, które dozwalają kaleczyć w ten sposób kreaturę ludzką, przeznaczoną przez Boga i naturę do życia normalnego. W Rzymie robią z nich instrumenta wokalne, a tu w Konstantynopolu stróże do czuwania nad cnotą żon baszów. Dopiero od roku 1870 robienie instrumentów muzycznych z ludzi jest przez prawo konstytucyjne włoskie zakazane: nie wiem czy konstytucya turecka z 1877 roku dozwala jeszcze fabrykacyi eunuchów, ale Koran na to zezwala, a to na co on zezwala, będzie poczytanem za dozwolone, pożyteczne a nawet konieczne. Adiutant baszy Izzedim-Bey opowiedział mi, że basza nabył kilkanaście lat temu bardzo pięknego murzyna i prześliczną murzynkę i że tym niewolnikom rozkazał rozmnażać się metodycznie: córki z tego związku wynikłe przeznacza na odaliszki śpiewające, synów zaś na eunuchów śpiewających: doczeka się za lat kilka bardzo pięknej orkiestry; nauczycielem tych biednych dzieci jest jakiś signor, który w kapeli Syxtyńskiej był cudnym sopranem; teraz woli służyć baszy tureckiemu; lepiej jest wynagradzanym, a pieniądze lubi nadewszystko, lubo nie wie co z niemi zrobić i komu je zostawić, nikogo bowiem nie kocha na świecie, na wszystkich się gniewa, o wszystko jest zazdrosnym i żadnej nie ma wiary ani w Boga ani w życie przyszłe.

To przynajmniej dobrze w Turcyi i we wszystkich krajach muzułmańskich, że zabroniono przeistaczać kobiety na istoty bezpłciowe. To się wykonywało przecież, a może jeszcze się wykonywa w klasztorach żeńskich nie instrumentami chirurgicznemi lecz wcieraniami pewnych maści jodynowych a nawet datkami jodyny wewnętrznemi lub przynajmniej substancyi, które

się zawierają jak węgiel, gąbki etc. Czasem takie kuracye sprowadzały suchoty, ale mniejsza o to, ofiary umierały w Bogu, a któż może być szczęśliwszym na tym świecie jak istoty w Bogu umierające? Doznać jeszcze na tym padole płaczu i nędzy przedsmaku rozkoszy niebieskich, cóż pożądańszego?

Naturalnie, że tej metodzie kuracyjnej poddawano tylko zakonnice zbyt temperamentowe, takie jaką była żyjąca jeszcze (niestety rozumem umarła) Barbara Ub...., lub też żyjąca jeszcze pod wszystkiemi względami księżniczka Carac, autorka „Tajemnic klasztoru".

Wykrytemi zostały te tajemnice, od których okropności włosy dębem stają, dopiero w ostatnich czasach, dopiero od czasu jak światło błogiego słońca zajaśniało i do klasztorów, do więzień i do wnętrza serca niektórych dobrych księży, którzy nie chcieli nic mieć spólnego z aniołami ciemności i okrucieństwa. Oni zbliżyli się do Chrystusa jedynego Pana naszego, oddalając się od ludzi nieumiejących, pojąć, że brzydkiemi środkami niesposób dopiąć szlachetnych celów.

Wróćmy z tej wycieczki do klasztorów na pokład statku parowego śrubowo-kołowego „Carlotta" i przyjrzyjmy się jeszcze raz młodemu murzynkowi, którego w tej chwili rysuje Miss Virginia Innocent, pomimo swych trzydziestu siedmiu wiosen jeszcze zbyt niewinna, żeby mogła wiedzieć co mu brakuje. I on także biedny chłopaczek nie zna jeszcze swej niedoli, nie wie że nigdy nie będzie mężczyzną, że nigdy nie dozna objawów miłości i jej słodkich wzajemności. Lecz razem z uczuciem tęsknota doń nie została zniszczoną niestety! Przyjdzie czas, w którym do tego nowego pięknego życia zatęskni, tak jak niejeden człowiek, nie jedna nawet kobieta, świadomi swej wyższej boskiej przyrody tęsknią do wyższych sfer świata, tak zupełnie nieznanych, nieprzeczuwanych przez najliczniejszą część stworzeń ludzkich, dla poziomu urodzonych i dlań wychowanych. On zatęskni do pełnego człowieczeństwa pod którego poziom jeszcze został zniżonym. I wówczas dowie się jednakże do czego tęskni, dowie się tego zapewnie od jednej z tych młodych pięknych kobiet, których pilnuje cnoty: one się

zemszczą nad swym stróżem i katem, obznajmiając go z figlarnym szyderczym uśmiechem, z powodami tajemnemi jego powołania i jego niedoli. Wówczas zawrze jego serce i srogi mu bój wypowie, wtenczas się uczuje nieszczęśliwym, tak jak żaden młody silny człowiek, skazany za coś szlachetnego na śmierć, nie uczuł się nieszczęśliwym. I nie będzie się mógł pocieszać słowami: *dulce est pro patria mori*, tylko biedak powie sobie: moje ciało jest żyjącą trumną duszy, złością tchnącej, nienawiścią szarpanej, duszy obrzydzenie mnie sprawiającej.

Wściekłość wstąpi do jego duszy, bo gdzież może wykwitnąć duch chrystianizmu w duszy człowieka, wychowanego w srogim islamizmie? wściekłość wstąpi w jego duszę, największą rozkoszą dla niego będą katusze, które z rozkazu swego tłustego, niezdolnego, zazdrosnego baszy, będzie musiał zadawać owym pięknym kobietom. Może też czasem będzie mógł zaszyć jedną lub drugą w worek skórzany i wrzucić ją zaszytą z kotem i z żmiją do Bosforu, by tam była podrapaną, pokąsaną i nareszcie pożartą przez rekina.—Może też zdarzy mu się inna gratka: może będzie mógł porąbać w kawałki jakiegoś zbyt ciekawego junackiego giaura, który zbyt z blizka chciał zajrzeć w wielkie czarne (może farbowane) oczy tych sułtanek, kadinów lub odaliszek! Zdarzają się takie gratki eunuchom nawet po dziś dzień, w środku Galaty lub nawet Pery, i nikt o tem wiele nie mówi gdy się to wydarza,—ambasady i konsulaty milczą o tem i niebiorą tego rodzaju ofiar w opiekę: żaden kogut nie zapieje po ich śmierci, chowają ich kawały cichaczem bez bębna i bez trąbki, to rzecz która żadnego niema związku z polityką, to rzecz osobista.

Teraz już rysunek Miss Virginii ukazuje się: podziwiają go owe Kadine i korzystając ze sposobności, młodsze spuszczają cokolwiek jaszmak, tak że się naocznie możesz przekonać, że są istotnie ładne, piękne, dziwnie urocze.

Pomimo farb nakładanych *un peu partout*, nawet na paznokciach umieją się jednakże jakoś zarumienić i zadrżeć całem miłem ciałkiem z radości, że się widzą

podziwiane; widzisz że je przejmuje jakaś radość, jakaś dobra chęć, jakaś błoga gotowość do nieopierania się przy zdarzonej okazyi, i to się dzieje pod nosem właściciela i życiodzierżcy tych istot, owego tłustego baszy na którego ogromnej, obwisłej twarzy maluje się osłupienienie i osłowatość, jakiej by mu pozazdrościł czworonożny obywatel dardański.

Świat postępowy obszedł się dość sprawiedliwie z hydrą babilońską, która dziś tylko siódmą, jedynie jej pozostałą, głową syczy i skowyczy; miałżeby być mniej sprawiedliwym z siedmiołbowym cerberem Bosforu, który dla strzeżenia cnoty swych kobiet potrzebuje eunuchów, a na zatratę cnót chrześcianek, wysyła baszibuzuków? Nic doprawdy! Delenda Bisurmania! Delendi castratores.

Wystawić sobie, że do dzis dnia Kislar-Aga, to jest naczelnik czarnych rzezańców na dworze ottomańskim, ma rangę rzeczywistego tajnego radcy stanu, i powagę ministra a płacę i dwór księcia. Nosi wszystkie wysokie ordery a dwory zagraniczne starają się o przyjaźń jego i piękne mu niosą podarunki.

Może też kiedy nasz młody ładny murzynek zostanie Kislar-Agą, wielkim mistrzem runa złotego, Annuncyaty, Chrystusa i Grzegorza świętego,—jeśli damy potrwać panowaniu Bisurmanów i Jezuitów. Oby byli sub eodem tumulo sepulti! in eadem imprecatione condemnati!

Niebo cudne, żadnym nieocienione obłokiem, — morze spokojne lśni się ciemnym błękitem jak zwierciadło, i tylko zatumanione kołami i śrubami parowców przesuwających się opodal i z blizka w różnych kierunkach: tu i owdzie jakieś żaglowe statki nic się nie poruszające, skazane na bezczynność: ludzie na nich łowią ryby, piorą i suszą koszule i zazdrośnie wyzierają na nas z po za balustrad. Tak i mnie było przed tygodniem na „Zadarze“.

Nikt u nas niema morskiej choroby, wszyscy przy doskonałym apetycie, z czego ekonom statku niebardzo zadowolony, zwłaszcza żeśmy mieli na statku kilku, zawsze zgłodniałych, żarłocznych, jak się zdarzy sposobność, pasażerów włochów, którzy tem się różnią

niekorzystnie od hiszpanów, że bezdennym są wyposażeni żołądkiem. Hiszpana żadnego—trudno go ujrzyć w Europie, gdy się don Alfonsy z don Carlosami czubią w hesperyjskich ogrodach o koronę. Coronae sacra fames! niejeden doświadczy skutków tego apetytu ołowiem i konopiami, lecz to nie odstrasza Kastylii i Arragonu, Katalonii i Nawarry od brania udziału w walce, tylko Andaluzya siedzi jak może najspokojniej i klimatu swej urodzajnej ziemi używa rozkoszy. Nie głupie Andaluzy może dla tego, że w ich żyłach płynie krew Wandalów i Maurów do bigotyzmu nieskłonnych.

Noc nadeszła: księżyc tym razem świetnieje nieobecnością, lecz gwiazdy błyszczą tem weselej, zadowolone z tego, że taki podły trabant jak księżyc nie przyćmiewa ich samoistnego ciepłego światła. Izzedim-Bey, który mnie poznał już w Warnie, chętnie zemną rozmawia po francuzku, już położył spać swojego Bałwan-Baszę, już się też od dawna były cofnęły owe kadynie do kajuty osobnej, przez nie zajętej i tam gaworzą jak sroki wyrzucone z gniazda. Teraz niespostrzegany przez staro-turków może się wygadać zemną o tem i o owem: na nieszczęście że lubi mówić najwięcej o tem, o czem ja wiem najmniej, o - polityce. Z dwóch niematematycznych nauk z medycyny i z polityki, jeszcze mi się medycyna wydaje być więcej matematyczną, chociażem niedawno sam przez siedmiu lekarzy był poczytanym za umarłego i za takiego przez nich ogłoszonym urzędownie do Warszawy,— i chociażem przecie na własne uszy słyszał jak sławni, bardzo sławni lekarze nakłaniali pacyenta do poniesienia operacyi tracheotomii, jako jedynego środka do wyleczenia go z mniemanych zawad mechanicznych znajdujących się w krtani. Pacyent, Tyrolczyk arcykatolicki, modlący się in permanentia od rana do wieczora, zezwolił na operacyą, która miała się odbyć nazajutrz, lecz w nocy pomimo, wiary swej — powiesił się na śmierć, ze strachu przed operacyą. Po śmierci okazało się, że miał krtań tak zdrową, jak młody pies paszczę, lecz natomiast łuk aorty rozdęty jak gruba kiszka. Byłby umarł jednakże, jeszcze gorzej umarł i ciążył jeszcze kilka miesięcy dłużej na budżecie pań-

stwa austryackiego; więc ze względu tego w Austryi najważniejszego, nie należy żalić się na lekarzy, owszem trzeba ich chwalić. Ależ to niedowodzi matematyczności medycyny. Jednakże utrzymują, że medycyna jest jeszcze sztuką matematyczniejszą od polityki, bo ta często nakazuje pomagać oczywistym wrogom i gnębić najoczywistszych współbraci, co mi się wydaje być straszliwszym jeszcze błędem, płodnym w wyniki najokrutniejsze.

Izzedim-Bey syn bogatego kupca w Stambule, który na tytoniu i balzamie Mekki zrobił majątek, wychowanie otrzymał staranniejsze, wstąpił do korpusu kadetów, a że jest z przyrody minnym, to jest tłustym i że się nauczył paplać po francuzku, więc został w krótce oficerem i posłany był, jako oficer, do ambasady tureckiej, gdzie go Francuzki nie mało rzeczy w Paryżu nauczyły i oswobodziły ze zbytniej tuszy i z pieniędzy, z kredytu, z wiary w Alkoran i z wiary w potrzebę płacenia długów. Natomiast nauczył się grywać w karty, pić; bić się w pojedynku i chodzić na msze ranne pokryjomu, dla spotykania się z dewotkami, które służyły zarazem Kupidynowi i Lojoli.

— Utrzymują nawet, proszę Doktora—wyznał mi Izzedim-Bey— żem się nawrócił do katolicyzmu i że mnie do chrztu trzymali pani Ratazzi-Bonaparte z panią Georges Sand figurującą przy tej ceremonii jako mężczyzna w butach palonych z ostrogami, co może istotnie miało miejsce, bom w takim się znajdował przez czas niejaki szale roztargnienia, czy sztucznego automatecznego życia, żem istotnie, nie będąc nawet pijanym, wszystko robił jak gdybym nie działał sam tylko przez inną jaką osobę oderwaną od mej indywidualności, od mego ducha: siły fizyczne pomimo to wszystko pozostawały we mnie nie do wytłómaczenia, wielkie i niemi szastałem jak szaleniec bezdennemi rozporządzający zasobami życia.

Do tego jednakże przyszło, że mnie jednej pięknej nocy porwano, nie wiem czy u pani R.-B., czy u pani G. S. czy u Teresy Rigolboche, czy u jakiejś innej damy, zamknięto w jakimś wozie komórko-

wym, zawieziono do Marsylii, potem do Konstantynopola, tam osadzono w fortecy Jeni-Kale, to jest siedmiofuntowej i trzymano rok cały wyliczając mi co tydzień jaknajsumienniej pięćdziesiąt mioteł na podeszwy, nawet podczas Bajramu i innych świąt najsolenniejszych. Niezaniedbano przytem mojego zdrowia, ani pod cielesnym ani pod duchowym względem, ręczę za to panu Doktorowi, kąpiele, lekcye religii, gimnastyka, nauki polityczne, geografia i frykcye antyspazmatyczne, wszystko to było użytem tak systematycznie jak w najlepszym zakładzie bonifraterskim: nie odmawiano niczego prócz tego com żądał, a gdym prosił o wino dano mi emetyk rozpuszczony w soku malinowym. Wszystko to na koszt ojca mojego i zdaje mi się na jego prożby,—lecz z kontrol wojskowych nie wykreślono mnie jednakże, owszem w Jeni-Kalé-Kapu dosłużyłem się stopnia majora i zostałem nareszcie przeznaczony na szefa sztabu drugiego, to jest polnego Baszy Bulgaryi, który ma jedną z sióstr moich za jednę z swych czterech tak mu potrzebnych żon, i który choć zdaje się być ospałym niedołęgą, jest jednym z najfanatyczniejszych, najsurowszych staroturków, którego córki mam zaszczyt być mężem. Pozostała w Warnie, obdarzywszy mnie przed dziesięciu miesiącami synem. Otóż moje curriculum vitae, teraz nie wiem czy się lękamy czy spodziewamy wojny, która także nie wiemy jak się skończy, ale zdaje mi się, że chyba naszym odjazdem z Europy, — boć to przecież nie my, lecz przyjaciel Albion skórę naszą sprzeda. Otóż teraz wiemy czem jest i jak rozumuje Nowa-Turcya.

Zaprzeczyć nie sposób że w nowszych czasach, gdy się jasno spostrzeżono na zgubnej polityce Abdul Azisa, utworzyło się pomiędzy Turkami stronnictwo, które widzi jak rączym krokiem porta Ottomańska spieszy do nieodzownej od dawna przepaści, i które otrząsnąwszy się od niedorzecznego fatalizmu tureckiego paraliżującego wszelką energię, radeby powstrzymać przyśpieszenie chociażby na czas, potrzebny na wprowadzenie jakiej takiej oświaty. Rodowitych, czystej krwi turków nader mało pomiędzy temi oświeńcenśze-

mi patryotami, gdyż rodowitym turkiem jest tylko ten co ślepo wierzy, że swojego losu nieuniknie ani człowiek ani pchła, chociaż ma stosunkowo czterdzieści tysięcy więcej sił i rozumu niż człowiek.

Pchłę ubóstwiają Turcy jako istotę bardzo silną, mądrą i szczęśliwą, ich poeci opiewali ją jeszcze przed wielkim Goethe.

Postępowi Turcy mają po największej części w sobie coś z krwi żydowskiej, jak Midat-Basza, lub greckiej, lub też przynajmniej arabskiej, bardzo różnej od tureckiej, jak to później poznamy. Otrzymali oni wychowanie po za granicami ojczyzny, bardzo rzadko sposobem systematycznym lub poprawnym. Liczba ich nie jest wcale legionem i przytem, biorąc inicyatywę ratunku na tonącym okręcie, znajdują we własnej ojczyznie najzajadlejszych przeciwników swych pojęć i dążności, i wystawieni są na wszelkie szwanki ze strony gnuśnych, zbutwiałych w uporze starowierców.

Niestety, tak zawsze bywało z wszystkiemi szlachetniejszemi, we wszystkich krajach, tracących byt polityczny: biada tym była i u nas co krzyczeli na widok przepaści, biada tym co ostrzegali, biada tym co radzili zwrócić się na inną drogę: ci chociażby byli dali dowody niezaprzeczonego męztwa i poświęcenia, ogłoszeni zostali jako zapaleńcy, heretycy, lub zdrajcy ojczyzny, i to przez ludzi do wszelkiego wysilenia, do wszelkiego poświęcenia najzupełniej niezdolnych. *Vox populi* daje się w tych krajach słyszeć, dopiero razem z płaczem krokodyla, to jest kiedy messyasze już zabici, pożarci i strawieni i kiedy nic z nich nie pozostało prócz kości, których połknąć nie sposób.

Co się zaś tycze owej rozgłośnej od niejakiego czasu, tureckiej oświaty, o której nawet Anglicy mówią z tak pociesznie poważną miną, jak gdyby w nią istotnie wierzyli, o tej nie można nic poważnego mówić bez wystawienia się na śmiech. Na teraz tylko powiem, że pomiędzy Turkami uczonemi niema stu osób któreby z pewnością wiedzieli co jest właściwie *Lechli*, to jest Polak. Pod nazwą *Lechli* naród, to jest lud, mieszczanie, wojsko, szlachta w Turcyi pojmują tylko owego żyda polskiego, który brudny, wychudły, obdarty,

kołtunem ozdobiony i świerzbą trapiony, przybywa tutaj aby sobie wyżebrać sposoby dostania się Bóg wie jaką drogą do Jerozolimy, by tam błąkać się nad ruinami świątyni Salomona i zostać pochowany z kołtunem polskim, świerzbą żydowską i owadem kosmopolitycznym w dolinie Józafata.

Polacy którzy chcą być poważanemi, muszą uzurpować narodowość obcą i nazwać się Madziarami, muszą pożyczać nazwę swej własnej narodowości od narodu, który już od czasu uzyskanej ze strony polaków pomocy, od roku 1849-go wcale nieprzychylnym na nas patrzy okiem. „Tot ember nem ember“, „sławiański człowiek nie jest człowiekiem“, jest to przysłowie, które każdemu madziarowi wymyka się codziennie ze dwadzieścia razy z ust: czy jest pijanym, czy trzeźwym, czy w przytomności sławianina czy nie. Jest rzeczą prawdziwie upokarzającą dla polaków, którzy ciągle potrzebują przytułku u owego Turka a zyskać go nie mogą, jak tylko podszywając się pod narodowość, która jest, wyrzec to muszę śmiało, do najwyższego stopnia nienawistną.

Wiem, że tem śmiałem, bezogródkowem, lecz sumiennem wyrzeczeniem, ciężki zadaję cios naszym tak tkliwie, starannie pielęgnowanym illuzjom, — ale zdaje mi się że już nie jesteśmy dziećmi ani też jeszcze zgrzybiałemi starcami, którym illuzja do szczęścia wystarczyć powinna, — zdaje mi się, że już czas rozbrat wziąść z mrzonkami, i spojrzeć prawdzie, surowej lecz świętej, arcyświętej prawdzie odważnie w oczy.

My sobie wystawiamy, że owi Turcy ciągle jeszcze mówią o cięgach otrzymanych niegdyś sto dziewięćdziesiąt sześć lat temu od Sobieskiego i jego dzielnych Polaków, i że Turcy nas za te cięgi kochają tak jak Francuzi kochają teraz Rossyan za klęski doświadczone 1812 roku. Bynajmniej! Turcy od bardzo dawna o niczem nie mówią jak o niechybnych klęskach, które ich czekają za niesprawiedliwość, gwałty i rozboje, których się dopuścili przeciwko różnowiercom mianowicie Grekom i Sławianom; wszystko inne w tych tępych mózgach zaginęło jak ziarnka maku w błocie, tak jest, mózg turecki jest Letą w której ginie wszys-

tka pamięć, Styryjczyk jest jeszcze geniuszem w porównaniu z Turkiem, a Styryjczyk przecież jeszcze głupszy od Szwaba, który dopiero w 40 roku życia przychodzi do mądrości.

Dość że Turek nie wie że jesteśmy Polakami! My zaś spodziewamy się od niego ocalenia i ratunku. Do jakiego stopnia oślepienia wiedzie długi szereg niedoli i do czego doprowadzają długie lata życia niepraktycznego.

Izzedim-Bey przemawiał do mnie z wszelką otwartością człowieka światowego, przywykłego do szczerości pomiędzy Paryżanami: o sułtanie Abd-ul-Azis, opowiadał mi nie jedną rzecz, świadczącą o jego dziwacznie chorobliwem usposobieniu, o jego niemoralności, gniewliwości i przewrotnych gusłach, tak jakby tu rozmowa się nietoczyła o „cieniu Bożym na ziemi“ o jestestwie wyniesionem po nad wszelkie prawa, które nigdy dopuścić się nie może żadnego grzechu, nawet gdyby kazał zabić wszystkich swoich braci, ba nawet rodzoną matkę: jest on właścicielem życia wszystkich swych poddanych, wszystkiego co oni posiadają nawet i honoru, — a przytem jest także nieomylnym zupełnie jak papież, nieomylnym zawsze nawet i w największym gniewie i wszędzie, w dywanie, na placu musztry, w seraju, w stajniach, w swych olbrzymich kurnikach i w swym haremie napełnionym różnokolorowemi, różnotuszowemi, różnego wzrostu kobietami i -chłopcami, przytem liczną czeredą na rozmaity sposób znijaczonych eunuchów.

Zwyczaj używania tych istot do strzeżenia kobiet jest koniecznem następstwem wielożeństwa; kobieta żeby była najzazdrośniejszą, najprzenikliwszą, nie upilnuje cnoty drugiej kobiety, w której się rozkiełznały złe namiętności. Na to trzeba istot nielitościwych, nieznających przyczyn, powodów tych namiętności, do chuci ślepej spotęgowanych, — na to trzeba srogich eunuchów.

Były to istoty wprawdzie już znane na dworach Cesarzy bizantyńskich i rzymskich, gdy tam przeniknęły zniewieściałość i zepsucie azjatyckie, lecz ci eunuchowie, zwani Thibiae lub też Thlasiae, nie byli tak

zupełnie znijaczeni skalpelem jak są eunuchowie tureccy, byli tylko pozbawieni władzy prokreacyjnej. Wyuzdane damy greckie i rzymskie mogły jeszcze znajdować przyjemność w stosunkach z takiemi istotatami. Niektórzy z tych bawideł odgrywali nawet znakomitą rolę, na przykład waleczny Narzes pogromca Ostrogotów we Włoszech za czasów cesarza Justiniana I, którego małżonki był bawidłem. Sprawował długo rządy w państwie włoskiem, lecz został, nadużywając swej władzy, od niej usuniętym przez cesarza Justyna II. Nie mógł mściwy eunuch znieść tej zniewagi i sprowadził do Italii owych sławnych Longobardów aż z pomorskiej wyspy Rygen. Ci osiedlili się na największej, najżyźniejszej, najpiękniejszej płaszczyznie, jaka istnieje na świecie, w dzisiejszej bogatej Lombardyi, której stołeczne miasto Medyolan zawiera w sobie najświetniejszy pomnik gotycki jakim ziemia pochlubić się może. I tak Longobardowie stali się najdzielniejszemi włochami, nad wszystkiemi innemi cnotą, geniuszem, pracą i walecznością górującemi: celują także i siłą, nie zaś poprawną pięknością Toskana, który z resztą pod względem cnoty i waleczności niestety mało wart.

Abbas-Kuli-Khan dzielny wojowniczy monarcha perski był także ułamkowym człowiekiem a jednak zasłynął na całej kuli ziemskiej walecznością. Ale zawsze lepiej uszanować we wszystkiem naturę, ludzie całkowici mają dobre serca, mówi sumienna i znająca się na rzeczach pani Georges Sand. Szkoda że ofiarą tego przekonania był Alfred Musset i nasz wielki nieodżałowany Chopin; a to zawdzięczamy wielkiemu Adamowi który ją w kółko polskie wprowadził.

— Ile też wart taki murzynek jak ten ładny Gabril?—spytałem Izzedim-Beya.

— Pomiędzy braćmi wart na francuzką monetę 5532 franków i 75 centymów; to towar drogi, bo w ostatnich czasach Kedyw niewiele sprzedaje poddanych nubijskich, dla tego że na ospę i na spolczę wiele tego wymarło, — odpowie Bey obrachowawszy na palcach wartość ówczesną medżidiów i piastrów i dodał:—z resztą zdaje mi się, że go mój szwagier i teść

chowa dla haremu sułtana, radby za niego otrzymać wyższy order Niszanda-Iftisza, — umie kierować swoją barką mój Bałwan-Basza choć tak safandułowato wygląda, aleć to stary lis, który korzystając z kształtu, zaczaja się w formie niedźwiedzia; takim sposobem wybrnął z owczarza na baszę i dziś jest dygnitarzem ottomańskim, posiada wielkie włości w Anatolii, dokąd się cofniemy prędzej lub później i najpiękniejsze ma żony, z których jedną Włoszkę, utrzymującą, że Szeik-ul-Roman z nią jest spokrewniony.

— A któż jest ów Szeik-ul-Roman?

— A przecież to papież,—Szeik to znaczy Głowa,—ull, znaczy nad religią,— a roman, znaczy rzymski—rzymska—rzymskie, to przecież nie trudne do pojęcia,— ałłaim! aïssarak! niech mnie Pan Bóg skarze!

— Ełdibum - ełdibum „pojmuję pojmuję“— rzekuę zastanowiwszy się i zaciągnąwszy się wspólną fajką, która miała kilka giętkich cybuchów, z których nieraz przychodził się zaciągnąć młodziuchny murzynek generis neutrius i także inny ogromny czarny Kislar-Aga Bałwan-Baszy. Ten to już miał fizyognomię człowieka któremu zabójstwo własnego brata wielką zrobiłoby przyjemność gdyby je mógł popełnić w obronie cnoty poruczonych mu hurysek, to jest niewiast haremowych.

W taki sposób zeszła cała noc bez snu i bez nudów dla mnie, dla Izzedim Beya i dla kilku innych podróżnych, chciwych wrażeń poetycznych. Trzeba oddać sprawiedliwość naszemu ucywilizowanemu turkowi, — spędził całą noc nie pijąc nic więcej jak czarną kawę bez cukru, lecz jej wypił przynajmniej dwanaście filiżaneczek razem zemną, —jego kafejdzi który zarazem był jego czibukirim, babudczym i kaftandżim, przychodził co pół godziny po rozkazy i z oka nie spuszczał pana swojego.

— Wielkie ma staranie około ciebie twój kafejdzi Majorze — rzekłem do towarzysza mojego.

— Spodziewam się—jest on właściwie bratem moim i to nawet w dwojaki sposób, jego bowiem matka karmiła mnie, jej zaś matka mulatka była już córką w obliczu natury dziadka mojego, tak żeśmy djablo z sobą spokrewnieni; dobry z resztą człowiek niema co

mówić, niemiałem potrzeby karać go ani razu, i tem więcej wart, że go pomimo dobrego wzrostu i mocnych sił żadnym sposobem do wojska wziąść nie można, bo kulawy na nogę, ślepy na prawe oko i palec wskazujący ma ucięty u prawej ręki i sam sobie hultaj zadał wszystkie te kalectwa by uniknąc zaszczytu walczenia za ojczyznę; a jednakże wszystkiemi temi kalectwami nie wykpi się z wojska jeżeli przyjdzie do wojny świętej. Jeżeli wojna wybuchnie, nie ustąpimy tak łatwo z tej pięknej Europy, z tego cudnego Carogrodu, z tego raju naszego, gruzami ziemię zawalimy jak Kartagina, Sagunt i Numancya".

— Zdrajców niema u nas....

— Tak, mówił, Strasburg, Metz, nec Hercules contra plures.

— Jeśli tak napisano w księdze wyroków....

— Nic tam nie napisano, — księga wyroków jest gazetą, która źle zapisuje to co się stało: wola ludzi i przypadkowości nieprzewidzialne — szczęśliwyś mój Beju że masz dobra w Azyi, będziesz mógł dzieciom opowiadać coś doświadczył w wojnie, która się gotuje, jeśli w niej nie polegniesz....

— Albożto jest u nas życie familijne? z moją żoną chociaż jest dobrze wychowaną, baszówną, trzech słów mówić nie można o niczem rozsądnem, a moje dzieci będą przez nią i przez jej odaliszki wychowane, ja zaś muszę tym czasem prawić o polityce z głupiemi jak barany baszami i innemi dygnitarzami w dywanach, kąpielach i kawiarniach, lub też oganiać moje pola i ogrody z rabusiów, których się namnoży w Azyi do miliona.

Niema nieszczęśliwszej istoty na świecie jak ucywilizowany turek: fanatyzm nie zaciemnia mu już oczu, widzi on jasno że Turek w Europie jest anachronizmem i to nawet widzi że wielożeństwo nie doprowadza do rozmnożenia rassy ludzkiej, lecz ją raczej osłabia; za swoje dobre chęci kiedy daje dobre rady ziomkom, jest przez nich znienawidzonym, traktowanym jak ja byłem w Jeni-Kalé-hissar smaganiem, postami i więzieniem, jeśli nie jest po prostu uduszonym przez Capici-baszów i gwałtem jak ja ożeniony z malowaną wszędzie i wyskubaną

turczynką, z którą ani mówić, ani śmiać się ani żartować nie można i która tylko dla tego je i pije, żeby się zapasła i zazdrość u innych wzbudzała swą tuszą. Bodajto być we Francyi, lecz na to trzeba pieniędzy, których Turek zarobić nie może, bo jest niedołężnym i gnuśnym, nawet gdy zdobędzie ową pozorną cywilizacyę, którą my jesteśmy wstanie zdobyć. — Dalibóg, gdyby mnie nie było wstyd że to robię przed wojną, która niezawodnie wybuchnie, tobym sobie.... ah! patrz pan tam na wschód, widzi pan co tam błysło?

— To jakieś dziwnie świetniejące światło—to jakiś wystrzał—zaraz usłyszymy huk działa.

— Nie doktorze, to wschód słońca na lądzie i pod niebem czystem na którem niema najmniejszego obłoku i dla tego też nie jest poprzedzony żadną zorzą a razi oczy jak światło elektryczne. Słońce wschodzi nad Anatolią! Mustafa haho! wody i kobierca!

Mustafa przyszedł: Bey się obmył i klęknął na rozpostartym kobiercu, wzrok swój topiąc we wspaniały meteor wschodzący z majestatem nad horyzontem, odmawiając półgłosem modlitwy w arabskim języku, bijąc głową o ziemię z pewnem rozczuleniem, dowodzącem że jednakże tej akcyi nie wykonywa wprost tylko z przyzwyczajenia lub rutynicznie.

Na spodzie serca tego człowieka tak zbałamuconego, tak popsutego, jest jednakże jakieś godne poszanowania uczucie: jestem pewien, że z tego Turka zrobiłbym dobrego chrześcianina, lecz nie sposobami takich nawrócicieli jak pani Ratazzi, Drewant, Teresa, i Rigolboche.

Płyniemy wartkim a wązkim kanałem, który przedziela Europę od Azyi; z jednej i z drugiej strony rozwijają się cudne widoki, którym budynki i wegetacya nadają charakter czysto oryentalny, porywający bogactwem i nadobnością. Tu istotnie wszystko inaczej jak gdziekolwiek indziej, — tu istotnie nie napróżno pracowano od czterech wieków by miejscowości nadać charakter osobliwy, bardzo różny od europejskiego. Te wzdęte kopuliste meczety niepodobne do kościołów, te minarety wysoko wystrzelone niepodobne do żadnej z naszych wież, te kioski, pałacyki, gmachy i fortyfikacye

zdają się nie ciężyć na ziemi, lecz nad nią bujać pomiędzy drzewami; te cyprysy, niby podobne do naszych topoli: lecz jeszcze wyższe, ciemniejsze, dziwnie drżące i pachnące już z daleka, nawet owe wiatraki ze skrzydłami szerokiemi płóciennemi, szybciej i daleko lżej się kręcą od naszych. Z każdym powiewem mocny dochodzi zapach mimozy, róż miliardu, jaśminu i tego bzu prawdziwie tureckiego, pękatego, barwy różowo-modrej lub też białej. Tu i owdzie rzeczka spada szumną kataraktą w morze; gdzieindziej biją wodotryski sztuczne. Wojska czerwono-czubatego wiele, czuwającego nad straszliwie dużemi działami, mało po nad poziom morza wyniesionemi; tu wchodzą, tu wychodzą na górne fortyfikacye, na reduty gwiazdowe i kwadratowe, spiczaste i okrągłe szeregi wojska wolno, poważnie, wcale regularnie: twarze ich ciemne, niektóre prawie zupełnie czarne, czy z powodu opalenia, czy krwi zmięszanej z murzyńską, niektóre tylko jaśniejsze, prawie europejskiego kroju, lecz jednakże nie jak nasze.

Biegną ku nam kaiki niezmiernie długie, wązkie i spiczaste, skacząc jak ptaki ze spienionego grzbietu jednej fali na drugą, a proszę patrzeć na te karki buhajowe, na te ramiona herkulesowe wioślarzy! I ci ludzie dziwili się olbrzymim postaciom Polaków i Węgrów zabranych w niewolę po nieszczęśliwej bitwie warneńskiej, czterysta trzydzieści lat temu. Tak w ich książkach przecież napisano. Tośmy chyba zmaleli, oni zaś wyrośli od tego czasu. Ale nie — tak zgrubieli i ztężeli, ciągle wiosłując jak niewolnicy, dniem i nocą, a Bóg wie ile ich umiera ze znoju, nim jeden tak wybuja siłą. Tu Therapia, owdzie Buyuk-Dere, tu Uglu-Maidan, owdzie Rezlej-liflik, jedno cudniejsze od drugiego; są i lasy gęste, tuż nieopodal lasy pełne dzików, skał, kniei, wód wrzących, — jest tu niesłychane bogactwo i piękno, wierzę, że niejednemu mocarstwu ślinka zbiera się w ustach, gdy nań patrzy zdumiałem, chciwem okiem i porówna je z lodowatemi stepami, lub też nawet z zieloną płaszczyzną Erynu, na której brat brata rodzi i to z wielką biedą.

Krąży tu mnóstwo statków, a z przystani wyzierają maszty i kominy pancerników, monitorów, fregat

i olbrzymich liniowców z niesłychanem mnóstwem żelaznych wulkanów, plujących pigułkami żelaznemi, w których byś pomieścił z korzec kartaczów.

A jednak to wszystko niepomoże: Turek w Europie jest anomalią, anachronizmem, cholerą, jabłkiem niezgody, bankructwem całego świata i zagładą chrystianizmu, bo zbyt wiele wzbudza chciwości, zazdrości, nienawiści i każde mocarstwo zmusza do trzymania ogromnej siły wojska i do zaniedbywania ziemi, potrzebnej na wyżywienie pracować chcących, umiejących i zmuszonych do tego ludzi. Muszą te cudowne miejsca przejść w inne choćby neutralne ręce, a Turek musi wrócić do swej starej Azyi, gdzie się kiedyś urodził i gdzie dość miejsca na pomieszczenie wielu milionów ludzi. Niech pracuje w roli, tak jak pracuje Bulgar, Serb, Bośniak, Czarnogórzec, a będzie miał z czego się wyżywić. A niemamyż to w Europie dość żydów, na których wyżywienie pracować musi chrześcianin, aby oni mogli w próżniackim handlu i w szachrajstwie, przechowywać siły potrzebne do rozmnożenia się jak ryby w morzu? i aby mogli urągać się z głupoty tych, co tak ciężko pracują? A ty Turku, jeszcze niezadowolony z łupu, tłuczesz, bijesz, zabijasz, i ze czci okradasz tych, z których pracy żyjesz, — i nareszcie wszystkich w twój kredyt i uczciwość wierzących z majątku obdzierasz i bankrutować chcesz bezkarnie jak nigdy nie bankrutował najprzebieglejszy żyd! gorszym jeszcze chcesz być od tego dobrodzieja świata, który opanował bogactwo już niejednego kraju? Tamtym pozwoliliśmy się rodzić pomiędzy nami, temci gorzej dla nas; ale ty Turku urodziłeś się w Europie gwałtem i ustąpić z niej musisz niebawem, aby można rozpuścić wojska i żyć bez myślenia ciągle o samobójstwie, jako o jedynej kotwicy ratunku.

Coraz wyższe minarety, coraz większe pałace i ogrody: Bosfor się rozdwaja: na prawo róg złoty, na lewo droga do morza Marmara; klinem wchodzi pomiędzy te wodne widły Stambuł, nad nim las minaretów i ogromne kopuły kilkunastu meczetów, górujących nad grodem i dziwnej formy, olbrzymia wieża Seraskieratu, na lewo Azja, miasto Skutari ze swemi rozległemi cmentarzami w lasach cyprysowych, dalej

na wschód góra Burgurlu mytologicznej pamięci; na prawo Europa, na dole Galata na górze Pera,—mało tu minaretów, lecz nad wszystkiem panuje ogromna bastionowa wieża Galaty, stawiana przed sześciu wiekami, przez Genueńczyków, kiedy tu panowali, a dziś tak piękna jak z igły zdjęta. Piętrzą się gmachy coraz wyżej i coraz wyższe, przedzielane cmentarzami i gajami cyprysów; pałace sułtańskie Besiktacze, Dolmabagdże, u stóp Europy, stary Seraj sułtański kąpie się w morzu między ogrodami. W Stambule, w Skutari, inny pałac padiszacha Begler-Bey, tysiące okrętów z wszystkich krajów i na nich tysiące chorągwi i znaków kolorowych — bo to piątek, sułtana wiozą do meczetu, huk dział bezprzestanny, a pół miliona ludu krzyczy co tylko stanie tchu, głosami lwiemi i tak głośno, że w uszach tętni straszliwie; sułtana wiozą w złocistej gondoli, w poczcie stu dygnitarzy obhaftowanych złotem. Sułtan sam, ponury, osłupiały, obłędny, przewiduje zapewnie, że takie życie jak on je pędzi, trwać nie może długo, i że mu Parka pożyczyć musi nożyczek, by je sobie sam przeciął.

Stałem samotny na pokładzie, nie często znajdowałem się w tym stanie odurzenia, może nawet nigdy, wiem, że widok Londynu, Lizbony, Paryża ani żadnego innego miasta, tak na mnie silnego wrażenia nie wywarł; majestatyczność Konstantynopola przechodzi wszystkie inne, tu natura i ludzie przeszli się, by coś wykonać co możliwość opisu przechodzi, a cóż dopiero gdy w myśli zbierzesz historyczność trzydziestowiekową, tych miejsc o których śpiewał Homer i Pindar, Byron i Mickiewicz?

Przystąpił do mnie Izzedim-Bey i spytał:

— Czemuś tak posępny Doktorze?

— Kochany Beyu, żal mi siebie samego: nieśmiem wstąpić do tego cudnego grodu z obawy, bym w jego wnętrzu nie znalazł rozczarowania; obawiam się przedewszystkiem spotkać ziomków, których kiedyś znałem dobremi chrześcianami.

— A których teraz obawiasz się znaleźć dobremi muzułmanami.... ha! ha! nie lękaj się, znajdziesz ich najgorszemi turkami w kawiarni Bul-Bul, na Pera,

z kieliszkiem w prawicy, z kartami w lewicy, z buzią przesyłającą całusy jakiejś podstarzałej tancerce włoskiej, która płaci dyrektorowi teatru, aby mogła występować na scenę i wabić głupców problematycznemi wdziękami. Lecz wchodzę w położenie Twoje i wiesz co drogi Doktorze, ja mieszkam w Azyi w Skutari z moim Bałwan-Baszą,— wyląduj raczej w Azyi, gdzie mnie wszystkie znają władze i gdzie ci będę mógł wszystko ułatwić, gdzie z resztą i łatwiej żyć; mieszkać możesz u mnie, jeśli niepogardzisz mą strzechą, konie moje na Twoje rozporządzenie, a do wycieczek bliższych, i dalszych, mnóstwo powodów. Pozostań dni kilka w Azyi, potem dopiero, po aklimatyzacyi, przepraw się do Europy, już zorientowany. Co; zupełnie oryginalny sposób poznania Stambułu. Ofiaruję ci to sans façon, ale z serca, sposobem zupełnie patryarchalno-oryentalnym. Przyjmujesz?—otóż nasze czółna, które przybywają po nas: z resztą Bałwan-Basza ma kilka chorych żon i kilkanaścioro chorych dzieci, wiemże chciałby się o nie poradzić ciebie.

Nieśmiałem się opierać tak serdecznemu zaproszeniu, z resztą czyż mogłem znaleźć lepszą sposobność poznania od razu tajemnic życia tureckiego? Bey był zadowolony z mego zezwolenia, Basza także, nawet Baszowe i Baszówny z tego się cieszyły.

Zamieszkiwali naprzeciw największego cmentarza obszerny dom, który właściwie składał się z dwóch połączonych dwiema krytemi galerjami, jeden dla mężczyzn, drugi zaś dla kobiet i dla eunuchów, z oddzielnym ogródkiem.

Ogród dla mężczyzn, był obszernym i dzikim, wiele w nim baranów, kóz, gazelli, drobiu i królików, barwą zupełnie do zajęcy podobnych i w kotlinach pod krzakami żyjących. Pomarańczy, fig, przedziwnych moreli, brzoskwiń, śliwek dużych, zielono-złocistych, granatów, orzeszyny tureckiej, gruszek małgorzatek, tamarindy, świętojańskiego chleba, jabłuszek rajskich, poprawnego gatunku, tak wielka ilość, jakiej nigdy niewidziałem nagromadzonej, ani w Hiszpanii południowej, ani w znanych mi częściach Afryki północnej. A lubo i tu były wysłanniki tej części świata, palmy różnorodne,

aloesy i kaktusy, tem się odróżniała wegetacya o której mowa, od afrykańskiej, że się wśród niej udawały wybornie kartofle, rzepa, buraki, marchew, kalafiory a nawet kapusta, chociaż nie północna polska, lecz owa sabaudzka, mniej wiśniowa, twarda i wielka, dająca się wprawdzie kisić, lecz wówczas mniej smaczna od naszej. Tereśnie, maliny, agrest, już były zjedzone, lecz właśnie dojrzewają późne wiśnie i gruszki.

Niechcę już wspominać o kwiatach, nieskończyłbym nigdy, bo to już mój temat ulubiony, lubo przecież i owocami nie gardzę wcale, i tego ze trzy funty na dzień różnego rodzaju, przeplatając, spożywać mogę bezkarnie, bez narażenia zdrowia.

Gazelle z Libanu, moje miłe faworytki, z temi dużemi oczyma, z mrugającym czarnym nosem, z różkami utoczonemi przez tokarza i z nóżkami filigranowemi a silnemi jak stal, owe miłe antylopki syryjskie z paliową złotolśniącą szerścią, karmię brzoskwiniami i morelą; już we mnie poznały dobroczyńcę i gdy mnie z daleka zobaczą, suną się ku mnie jednozgodnie przez klomby, krzewy i owe róże w ściśnionych szeregach gęsto rosnące, jak żywe, nieprzebite płoty a tak obficie kwitnące, że barwy ich liści nie widać, i że ich mocny zapach byłby niezdrowym dla śpiących. To już róże azyatyckie, perskie, z których i w tym ogrodzie młode murzynki wyrabiają olejek różanny w trzech sadzawkach, na to jedynie przeznaczonych. Dwie czy trzy z tych murzynek nie straszą brzydotą, owszem — prawie nią przyciągają; dziwnie wyglądają te czarne lśniące twarze z owemi ognistemi, w białku od sporego jaja pływającemi oczyma; te błyszczące zęby zawarte w czerwonych ustach, często się śmiejących prawie od ucha do ucha, wcale nie sprawiają odstraszającego wrażenia; przytem, to kwilenie ptaków rozgospodarowanych rojami w każdem drzewie, w każdym krzewie, ów klimat rozgrzewający nawet szpik kości, ów aromat woniejący — wszystko to płodzi uczucia i ponęty, których się Lady Montague, choć angielka, nie wstydziła i które miała odwagę wyjawić pismem i drukiem, Anglii i światu. Nie! tego jej junactwa niepozazdroszczę, — i nie odpowiadam wcale za honor jej małżonka.

Róże i mimoze, lilie i mirabel-jalapy, muzy rajskie i tulipany na drzewach, wielkie jak dzwony, czerwone słoneczniki i pachnące grochy, dionee co muchy łapią i hedyzary co się ściskają i kręcą, kwiat aloesu na wysokich tykach złoto szafranowy i jaskrawe kaktusy, wszystko czaruje barwą, kształtem, ruchem i wonią i rośnie, rozkrzewia się tak szybko, że prawie widzisz i słyszysz wzrost roślin.

Na samym końcu długiego i szerokiego prawie na wiorstę ogrodu, znajdziesz mały meczet, nie jest pięknym, lecz niezmiernie starożytnym i wiemy, że kiedyś przed czterema wiekami, przez pięć lub sześć poprzednich służył za świątynię chrześcianom ; lecz ich liczba zmiejszyła się ogromnie w przyległych Europie częściach po wtargnięciu Turków, którym niezgody chrześcian greckich i łacińskich, sławiańskich i giermańskich, pozwoliły się do tego stopnia rozburszować, że potem wszyscy razem nie potrafili się oprzeć rozpasanej Bisurmanii; pomimo pięknej, szlachetnej religii, któraby powinna była skoncentrować święte natchnienia serca i wezwać do wspólnej obrony, więcej się zaprzątał ów wiek wytępieniem tak zwanej herezyi i schizmy, niż bronieniem się przeciw bisurmanii, i z tego powodu, też najpiękniejsza dotąd świątynia chrześciańska św. Zofii i kilka tysięcy innych kościołów dostały się w ręce Turków.

W tej kaplicy nie chwalą już Panadyi, lecz Allahę i Mahomę, a stary Muezzin zaprasza do modlitwy ze szczytu tego minaretu, wołając a raczej stękając pięć razy na dzień swoje: Ła! iłłali iłłach Ałłah! Nie jest pięknym ten minaret, nie okrągły lecz kwadratowy, jak wieża, lecz jest uroczy, bo służy za gołębnik tysiącom ducha świętego przedstawicielom, które i tutaj również jak w Rossyi są szanowane z religijnem wylaniem, i które używają przywilejów wcale niekorzystnych dla właścicieli ogrodów i pól, zwłaszcza dla tych co groch sieją. U nas niecierpianoby pewno tych natrętnych gości.

W ogrodzie Bałwan-Baszy, stoi kilka kiosków sporych i piętrowych, rozsianych pomiędzy drzewami i krzewami, a otoczonych żywemi płotami róż: równo z ziemią salon dość duży i kuchenka, na piętrze izba sy-

pialna; służą te kioski na pomieszczenie gości i jeden z nich mnie się dostał na mieszkanie. Mebli w domach tureckich tak jak w hiszpańskich mała ilość: na dole dywan długi wysłany materacem i pokryty perkalem białym, stolik, dwa wyplatane trzciną taburety, i nic a nic więcej; na górę wchodzi się krętemi w ślimak schodami z żelaza i tam się znajduje łóżko żelazne z materacem wypchanym włosiem, stolik większy, jedno krzesło, cztery taburety i małe zwierciadło wlepione w mur bez żadnej ramy, by owadom nie służyło za mieszkanie. Żadnych komod, ani szafy; duże, tęgie gwoździe wmurowane szeregiem w ścianę, służą do wieszania sukien a nawet bielizny, wszystko pokrywa się firanką i na tem koniec: brzydzą się Turcy okropnie tym owadem, bez którego nasz żyd żyć nie może i o którym mówi, „że płaski jak karaski“, i dla tego jaknajmniej używają mebli z drzewa. W tem, jak i w kilku innych rzeczach mają słuszność.

Dostał mi się na mieszkanie najwygodniejszy, małą piwniczką i lodownią opatrzony kiosk, i roztasowawszy się w pokoju sypialnym uczułem się tutaj pomiędzy mahometami zupełnie bezpiecznym. Na służącego przeznaczył mi Basza wszystkie w ogrodzie pracujące murzynki, które zwołane tamtamem, dostały polecenie, że na każdy rozkaz mój mają być posłuszne. A rozkaz ten, wydanym został nietylko surowo, lecz i uśmiechająco, na co się także rozśmiały murzynki od ucha do ucha, wyszczerzając dwie palisady zębów, błyszczących jak perłowa macica.

— Teraz się Doktór racz uczyć rozkazywać z książki, lecz aby owe murzynki oswoić z wymową, potrzebaby im przeczytać jedną z tych anegdot poczciwego Hodża-Nasser-Eddina, naszego humorysty, którego kilka przypowieści podał w gramatyce Dr. Ahn, tak zasłużony rozkrzewiacz języków, których niezna ani słowa.

Przeczytaj im Konsyljarz swoim sposobem, ową historyę murzynka, którego rodzice sprzedali sułtanowi podagrą dręczonemu, a w którego lekarze wmówili, że tylko może być wyleczony, kąpiąc nogi w ciepłych drgających jeszcze wnętrznościach murzyna. Dalej, jak

się wykpił murzynek ze śmierci tak bolesnej i jak Sułtan się wyleczył z podagry i z okrucieństwa.

Przeczytałem tę krwawo-krotochwilną anegdotę moim czarnym sługom i wielu innym obecnym, z gramatyki, wymawiając sposobem wskazanym, lecz już zmodyfikowanym ze słuchu, niemiec bowiem choćby chciał opisać rzecz jaknajdokładniej, nie wymówi poczciwego *ł*, ani *ż*, ani francuskiego *u*, żeby się na to silił przez lat sto z okładem, a te zgłoski wchodzą w skład tonów tureckich. Powiodło mi się, obecni wszystko rozumieli, rozrzewnili się, płakali, potem na końcu gdy się gadka dobrze skończyła, śmiali się do rozpuku, ukazując palisady zębów jak mogli najszerzej.

— Dobrze, dzielnie, doskonale! krzyczał Bey; jego dzieci, słudzy i niewolnicy, a miał kilkoro dzieci z niewolnic nim się puścił w podróż naukową do Europy, gdzie się wykształcił i nawrócił, dzięki wymienionym francuzkom, które także do kulturtregierstwa, mają prawo sobie rościć pretensye. Tamtamem mam wołać usługę, dla najstarszej wystarczy jedno uderzenie, dla najmłodszej, potrzeba ich cztery, a jak usłyszą, powinny rzucać motykę, rydel, grabie, sierp, nóż i grace, a spieszyć cwałem ku mojemu kioskowi i wykonywać co rozkażę, pod karą chłosty.

Śmiały się murzynki, bo rassa ludzi wcale nie melancholiczna, owszem figlarna, śmieszkowata, strasznie płocha i trzpiotowata. Gotowe zawsze na wszystko, nawet na śmierć gdy tego potrzeba, wcale im nie cięży mózg ani też obawa o przyszłość: są to małpy obdarzone mową. Darwin niezupełnie błądzi.

Ale językiem umieją władać dzielnie, to im najgłuchszy gramatyk przyzna: wszystkie słowa tureckie wymawiają dobitnie, wyraźnie, głosem nie krzykliwym, lecz raczej miłym, modulowanym, śpiewnym; nawet gardłowe tony niewychodzą chrapliwie z ich krtani jak u naszych żydów. Nieraz się dziwiłem, że tak dźwięczne, łagodne tony wychodziły z buziaków rozdartych na oścież, i śmiem mniemać, że z murzynów zrobilibyśmy może wygodniejszych do rozmowy ludzi, jak z charkających dzieci Izraela.

Że każda z tych murzynek mogła mi służyć za professora wymowy tureckiej, to rzecz pewna, lecz która z nich byłaby lepszą, that is, właśnie, the question, zdaje mi się, że nie najstarsza, lecz najmłodsza, chociaż właściwie nie wiem dla czego: będę zatem musiał bić w tamtam częściej cztery razy jak raz tylko jeden, to już przewiduję.

Dla urządzenia się zupełnego na stopę europejską Izzedim Bey przesłał mi naprzód coś owiniętego w skórę baranią białą: był to antałek wina białego, greckiego; potem przez innego posłańca coś owiniętego w skórę baranią czarną; był to ostatek wina czerwonego, bulgarskiego. Przyjąłem z wdzięcznością jedno i drugie, jako dowód jego postępowych dążności i kazałem te dary umieścić w piwniczce dotychczas jeszcze nie skalanej obecnością żadnego wina, ani też żadnej wyskokowej substancyi.

Potem pozostawiony sam jeden, roztasowałem się w izbie sypialnej, jak mogłem najwygodniej, i wiedząc że nie mam nic lepszego do robienia, wziąłem się na nowo do nauki języka tureckiego, owym praktycznym sposobem D-ra Ahna. Potrzeba mi było jednego z moich czarnych professorów i uchwyciłem za tamtam by w niego uderzyć, sam nie wiem ile razy. Ale w tem stary Muezzin zawył z minaretu swoje: ła illa allah Ałłah! wzywając wiernych i wierne do obmycia się i składania pokłonów. I murzynki wykonywają ten obrządek, nawet w sposób bardzo dokładny, kiedy są niepostrzeżone w krzakach. Pozostawiłem tedy mym professorom czas do modlitwy i w pseudo samowarku przyrządziłem herbatę, a gdy ta została zrobioną, uderzyłem w tamtam razy cztery.

Przybiegła też niebawem najmłodsza z professorek: kazałem jej usiąść na dywaniku w sposób europejski lub turecki, dałem jej filiżankę dobrze cukrzonej herbaty, do której przylałem cokolwiek ognistego wina, uraczyłem ją trzema sucharkami i kazałem jej słuchać i uważać.

Przeczytałem jej inną anegdotkę turecką tegoż samego autora Hodżi-Nasser-Eddina, treści następującej słowo w słowo:

„Panował kiedyś w Baktryi pewien sułtan, tem do Nemroda i do Wiktora Emmanuela podobny, że bardzo lubił polować i że niewiele w Pana Boga wierzył. Zmęczył się raz na polowaniu, więc znużony, zmożony głodem, usiadł i wydobył z torby piernik i z dobrym go zajadał apetytem. A gdy tak zajadał, przyleciała do niego spora pszczoła, porwała okruszynę i odleciała na niedalekie drzewo. Potem przyleciała raz drugi i znów porwała okruszynę i odleciała. To powtórzyła pięć czy sześć razy. Tem zadziwiony sułtan, pobiegł za pszczołą która go podprowadziła pod drzewo, na gałęzi którego siedział, stary, na oba oczy ślepy słowik; ten zaledwie usłyszawszy brzęczenie pszczoły, otworzył dziób, a poczciwa pszczoła wraziła mu weń słodką okruszynę. Skoro tylko sułtan zoczył tak oczywisty dowód Opatrzności Boga, padł z rozrzewnieniem na kolana, wyprzysiągł się od razu swej niewiary i wszelkich zabiegów światowych; poruczył berło synowi i kazał sobie postawić nieopodal od drzewa chatę, aby mógł karmić ślepego słowika i wszystkie pszczoły sąsiedztwa i rozpamiętywać o nieskończonej mądrości i dobroci Boga“.

Murzynka przysłuchiwała się z największą uwagą mojemu czytaniu, poprawiała wymowę lub iloczas tego lub owego słowa, nareszcie z zadowoleniem, bijąc w ręce z radości, zawołała:

— Peki! peki! to jest, a jakie to piękne! i gestem i słowem prosiła bym jej jeszcze raz przeczytał tę samą historyjkę, com też chętnie uczynił.

Tym razem radość jej przemieniła się w rozczulenie, powtarzała razy kilka słowa: Ałłah!

Potem znów, i giestem i słowami prosiła mnie abym jej jeszcze raz wolno powtórzył powiastkę o biednym murzynku, w którego wnętrznościach sułtan chciał sobie kąpać nogi. I na to zezwoliłem i czytałem:

„Był razu pewnego zbytkowny i srogi sułtan, który pomimo zakazu proroka, pił wino i ciężko w skutek tego zapadł na podagrę, tak, że ani chodzić, ani spać niemógł i pytał wszystkich lekarzy, co ma robić by się oswobodzić od bólu. Jeden z tych lekarzy sprowadzonym został aż ze wschodu, gdzie są góry stykające się z niebem, tam płynie rzeka daleko szersza od Bos-

foru a napełniona srogiemi krokodylami uważanemi tam za bogów; Więc ten lekarz, godny krokodylów, zapewniał sułtana, że się nie wyleczy z tej choroby, chyba kąpielami nóg, branemi we wnętrznościach jeszcze żywych, drgających, zdrowych, młodych murzynów. Żyją na nieszczęście, w kraju sułtanów, tak ubodzy murzyni, że dzieci swe sprzedają, zwłaszcza tak wielkiemu Panu, który i bez tego jest przecież panem życia i śmierci, wszystkich swych poddanych. Biedny murzynek wiedział, jaka go czeka śmierć bolesna, pomimo tego, przyprowadzony przed sułtana, jął się śmiać do rozpuku. „Czemu ty się śmiejesz kiedyś powinien płakać?“ A murzynek wręcz odpowie: Kiedy chłopak jest w niedoli, więc ucieka się do ojca; jeżeli ten nie pomoże, więc się udaje do matki. A gdy i ta nie może ratować, wzywa pomocy władzy, nakoniec nawet samego sułtana. Teraz moi rodzice sprzedali mnie sułtanowi, a ten mnie rozkazuje zabić, by sobie mógł wykąpać nogi we krwi mojej. Ale cóż on powie na swoje uniewinnienie gdy stanie przed sądem Najwyższego, który nas wszystkich stworzył? Gdym nie znalazł litości, ani ze strony ojca, ani matki, ani sułtana, to niezawodnie jej doznam od Tego, który mnie i ciebie sądzić będzie i niezawodnie tu jest obecnym, chociaż ty Go nie widzisz. I dla tego się śmieję, bo wiem, że mi włos z głowy nie spadnie“. Gdy to sułtan usłyszał, wielka ogarnęła go trwoga, uczuł w całem ciele obecność ducha Allaha. Natychmiast kazał uwolnić murzynka, i obdarzonego odesłać do rodziców. A po wielkiej tej trwodze wpadł w dziwnie obfite poty, które go wyleczyły cudownie z podagry. Lecz od tego czasu żył świętobliwie i wyrzekł się wina i wszelkiej rozpusty“.

— Peki! peki! rzekła znowu murzynka i po chwili dodała: Bóg dobry nieopuści ani ślepego słowika, ani biednego murzyna, ale sułtani źli piją i zabijają.

Kilka razy to przemówiła, aż ja nareszcie za pomocą gramatyki i słownika zrozumiałem.

Murzynka nieumiała ani pisać, ani czytać, lecz bystrą była z przyrody, czoło miała dość wypukłe, a rorumne i piękne oczy.

— Ty jesteś Hakim (lekarzem) Effendy?

— Tak jest.

— Azzima jest chorą, rzekła i pokaszlnęła wskazując na piersi, potem mi podała rękę, abym jej puls wybadał.

Wysoką była i chudą, pokazała mi kolana, które były zeskorupiałe, grubą skórą pokryte, — musiała pleć od rana do wieczora, to ją nękało. Później dowiedziałem się od Beya, że to siostra starsza biednego Gabrila, że ma lat trzynaście i że pracować musi ciężko, jak wszyscy niewolnicy.

— Weź ją Doktór w kuracyę, wzywaj ją często i niech tu sobie odpoczywa na dywanie, niema w tem nic złego, nie ułakomi się Doktór na taką chudobę, a mnie żal dziewuchy, możeby ją można wyleczyć, po jutrze kupimy na Pera lekarstwo. Jutro tu przybędzie jedna z córek moich, mała ma lat pięć, oko zaś zepsute w skutek ospy, trzy razy większe od zwyczajnego a okropnie bolejące. Coby na to zrobić? potem inną mam prożbę. Seraskier otrzymał nowy regulamin dla wojska pruskiego, a że tu wszystko co pruskie jest w modzie, a ja uchodzę za nadzwyczaj mądrego człowieka, znającego wszystkie języki, więc mnie obarczono zdaniem sprawy z tego, co ten regulamin w sobie zawiera, ja zaś z niemieckiego tylko tyle umiem, ile się Turek niezupełnie w ciemię bity może nauczyć przez trzy miesiące w Bernie, bawiąc się i assystując manewrom szwajcarskiego wojska. Racz Doktór zrobić mi w chwilach wolnych od innej, ważniejszej pracy, we francuzkim języku jakiś zarys ogólny tego, co ta książka nowego i dobrego w sobie zawiera: okażę się za to gotowym do wszelkiego rodzaju wdzięczności; już widzę że Doktór lubi pracować i zobowiązywać sobie ludzi, ja zaś nie tak zły, jakby się zdawało. To mi posłużyć może do awansu, a zrobi niewątpliwie przyjemność memu staremu ojcu, dobremu człowiekowi, jak to Doktór sam przyzna. Jeśli Doktór chce, to niech sobie weźmie tę Azzimę zupełnie do usługi, ona chętnie przy nim pozostanie i może mieszkać w kuchence. Jutro piątek, to jest nasza niedziela, zobaczy Doktór chmary kadinów i innych kobiet na cmętarzu, na który ztąd piękny wi-

dok, będą płakać nad grobami, rozmawiać długo z nieboszczykami, udawać że słyszą ich odpowiedzi, to nasz zabobon. Darmo, zabobonem i przesądem nie jedna mędrsza od naszej religia stoi. Do spacerów przydam Doktorowi sługę, lecz radzę niewiele spacerować po za naszym ogrodem, póki się doktór nie poduczy języka naszego; widzę że to pójdzie prędko. Niestety! z Turkami co niebyli długo za granicą niema o czem gadać. Zresztą przecież się nie śpieszy Doktorowi, niema po co jechać na te upały do Palestyny, lepiej je tu przetrwać u nas, gdzie drzewa, cień i powiewy morskie, chłodzą powietrze. Wszystkie te barany, perlice, kury, kaczki na rozporządzenie Doktora, a jeśli lubisz potrawki z królików, to ich sobie nastrzelaj, ile ci się tylko podoba, to niszczyciele, Turcy ich nie jedzą, bo je uważają za koty, lecz ja lubię gibelotkę sporządzoną z winem, z cebulą, z korzeniami, których podostatkiem jest w spiżarce kuchennej, i nieraz sobie sprawimy balik, nie gardzę także winem, lecz go piję pokryjomu i niewiele, nie zapijam już sprawy tak jak w Paryżu, broń Boże, wyleczono mnie z tego radykalnie w Jeni-Kale Kissar, niech ich djabli biorą. Smutne wspomnienie! Później zapoznam Doktora z wszystkiemi naszemi kobietami, jak tylko będziesz mógł mówić z niemi choćby o pogodzie i o chorobach. Każdej z nich zdaje się że na coś chora, a nie ruszaj żadnej z nich, jeśliś niepewny, czy na cię patrzą; eunuchów się obawiaj, bo rozsiekają, to ich przecie powinność, lękaj się też zaczajenia z ich strony, z resztą le jeu ne vaut pas la chandelle, niema za co wystawiać się na niebezpieczeństwo. Radzę na Perę udać się dopiero w niedzielę, wówczas zobaczysz całą Europę w kawiarni Bul-bul i u wód słodkich w Ejub. Nie mów gdzie mieszkasz, Bałwan-Basza ma reputacyę zabójczego tyrana, i takim był w istocie względem buntujących się bulgarów, lecz tutaj w zaciszu domowem, jest sobie człowiekiem tak dobrodusznym, jak każdy inny, odpoczywający dygnitarz turecki. W intrygi polityczne nie wdaje się mój teść, szwagier i przełożony, zbyt głupi na to, łatwoby się zawikłał i głowę postradał w tej zabawie. Alboż mu to z resztą źle? niczego mu nie brak, potem pójdzie w senatory i może czekać

spokojnie na apopleksyę sercową, która mu grozi, jak Doktór mówi i jak i ja pojmuję. Wiecznie żyć to strasznie niewygodnie.

Praktyczności nauczył się nasz Bey w Paryżu, jak to widzimy i nie było z nim bynajmniej źle żyć; umiał się przejąć położeniem mojem, zupełnie wyjątkowem, umiał także przysiedzić nad pracą godzin kilka i tyle mnie podawał sposobności służenia mu w tem lub w owem, żem nieczuł na sobie ciężaru jego gościnności. Był to człowiek światowy, w całem dobrem znaczeniu tego słowa, niepoświęcający, jak wyraźny samolub, wszystkich wygód i nawyknień gościa, dla swojego widzimisię, i tem się korzystnie odróżniał od niejednego europejczyka herbowego, który udzielając gościnność, robi z gościa niewolnika swych własnych, niepowsciągnionych żadnym względem towarzyskim, gustów.

Przyprowadził mi nazajutrz swoją córkę, niełądną, poszczypaną ospą, kalectwem tak widocznie oszpeconą dziewczynkę, którą miał z ładną mulatką hafciarką złotem i srebrem, dobrze wyposażoną i zawiadującą teraz w Stambule całym zakładem, w którym się haftowały mundury dygnitarzy ottomańskich, cywilnych i wojskowych. Kochał ją jednakże szczerze, bo to był owoc pierwszy jego prawdziwej miłości.

— Nie ma innej rady, trzeba zupełnie wyjąć, wyciąć to niepotrzebne, szpecące oko. Operacya dość trudna, która nie będzie może bolesną, jeśli chloroform spełni zwykłą swoją powinność, lecz operacya podobna zawsze jest ryzykowną. Pacyentka powinna tu zostać pod mojem okiem przez dwa tygodnie, potem przyjdzie dobrze do siebie, pozbawiona bólu ciągle dręczącego, i wzmagającego się, wyładnieje, a później, później gdy wyrośnie, wstawi jej się oko porcelanowe i będzie wyglądała jako tako i jeszcze doczekacie się pociechy z biednego dziewczęcia, jeśli Bóg raczy przyłożyć się do dzieła ludzi.

Izzedim-Bey szczerze wzruszony, przetłómaczył słowo w słowo com powiedział matce i ona płacząc, pocałowała mnie z wruszającą tkliwością w rękę i powierzyła dziecko, jako najdroższy jej sercu skarb; wszę-

dzie i zawsze macierzyńskie uczucie jest świętością swą zwycięzkie, wstrząsające najsilniejszą nawet duszę; wziąłem to biedne dziewczę na kolana, przytuliłem ją do serca, pocałowałem w czoło i rzekłem:

— Czuję, że Bóg dopomoże.

Byłem też zrozumiany i wszystkie natychmiast rozpoczęto urządzenia dla pomieszczenia córki na dwa tygodnie, matki na parę dni, w salonie dolnym, przyniesiono łóżka, pościel, sprzęty i już za godzinę, posiłkując się samym Beyem, matką i Azzimą, mogłem wykonać operacyę bardzo trudną i która poszła łatwo, gdyż chloroform uspił chorą najzupełniej i stłumił w niej wszelkie uczucie; krew też zatamowała się z łatwością. Pacyentka leży w zasłoniętem łóżeczku, zaręczając, że ją nic a nic nie boli i że chce spać. Mulatka niema słów na wyrażenie swej wdzięczności i obiecuje wyhaftować mi czamarę wawrzynem i różami.

Później przyszły baszowe i baszówny z eunuchami i z odaliszkami, to jest służebnicami, złożyć mi wizytę i przyjąć u mnie kawę i nargillę i wszystkie oświadczyły mi, że mnie uważają za wielkiego hakima i że mnie tu Ałłach zesłał. Nie bardzo też pilnowały swych jaszmaków i rade były tu i owdzie okazać mi cząstki zbyt starannie malowanego oblicza. To mają przekonanie, że nigdzie na całym świecie podobnych nie ma piękności jak one: i w tem się mylą biedaczki, bo nawet w Warszawie są od nich piękniejsze kobiety.

Miejscową osobliwością miasta Skutari, są Derwisze wyjący, to jest zakonnicy mieszkający w klasztorze i odbywający nabożeństwo systematycznem wyciem słowa Ałłah! Ałłah! czem się wprawiają nareszcie w stan konwulsyjny, w którym rzucają się na ziemię i prorokują słowami zbieranemi przez ich przewódzcę, Szeika. Ten chociaż nader wielebnie wygląda, udaje, że wierzy w niezmierną ważność słów takim sposobem wyrzeczonych przez konwulsjonerów, a to wszystko służy, po prostu powiedziawszy, na djabła, to jest na oszukanie tych, już i bez tego głupich, mahometan. Trudno widzieć ludzi lepszym apetytem obdarzonych: w cza

sach wolnych od podobnych praktyk religijnych, wałęsają się po świecie i zapraszają się na obiady i kolacye, gdzie tylko widzą że się z komina kurzy, lubo przecież i w klasztorze jedzą podostatkiem. Słowem są to zakonnicy mający prawo żebrania, niezatrudnieni żadną uczciwą pracą i potrzebni dla świata jak i inni zakonnicy, którzy w niektórych krajach są prawdziwemi nie *kulturtregierami*, lecz lastertregierami i których liczbę zmniejszyć ense et igne jest prawdziwą zasługą przed Bogiem.

Z resztą znani oni już byli światu za czasów Krasickiego, który, chociaż biskup katolicki i dobry chrześciański kapłan, nie wahał się wydać im boju zaciętego. Niestety! sam kościół katolicki, lubo dbały o własną swoję godność, nie śmiał wyrzucić z pośrodka siebie tej prawdziwej plagi świata: potrzeba było na to wpływu i postępu cywilnego, któremu przewodniczyli ludzie, szczerego patryotyzmu i wolni od wszelkiego przesądu. W wielu krajach pomiędzy temi zakonnikami najdywali pomieszczenie nietylko próżniacy, do wszelkiej pracy niezdolni, lecz także i awanturnicy, zawsze do sprzyjania rabusiom skłonni i to ich wcale nie uwalnia od zarzutu szkodliwości, że tam gdzieś i kiedyś jeden lub drugi z tej szkodliwej czeredy miał się bić z pewną odwagą za sprawę problematycznej zacności; widziałem z blizka egzemplarze, ejusdem farinæ, we Francyi południowej, w okolicach słynnych z najobskurantyczniejszego fanatyzmu: pomieszczono tego dość jako księży szpitalnych i pogrzebowych, umiejących tylko dawać absolucyę, maścić i grzebać: nie są oni prawdziwemi jezuitami, bo na to najzupełniej niezdolni, niedostatecznością nauki i zupełnym brakiem wychowania towarzyskiego, lecz udają jezuitów i wszystkie ich złe instynkta w wysokim posiadają stopniu: hipokryzyę, żądzę intrygowania i szczególną potrzebę rozsiewania zabobonów i przesądów. Kilku godnych, naukowych księży francuzkich, powiedziało mi szczerze: „les moines sont des fa... b... qui font honte au clergé français. Nie każdy jest jezuitą kto nim chce być, i niełatwo być jezuitą.

Jednakże Boże daj żeby się jak najmniej do tego ukwalifikowanych ludzi znalazło, lepszy jeszcze głupi i niezgrabny jezuita, od mądrego i zręcznego.

Jednę z ofiar Jezuityzmu nadzwyczaj przewrotnego znalazłem w Pera, w owej części europejskiej Konstantynopola, w której mieszkają chrześcianie, gdzie rezydują panowie ambasadorowie i chmara osób od nich zależnych.

Był to na nieszczęście, jeden z tych biednych ziomków, którzy przeszli na islamizm już w roku 1849, nakłoniony do tego, jak mi zaręczał, przez pewnego jezuitę polskiego, Ojca Rył..... Utrzymywał ten ojciec, znany z zasad swych, niewiem czy na swoją odpowiedzialność, czy w skutek udzielonych murad, że najlepszym sposobem skatoliczenia i spolszczenia bisurmanów byłoby, żeby polacy, przekonani o świętości swej religii przechodzili pozornie na islamizm, uczyli się pilnie języka tureckiego, który jest łatwym, wchodzili w towarzystwa tureckie aby zręcznie, chytro i mądrze podkopywać ich zasady tak słabe, spruchniałe i kruche islamizmu. a trzeciem jego słowem zawsze było: *cel uświęca środki.*

Za jednego z tych ludzi, umiejących postępować, dla dopięcia dobrego, świętego celu, zręcznie, chytrze i mądrze, uważał siebie także pan Drez... może dla tego, że w roku 1848 potrafił zbałamucić pewną karmelitkę, która przedtem jeszcze w r. 1846 była jego narzeczoną w Warszawie, nim zaszły okoliczności zmuszające pana Drez...go do schronienia się do Prus, następnie do Francyi i które nakłoniły pannę Bar. Ub. do szukania przytułku w klasztorze karmelitek, pracować bowiem, jako dobra szlachcianka, niechciała, z resztą, powiedziawszy prawdę, i nieumiała. Lecz po zajściu innych rozgłośnych i donośnych okoliczności w Paryżu w roku 47-m pan Drez. przyjechał do Krakowa, tu się dowiedział z niemałem zadziwieniem, że jego niegdyś narzeczona właśnie wstąpiła do klasztoru, a chociaż jego mury wysokie, zdołał się widzieć z nią raz tylko jeden, lecz na nieszczęście tak z blizka, że ta biedna karmelitka przypłacić musiała skutki tych odwiedzin zamurowaniem w celi. Musiała się poddać temu rygorowi, jaki w ówczas istniał w zakonnych murach, do których

dawniej sądownictwo cywilne austryackie nie miało prawa wdawać się. Na jej, może jeszcze większe nieszczęście, wdał się w sprawę lat ośmnaście potem lud i uniwersytet krakowski. Wiemy w jakim stanie znaleziono biedną ofiarę. A sprawca tego wszystkiego nic o tem nie wiedział, w dni bowiem kilka po swej wyprawie, udał się do Węgier na innego rodzaju wyprawy przeciw Austryakom, które się skończyły przejściem do Serbii, później do Konstantynopola, gdzie miał szczęście poznać się z doradcą swoim, ojcem Rył..., który mu się wrył w pamięć udzieleniem mu zbawiennej rady katolizowania Turków. Znudzony bezczynnością, nękany głodem, wiedział z resztą, że jeden z najchlubniej znanych ziomków Czaj..., niegdyś wielki katolik przed Bogiem, przeszedł sobie, niewiem czy dla odczepienia się od pierwszej żony, czy dla przyczepienia sobie drugiej, czy też może w celu katolizowania jaknajspokojniej z romanizmu do islamizmu i za to został baszą o trzech buńczukach, i wcale przez to nie stracił szacunku u ludzi, nawet u najszczytniejszych patriotów jakim był wierny Adam, i u najdostojniejszych, jakim był stary Adam, i u takich walecznych hetmanów, jakim był Władysław, któryby był w razie potrzeby bez zająknięcia się przybrał nazwę Piątego i wcale w tem nikt niewidział nic nadzwyczajnego.

Więc tedy pan Drez..... poszedł za dobrym przykładem, wyrzekł się pozornie Chrystusa, naszego Odkupiciela i prawodawcy, przystał, także pozornie, na wiarę improwizowaną przez Mahomę, szarlatana i fałszerza, i cieszył się pozornie gdy mu wykonywano chrzest bisurmański.

Biedna Barbara była tymczasem najzupełniej zapomnianą przez młodego swego, niegdyś narzeczonego, który w zgiełku kolei przez jakie tylko polak w emigracyi przechodzić może, zmuszony brnąć ciągle naprzód, by zwalczyć rzeczywistości srogie koleje, zapomniał na czas niejaki wszystkie wrażenia spokojniejszej przeszłości. Pewno, że nie dowiódł wcale głębokiej sercowości, tak jak jest niestety pewnem, że i Bar... która tak łatwo zapomniała wszystkie względy winne religii, honorowi i wstydliwości, nie należała do rzędu

istot, wielkim hartem charakteru obdarzonych. Widać jednakże, że tak była niewinną, że niewiedziała na jaką się okropną wystawia karę. Może być, że jej nie oświecono dostatecznie... Padła ofiarą swego niedoświadczenia, nawet nie temperamentu, bo ten jej do złego nie pobudzał. Kobieta powinna strzedz się najwięcej tego, którego kocha.

Renegat uzyskał posadę kapitana w żandarmeryi konnej, która miała się formować z samych renegatów, znających język turecki, Ojciec jego chrzestny, Dziaffir-Basza, naczelnik wojska Arnautów, dał mu dwa konie z rzędami i tysiąc pięciofrankowych talarów tureckich, za które nasz renegat najął sobie mieszkanie w dzielnicy stambulskiej Madziandżi-Maidan, kupił meble i wszystkie porządki domowe, a tak wyposażony, pobierając dobry żołd w żywności i pieniądzach, niestety! papierowych, bardzo niestałej i zmiennej wartości, postanowił się ożenić dla zrobienia sobie stosunków ze światem tureckim i dla propagowania wiary, której się pozornie był wyrzekł. Spuszczając się na znaną wspaniałomyślność Sułtanowej-Walidei, matki Padiszacha, przedstawił się Jej Sułtańskiej Mości w pełnej, przyrodzonej mu piękności i w pełnym mundurze, który był ozdobnym. Uzyskał audjencyą u najdostojniejszej, i po długiej rozmowie, obietnicę, że za dwa tygodnie zostanie mu przesłana żona z całą wyprawą i posagiem. Abd-Ułłah uszczęśliwiony obietnicą, zaciągnął długi, żeby sobie jeszcze piękniej ozdobić dom, w którym miała zamieszkiwać istota obiecana przez sułtankę. Ta ostatnia, raczyła tak łaskawie mówić osobiście z nim, że nie wątpił o swem szczęściu, brał codziennie kąpiele wzmacniające, krew czyszczące ulepki, czekał niecierpliwie, licząc chwilę po chwili, przeglądał pokoje przeznaczone dla ukochanej, choć nigdy niewidzianej istoty, przeglądał podarunki dla niej kupione i często był odwiedzanym przez swego dobrodzieja Dziaffir-Baszę, który, chociaż z resztą najlepszy muzułmanin, niewylewał za kołnierz i dla tego tylko zdaje mi się Drez...skiego do chrztu trzymał, żeby się miał u kogo upijać od czasu do czasu intra parietes amici. Jako Arnauta, uważał się za pobratymca Sławian, a przysięgał się na

brodę Proroka, że żadnego z swoich synów tak nie kocha, jak syna duszy swojej Abdula.

Nareszcie jednego pięknego poranku zjechała mu narzeczona do domu, poprzedzona wieloma sługami haremu sułtany, niesioną była przez ośmiu ludzi w lektyce złocistej, ubrana przepysznie, w drogie jedwabie, brokaty, koronki, ozdobiona w kwiaty ale nie w złoto i drogie kamienie, bo te powinien był mąż dać. Za narzeczoną dwie niewolnice, za nią pieszo jeszcze dwie i sług wiele i wielbłądów obładowanych bielizną: zdawało się że tego jest za milion, a w misternej skrzynce u stóp oczekiwanej bogini, posag brzęczącą monetą, Ona sama, wysoka, wysmukła, czarnooka, śmiałego spojrzenia, cery jak mleko i wino, ale zakwefiona i naturalnie jaszmaku swego nie zdejmie jak przed swoim małżonkiem i panem po ślubie, do którego wzięto się niebawem, bo ulemy, mufty, muezziny i softasy przybyli także wierzchem na wielbłądach i pieszo. Odbył się niebawem ślub. Po zwykłych ceremoniach, uszczęśliwiony mąż, całkiem zajęty przyjmowaniem, fetowaniem, obdarzaniem swej żony, zdawał się być bardzo uszczęśliwionym jej wdziękami — lecz jakoś nazajutrz strasznie ostygł w uczuciach szczęśliwości, bo się spostrzegł, że jego Fatima, miała skałkę na jednem oku którem także i zyzem patrzała, że była leciutko ospowatą, znacznie za to malowaną, że i zębów brakło cokolwiek, że miała prawie lat tyle ile on sam, to jest ze dwadzieścia i pięć, i że pod żadnym względem nienależała do istot, grzeszących zbytnią niedojrzałością. Posagu także nie było wiele, zaledwie wystarczało na zapłacenie zaciągniętych długów, a wyprawa, Bóg tam wie co ona warta, bo to wszystko w ozdobnych jaskrawemi farbami i złoconych kufrach, które do jej komnat zaniesione zostały. Lecz apetyt przyniosła z sobą dobry i dzielnie także rozkazywała i krzyczała.

Słowem biedny renegat został najszkaradniej zawiedziony przez najdostojniejszą damę, która takiej używała reputacyi szlachetności.

Od tego zaczął renegat katolizacyą, że własną żonę pić nauczył: ona sama potem tak w tem wygórowała talencie, że się solo basso spijała. Potem nau-

czyła się od ordynansu kapitańskiego, jakiegoś Iwanko, kozaka dobruskiego jeździć konno, po ogrodzie, który był obszernym, — nareszcie znikła jednej pięknej nocy z tym herkulesowym Iwankiem na koniach męża, kapitana żandarmeryi, niezapomniawszy wcale zabrać co tylko mogła pieniędzy i precyozów. Nasz kapitan srodze zdradzony nie zdołał wykryć dokąd się udała, chociaż mu żandarmerya, policya i duchowieństwo pomagali. Biedny Drezdyn... źle wyszedł na sułtańskiej żonie i wstydem pokryty, prosił by go wysłano przeciw zbuntowanym Damascenom w Syryi, gdzie już przeciw nim wojował i wsławił się Generał Bem, także gorliwy mahometanin, który później umarł w Alepie i pochowany był jako Santon i Marabut, to jest jako święty pierwszej klasy z turbanem sułtańskim. Teraz po dwudziestoletniej służbie Drez... jest pułkownikiem, ozdobionym krzyżem komandorskim, lecz siły jego zerwane znojami służby, truneczkiem i zmartwieniem, zwłaszcza truje go wspomnienie o losie jaki sporządził biednej karmelitce.

Żył tak jak żyją żołnierze niesłużący własnej sprawie, własnemu krajowi, własnej wierze i własnej rodzinie; w wielu przebywał krainach, aż w Bagdadzie, w Mece, w Medynie, w Kairze, w Memphis, wiele widział, lecz mało o tém mówi, zawsze bowiem pogrążony w własnych ponurych myślach i w tym stanie ciągłej alkoolizacyi, który z człowieka robi coś do bydlęcia nader podobnego. Dopiero od lat kilkunastu dowiedział się z gazet przez jakie okropne koleje przechodziła Bar.... od dzieciństwa mu znana jeszcze w Warszawie. Zapewnie ubolewa nad losem tej niewiasty, tak głośną niesławą uwieńczonej, przedstawianej, chociaż o tem nie wie, na wszystkich scenach owych teatrów ludowych, na których fama głosi heroiczne czyny, zbrodnie, okrucieństwa wstrząsające jaknajsilniejszemi nerwami ciekawego pospólstwa.

Biedna Bar....! postradała ona wprawdzie rozum, lecz odzyskała przynajmniej swój niegdyś tak dobry apetyt— utyła i dobrze wygląda. Wiary nie straciła, lecz ją skoncentrowała na swoim czarnym kocie, do którego się modli jak do bóstwa.

Jej zaś dawny ideał, o którym w jej sercu i duszy cała pamięć wymarła, zostanie może kiedyś baszą, a tymczasem grywa w gierałasza i pije wszystko nawet i mastykę. Nie chciałbym ani na chwilę tkwić w jego skórze chociaż młodsza i mniej podarta, niż moja.

Mówić przy tej okoliczności o innych zbisurmanionych kolegach dalibóg nie warto, mówiłem już o trzech, niechcę sobie zakrwawiać serca: żal mi siebie, czytelników i Chrystusa, który już tyle dla nas cierpiał.

* * *

Niech pośpiesza na szczyt wieży Galata, kto chce napawać się najpiękniejszym widokiem istniejącym na świecie, prócz Wezuwiusza, kiedy wyrzuca z siebie podczas nocy rozżarzone wnętrza ziemi tak wysoko w niebo, że dochodzą aż do zenitu, oświecając swym płomieniem krajobraz w promieniu jednego stopnia geograficznego od krateru. Będziemy kiedyś u stóp jego, na ziemi rozpękającej się z gorąca, gdzie w moich oczach został w jednej w chwili przemieniony w popiół biedny Orlikowski stolarz artysta z Warszawy, najlepszy i najrozkochańszy człowiek w świecie, którego dziś jeszcze opłakuje rzymianka, prawdziwie cudnej urody, uwieńczona tysiąc razy przez największych artystów, bo od lat dziesięciu służy za model plastyczny rzeźbiarzom w akademii rzymskiej: ona to, Florina Colibro wynalazła sposób niezawodny przeciw tyciu, dla przechowania wdzięków kobiecych w rozmiarach klassycznych, i nie jednej młodej damie, nie jednej wyrastającej po za klassyczność dziewicy mógłaby udzielić rady zbawiennej.

Lecz nie jesteśmy jeszcze na stopach Wezuwiusza, później będziemy mieli sposobność mówienia wiele o Janie Orlikowskim i o Florinie Colibro, — teraz jesteśmy na szczycie bastionu Galaty i patrzymy na Europę i na Azyą, na Bosfor, na róg złoty, na morze Marmora i na sześć zielonych księżniczek, porosłych różami i pomarańczami (mówię o wyspach księżniczkach), teraz patrzymy na Alos, Idę i Parnas, na któ-

rym bawi się zawsze młody Apollo ze swemi dziewięcioma ciągle pięknemi córkami, a kto ich nie widzi, ten pozbawiony drugiej pary oczu, które się nazywają oczami duszy, i ten niegodny patrzeć ztąd na cały przestwór świata, na którym się wyryły wieczne klassyczności dzieje. Już nie chcę mówić o wzdętych jak złote półgloby kopułach, o lesie srebrnych minaretów, o kniejach krążących masztów, powiewających różnobarwnemi chorągwiami; wolałbym prawie żeby tego wszystkiego nie było, żeby mnie nic nie odciągało od podziwienia natury, samej jednej samorodnej natury, która to istotnie niepotrzebuje pomocy sztuki, by tryumfować nad wszystkiem, swym czarodziejskim, urokiem.

Jak mi się też nieznośnemi wydają te trzy panny francuzkie z bielonem obliczem i ze skrępowanemi po nad kolanami sukniami, — a jeszcze nieznośniejszy jest ów fircyk francuzki na którego te panny uczuciowe i wrażliwe więcej wyłupiają oczy jak na Europę, Azję, Idę, Parnas i na zieloną Talassę. I w ich młodych nadobnych skórach nie chciałbym być za nic w świecie, tyle w nich płochości, próżności, kokieteryi; że się też nie wstydzą te istoty starego człowieka, o którym przecież wiedzieć muszą, że się zna na wszystkich figlach zalotności. Doprawdy, damy tureckie dbają więcej o swą godność, lubo wystawiają bez wielkiej ogródki za lekką gazą szyję i biust i wszystkie uroki macierzyństwa, jeśli nie są zbyt mało przez siłę natury ściągnięte.

Francuzki krzyczą: „ah comme c'est beau! ah comme c'est mirobolant!“ i patrzą się na fircyka, który stara się wystawić swoją skonfiskowaną fizjonomijkę w sposób jaknajkorzystniejszy dla podziwiających i tym czasem, pewien zwycięztwa, fredonuje tenorzykiem dyszkantowym. coś z najnowszych operetek Offenbacha. Widzę, że ten czerwony Prussak, który wszystko obserwuje, bo jest zapewnie korrespondentem jakiegoś dziennika i nosi ćwierć łokcia wstążki czarno-białej w dziurce od guzika, widzę że ten Prussak ma ochotę złapać francuzika jedną ręką za obie nogi z tyłu i zrzucić go z balkonu na dół, aby mógł

sprawdzić w ile sekund lekki francuz przebiega spadając trzysta dwadzieścia siedm stóp i czy go powietrze może nie wstrzyma od upadnięcia jak rozdęty pęcherz.

Nawet mi się kłopotliwie zrobiło na sercu i ostrzegłem francuza, że tam za nim stoi, jak się zdaje, cokolwiek podpity prusak, który nań jakoś nienawistnie patrzy, a że „l'occasion fait le larron, więc możeby lepiej było, żeby od balkonu odstąpił. Ostrzegłem go półgłosem, ale jednakże tak wyraźnie, żeby mizdrzące się do francuzika spętane panny usłyszały o co idzie. Chciałem tem zadać cios śmiertelny tej idealizacyi tak wyraźnej i gorącej.

Myślałem że francuz wyskoczy ze swego palta, kamizelki i reszty ubrania, tak się wzruszył i tak silnie na nim zadrgały muszkuły skórne, a owe trzy gracye zbladły pod mączką ryżową, złapały się wszystkie trzy razem lewą ręką za spętane suknie z tyłu i odwrotny rozpoczęły pochód przedzierając się przez tłum żołnierzy ottomańskich, garnizonem tu w bastionie stojących, i wyciągających ręce po bakszysz, po łapówkę, która w Stambule tak jest pożądaną rzeczą, jak w Berlinie, w ognisku światła kulturtregierskiego.

Łapanie się z tyłu za spętane suknie, to ma w socie dla manewru kobiecego korzystnego, że jednem poruszeniem mogą uwydatnić wdzięki talii podrównikowej i zarazem ukazać nóżki zawarte w owych nienaturalnych, wysoko korkowych ciżemkach, które straszliwie łudzą oko nieznawcy. To też trzeba było widzieć jaka się na widok tych ułudzeń malowała rozkosz i pokusa w barbarzyńskich synach Ismaiła, aż im to sparaliżowało ręce które wsunęli jak jeden człowiek w kieszeń i pozostawili gracyom wolne przejście. Ale za to złapali pospieszającego za gracyami francuzika, który musiał półnapoleonem wykupić się z krytcznego położenia, patrząc z ukosa na urągliwie śmiejącego się prussaka, niewinnego sprawcę tego intermezza.

— Was hat denn der Franzos? spytał prusak.

Wytłumaczyłem mu wszystko, śmiał się niemiec serdecznie i rzekł:

— Ale pieniędzy mają zawsze jak siana, „wie Heu“.

— Te coście im zabrali, wróciły do Francyi za jedwabie dla waszych dam i za szampana dla waszych oficerów.

— Ma Pan słuszność, przy pierwszej sposobności trzeba im będzie zagarnąć na dobre Szampanię i Lyon, nie ma innej rady, inaczej zostaniemy zawsze bez grosza.

Poszedłem z innej strony patrzeć na krajobraz, ze strony północnej, gdzie w krótce w łunie pożarów wykwitnie nowe życie dla pobratymców, którzy wiele cierpieli i zapewnie się doczekają panowania— krzyża. „Sit vobis illa crux levis!“

W sześć godzin tyle słyszeć, tyle doświadczyć, tyle uczuć—a nic nie jeść i nie pić prócz kawy czarnej, bez cukru, którą mnie poczęstował dawny kolega, ziomek i spółwyznawca, to jednakże wzorowo, i z tego się chlubię, że w ciągu długich mych podróży, żołądek mi nigdy nie stłumił głosu serca, Lecz teraz odezwała się tęsknota do świeżej baraniny, pieczonej na rożenkach z drzewa olszowego, do pomidorów, polanych najświeższą oliwą i opruszonych tartym chlebem, smażonych na popiele i do wina cypryjskiego ogniście łagodnego, i pospieszyłem co tchu powrócić do Azyi, do domu gościnnego w ogrodzie, gdzie na mnie oczekiwały z tęsknotą, pacyentka, współlokatorka i professorka, murzynka.

Tam teraz ojczyzna dla mnie, gdzie jest missya chrześciańska. Wiem teraz czemu czytam anegdotki o potędze i dobroci Boga; prawdziwym Bogiem dla niewolników i dla cierpiących, jest tylko Wszechmocny Ojciec Chrystusa.

* * *

W ciągu dnia, odpływa co pół godziny parowiec z pod mostu Galaty do Skutari i przekracza Bosfor blizko wysepki Leandra, omijając zręcznie wielkie mnóstwo statków mniejszych i większych, parowców,

żaglowych i wiosłowych; jest to podróż cokolwiek niebezpieczna i odbyć jej nie można szybko. Widać na twarzy kapitana i sternika znamiona ciągłego napięcia, wczoraj jeszcze zdruzgotał się jeden z tych przewozowych statków, lekkich i całkiem drewnianych o ciężki, źle manewrowany pancernik turecki, w skutek czego kilkunastu ludzi życie utraciło; pomiędzy niemi pięcioro dzieci, i sługa jednego wysokiego dygnitarza duchownego islamu, i jeszcze dwojga z tych dzieci nie wyłowiono. Stały się one niezawodnie pastwą żarłocznych rekinów, których śmiałość dochodzi w tych wodach niezbyt pilnowanych do trudnego do uwierzenia stopnia. Łatwoby było, zdaje się oczyścić te wody z obecności tylu niewygodnych gości podrzucaniem mięs zatrutych strychniną; podawano nawet podobne projekta Wysokiej Porcie, lecz ona oświadczyła, że rekiny więcej robią dobrego, oczyszczając Bosfor, a nawet złoty róg z padliny, niż robią złego, pożerając od czasu do czasu, żywego, tonącego człowieka, że z resztą nikt tu z pewnością nie zginie o którym przed wieki wieków nie jest napisanem w księdze przeznaczenia, że ma zginąć. Sam Szeik-ul-Islam, papież mahometanów tak wyrokował.

— A czemuż się gotujecie do wojny, kiedy wysileniem nie możecie odwrócić losu?

— Bo tak jest napisane w księdze losu, że się mamy gotować, odpowie mi stary, wierny Turek, który wcale nie wygląda na idjotę, a nie pojmuje jednak że w jak zwichniętem kółku obracają się jego i całego fatalistycznego narodu pojęcia.

— Rób co chcesz, a jednakże tego nie zrobisz, coby nie było przewidzianem i przeznaczonem od odwiecznych czasów — mówił gienialny a jednak tak szkodliwy Servet Doktór teologii, filozofii i medycyny, ten sam, który pierwszy dociekł i dowiódł, że cała ilość krwi przez arterye płucne i przez weny przechodzi z serca do płuc i z płuc do serca, przez co znacznie się przyłożył do odkrycia krążenia krwi dokonanego ośmdziesiąt pięć lat później (1628) przez Anglika Harvey. Świetny Servet, a raczej Servede, Hiszpan z Katalonii zasłużył sobie na pomnik w każdej szko-

le lekarskiej, a nigdzie mu go nie postawionono. Za swe atoli zgubne mahometańskie, z gorliwością rozsiewane, zdania, zasłużył sobie niestety także najsprawiedliwiej na potępienie, nietylko ze strony katolików, lecz także ewangielików, zwłaszcza na gniew Kalwina, któremu był uroczyście przyrzekł, że zgubnych swych teoryi o absolutnem człowieczeństwie Chrystusa, o fatalizmie, predestynacyi i nicości woli ludzkiej, rozsiewać nigdy, nigdzie i pod żadnym warunkiem i postacią nie będzie. Jednakże to uczynił, dręczony potrzebą niezwalczoną wyjawienia i rozsiewania, tego co myślał, i o czem był tak silnie przekonanym. A wyjawił to w dziele pod tytułem „Christianismi restitutio“ pisanem przez całe lat trzynaście w Vienne, w Delfinacie i ogłoszonem tamże w r. 1553.

To dzieło obudziło rozgłos wielki, natychmiastowy w całym świecie chrześciańskim, wszystkich wyznań. Inkwizycya w Vienne, stolicy Prymasów francuzkich, wtrąciła go natychmiast do więzienia.

Lecz pomimo srogości więzienia, Servet zdołał z niego uciec za pomocą młodzieży uczącej się medycyny, której był bożyszczem. Udał się do Genewy, gdzie po dyktatorsku rządził Jan Kalwin, spodziewając się, że u dawnego przyjaciela znajdzie przytułek, lecz władze miejscowe kazały go ująć za bluźnierstwo przeciwko Bogu, tak solennie wytoczone w księdze „de Trinitate errorum“ i przed sąd stawić.—Jan Kalwin pragnął go ocalić skłonieniem do odwołania uroczystego, wszystkiego co wyrzekł, o człowieczeństwie Chrystusa i o absolutnej nicości woli ludzkiej; odwiedzał go często w więzieniu, przekonywał, nakłaniał, nawet błagał, Lecz Servet. który przeczył skuteczności woli ludzkiej, okazał upór niezłamany, i mimo wyraźnej obawy śmierci, pozostał wiernym swojemu przekonaniu.

Sąd Genewski zasięgnąwszy zdania duchowieństwa w Bernie, Bazylii i Zurigu, skazał go na śmierć przez spalenie żywcem przy wolnym ogniu, aby miał czas odwołać swoje zasady. Ten srogi wyrok wykonanym został d. 27 Października 1553 r., w obec Kalwina i sędziów, jeszcze nalegających na skazanego

i błagających go o odwołanie. Biedny Servet, cierpiał okropnie, jęczał, lecz odwołać niechciał, i umarł jako męczennik przekonania swojego. Winę tej śmierci zarzucają katolicy Kalwinowi, chociaż sami byliby go chętnie spalili w Vienne, wytorturowawszy go naturalnie wprzódy jaknajsrożej i w rozliczny sposób. Hugonotów, Trynitarzy jaknajwierniejszych, Inkwizycya francuzka tysiącami skazywała na śmierć, wiemy przecież co Karol IX zrobił w dwadzieścia lat po śmierci Serweta, z Hugonotami w Paryżu: wyrznął ich przeszło 40,000.

Dla tego tak się rozwodzę nad losem Serveta, żem w domu w którym spisał w Vienne en Danphiné swoje dzieło „Christianitatis restitutio“ mieszkał bardzo długo, i żem mieszkał także w Genewie przy placu, na którym go spalono. Ten traf zwrócił uwagę duszy mojej na tego nieszczęsnego kolegę, któremu od dawna zazdroszczę siły charakteru, — lecz pragnąłbym jej użyć, przyznam się dla lepszej sprawy; odbierać człowiekowi wiarę w skuteczność jego woli, jest zbrodnią pod względem teologicznym i zarazem filozoficznym; a Turcya chcąca pozostać nienaruszenie przy wierze mylnej, już przez Koran nakazanej, najlepiej dowodzi, do jakiego stopnia zezwierzęcenia doprowadza fatalizm. Chcąc być logicznym fatalista nie powinienby karać żadnej zbrodni i niekochać żadnego uczciwego człowieka.

Z tego wszystkiego wyradza się indyfferentyzm, najgorsza z chorób moralnych, a ten widocznie ogarnia wszystkie społeczeństwa, małe i wielkie, wszelkie koterye, każdego, nie umiejącego zrobić dobrego użytku ze swej woli. A skoro się nie uda złe, to się i dobre nie uda, i takim sposobem, skutek źle użytej woli, staje się powodem jej braku; wpada się w indyfferentyzm równoległy fatalizmowi, a wierzy się tylko w możliwość cudów, które się nigdy nie dzieją.

* * *

Czekano na mnie istotnie z niecierpliwością, a nawet z tęsknotą. Pomimo zakazu i gniewu starego Muez-

zina, Azzima wbiegła na szczyt minaretu i patrzała przez lunetę w stronę, w której statek przewozowy przybija do przystani. Gdy mnie zoczyła, powiewała chorągwią z półksiężycem z radości.

Byłbym może nie posiadł jej spółczucia gdybym jej nie czytał powiastek, w których się Bóg ujmuje za ślepemi ptaszkami i za nieszczęsnemi murzynami. Czy byłbym się zaprzyjaźnił z owemi baszównami, gdybym nie kochał dzieci? A przecież to z mojej woli wyszło, z mojej osobistej, stałej, ciągle wiernie towarzyszącej mi woli.

Jestem u siebie, bo się widzę otoczonym przyjaźnią: mała pacyentka bawi się brzęczącemi i kukającemi cackami, którem jej przyniósł; nie mogłaby bawić się różnobarwnemi pięknokształtnemi, bo jej jedno, jedynie widzące oko, zasłonięte na dwa tygodnie przynajmniej. A dla czego działam na słuch? bo wzrok jej zaklęty, wyobraźnia jest chciwą wrażeń. A dla czego tak zrobiłem, bo Bóg mi udzielił wolną wolę i na niewolnika niechciał mnie skazać.

Teraz Azzima piecze baraninę i pomidory, bo tak chce, — i wszystkie dzieci nauczają mnie po turecku, bo tak chcą. — Matka zaś operowanej, owa ładna mulatka haftuje mi czerwony fez srebrnemi różami, bo ona tak chce i ja także. Ależ to nie mogło być napisanem w księdze przeznaczeń, i to znaczyłoby skazywać Boga na czyny drobnostkowe.

Z wolnej rozumnej woli wynikają najpiękniejsze czyny, ciągłą nowością czarujące: z niewolnictwa wynika tylko czyn zły, lub niedoskonały. Nikt już w Europie nie pojmuje konieczności niewoli prócz Turka, potrzebującego chrześcian i niewolników, dla tego żeby mu uprawiali w pocie czoła rolę, potrzebującego srogich, zazdrosnych eunuchów, dla tego żeby mu pilnowali kobiet, których cnota i wstydliwość, nie wystarczają na upilnowanie własnej cnoty.

Do niewolnictwa także poniżają swoje żony, które są dla nich tylko przedmiotami, istotami bezdusznemi, nad któremi mąż ma prawo życia i śmierci.

Do raju mahometańskiego nie mają one prawa, tam już na ich mężów czekają wiecznodziewice, hury-

ski, „kobiety ziemskie, tam potrzebne, jak dziury w moście“, mówią sami Turcy w przytomności swych kobiet, a te wierzą w to, bawią się na tej ziemi jak najlepiej mogą, i oczekują swych właścicieli jak tylko mogą. Familijnego życia tam właściwie niema, bo matka nieukształcona, kształcić może duszę dzieci tylko zabobonami. Żadna z tych baszowych nie umie nawet czytać.

Cywilizacya i istnienie państwa tureckiego, dopóki Koran pozostanie kodeksem praw, są dwie sprzeczności, wzajemnie się wyłączające. Niezawodnie Anglia każe sultanowi udzielić swym ludom jakiś rodzaj konstytucyi, bo się wstydzi wspierać swą polityczną powagą mocarstwo ugruntowane na powszechnej niewoli mieszkańców chrześciańskich.

Wiedzą o tem bardzo dobrze Turcy, że do tego zapewnie wkrótce przyjść musi, lecz bogaci Turcy wcale nie pragną, by owe polepszenie organizacyjne, wynikające z jakiejkolwiek konstytucyi, stało się rzeczywistością— wyjąwszy chyba tych, którzy pożywszy lat kilka za granicą, przestali być w duchu mahometanami; takich zaś niewielu: Izzedim-Bey, uważa się za jednego z ośmdziesięciu pięciu oświeconych turków, a jak i czem jest oświecony, o tem wiemy.

* * *

Znalazłem sposób zwabienia wielkiej ilości królików do umyślnie zrobionego ogrodzenia, do którego się królik dostać może łatwo przez klapy drewniane zawieszone na dwóch kawałkach skóry, lecz z których wyjść już nie może. Wszystkie drogi do tego zagrodzenia prowadzące, kazałem posiać nie gęsto liściami i owocami lotusa palestyńskiego (Zisyphus spina Christi), to jest dużemi jujubami, które w Europie niechcą rosnąć, a już w Azyi są dość częstemi. Króliki przepadają za tym owocem, a nawet za liściem, których sporą ilość z gałęziami wrzuciłem do zagrodzenia. Pierwszej nocy zwabiło się tego przeszło czterdzieści do zagrody; samicom i dzieciom wróciłem wolność, alem

jej nie dał starym królom, którzy już dosyć żyli, i dość się nabawili. Tych ostatnich, a było tego czternaścioro, kazałem żywić przez cały tydzień kaszą jęczmienną i ryżem ugotowanym z siekaną marchwią; trudno uwierzyć jak utyły i jakiego smaku nabrały. Królikami duszonemi w winie zwalczam przesądy turków; nietylko Bey i Beyowe, dość sobie już postępowo jedzą moje w ten sposób wychowane i ugotowane króle, lecz nawet sam Basza, z resztą tak przesądny, zajada je aż mu się ciężkie, grube trzęsą uszy,—i baszówny także zamawiają sobie u mnie potrawkę z królików, o których nikt prócz Boga nie wie, że są duszone w winie. W trzy dni łapią się tedy i do szkoły wydoskonalenia wysyłają króle, lecz ich zaczyna już ubywać i to z wielką boleścią serca, czworonożnych królowych, które nie mogąc się bawić z dorosłemi, zaczynają figlować ze smarkaczami. Niech się pocieszą biedne istoty, jak zabraknie królów to i one będą musiały pójść do szkoły wydoskonalenia, a następnie w rądel. Grochy, kapusty, rzepy i pomidory bardzo zadowolone z tego ubytku rassy królewskiej, kazały mi to oświadczyć przez ogrodniczki murzyńskie, które przezemnie uszczęśliwione, bom ich nauczył wytępiać ślimaczki, gąsiennice i mrówki, i doprowadzać słoneczniki sztucznemi podlewaniami, za pomocą rur żelaznych w głąb ziemi wchodzących do wysokości dziesięciu stóp z kwiatem jak koło stopowej średnicy. Z oleju wytłoczonego z ziarna i z popiołu spalonych nasienników, i łodygi te murzynki umieją gotować wybornie, miło pachnące mydło; wyrabia się tutaj jedwab roślinny, nadzwyczaj trwały i ślicznie połyskujący, z którego się wyrabiają tła bardzo mocne, sztywne, świecące, prawie jak złoto, barwy naturalnej żółtawej. Służą te tła na sznurówki dla dam, których wdzięki zaczynają wychodzić z kształtów miłych dla oka, i wygodnych dla sił, służą także zamiast saffianów na buciki i ciżemki, które zaczynają w tym kraju wchodzić w modę od pewnego czasu, zamiast tych wygodnych, lecz niekształtnych babuciów, w których najładniejsza kobieta turecka, wygląda cokolwiek ociężałą, żeby nie powiedzieć słoniowatą.

Zaczynam tu wchodzić w reputacyę jako lekarz, organizator i uczony, chociaż jeszcze nie znam języka i nie mogę rozmawiać z turkami tłustemi, gnuśnemi, wszystko niewyraźnie mówiącemi; a takich niezmiernie wiele pomiędzy starszemi, nic tak bowiem łatwo nie tyje jak turcy i kanonicy.

Z Bałwan-Baszą żyję już na stopie równości, tak jak zawsze żyłem z Izzedim-Beyem; wczoraj uraczyłem ich po raz trzeci królikami, szczególnie dobrze wychowanemi i duszonemi w starem cypryjskiem winie, pod pokrywą klamrami do rądla przymocowaną, tak, że cała siła mięsa i wina pozostała w potrawie, istotnie cudnie zgotowanej przez Azzimę i przez Gabrilla, pod moją osobistą dyrekcyą. Jako lekarz hygienista nie wstydzę się bowiem czuwać nad ugotowaniem potraw, które uważam za najlepsze lekarstwa. Utrzymuję nawet, że bardzo bogatych, pieniędzy dla lekarza i za lekarstwa nie żałujących ludzi, możnaby wyleczyć ze wszystkich chorób, samemi tylko smacznemi potrawami i napojami, i do tego nawet raz przyjdzie, że apteki służyć będą wyłącznie dla chorób bardzo szybko przebiegających i dla ubogich, zmuszonych jeść metale, zamiast roślin i zwierząt.

Nasz Basza, zapakowawszy całego królika w swój obszerny i dostojny żołądek, uczuł niesłychaną lubość w całym swym jaśnie wielmożnym organizmie, i spoglądając mi w oczy, z wyrazem szczególnej łaskawości, namyśliwszy się długo, rzekł z namaszczeniem:

— Zacny Doktorze dobrego żołądka mojego! ja nie lubię renegatów, i nigdy niechciałem trzymać do chrztu, ani poganina, ani żyda, ani chrześcianina, lecz to ci muszę wyznać, że jeśli Ty chcesz się wyrzec twych błędów religijnych, jedynych, jakie zdajesz mi się popełniać, i jeśli poduczywszy się jeszcze języka tureckiego, chcesz przystać na naszą wiarę, tak wygodną i świętą, a do zbawienia duszy jedyną, to ci dam primo tysiąc medżydiów w złocie, secundo, cztery konie z rzędami, tertio, dwie dorosłe murzynki (nie dziewice, bo takich już niema w moim haremie), lecz dobre istotki, i trzymać cię będę do chrztu własnoręcznie. Dixi.

Wszystko co mówił zrozumiałem doskonale, bo wzniecony królikiem, a raczej winem, zbudzone miał siły i mógł przemawiać wyraźnie, lecz odpowiedzi mojej tłumaczenie powierzyć musiałem Beyowi, który chętnie się podejmował tego, w dobrym bowiem chciał utrzymywać usposobieniu teścia swojego, szwagra i przełożonego. Odpowiedź zaś brzmiała jak następuje:

— Arcydostojny, jaśnieoświecony i duszy mojej jak rosa niebieska miły Baszo! dziękuję ci za wyrazy przychylności, które serce moje napawają balsamem ożywiającej radości. Widzę żem się nie nadaremnie starał o pozyskanie twojej łaski, i Bogu Wszechmocnemu Stwórcy nieba i ziemi za to serdecznie dziękuję. Lecz wiary mej czystej i prostej nie odstąpię za nic w świecie, żaden bowiem z tych co ją posiadają jeszcze jej nie odstąpił.

— Przecież jesteś Chrześcianinem o świetny Doktorze, a małoć to chrześcian przechodzi na wiarę naszę, ani się tego opędzić nie można. Trzy tygodnie temu w Warnie kazał mi się przedstawić jakiś Włoch muzykant na waltornie, zagrał mi na tym wężowatym instrumencie coś wcale ładnego, a potem rznął się o ziemię na kolana i błagał w niebogłosy i jakąś nie złą mową turecką, żebym go raczył do chrztu trzymać, bo mu się gwałtem chce zostać muzułmaninem, by się mógł żenić z córką kapelmajstra, jednego z mych pułków. — „Jakto hultaju? i chcesz opuścić twoją żonę, którą masz we Włoszech? spytałem, na chybił trafił, przeczuwając, że ten Włoch nie z czystych powodów wyrzeka się swej wiary. Struchlał giaur przejęty trwogą i podziwem dla bystrości mojego rozumu i krzyczał, że całe jego życie przeszłe, nieważne, bo w błędzie chrześciańskim przeżyte, że z resztą ani kradł, ani zabijał.“ A może nawet masz dzieci hultaju! — nie będę cię trzymał do chrztu, nim tu nie przedstawisz żony i nim ta nie zezwoli na twoje ożenienie się z turczynką, Tym czasem masz oto dwadzieścia pięć piastrów za twoją serenadę. Wynoś się giaurze.

— Ot widzisz zacny Doktorze, że ja nie lada kogo trzymam do chrztu,—lecz w twoim charakterze pokładam zaufanie, i miło nam będzie z tobą.—Będziesz

czuwał nad zdrowiem tych dzieci, które tak lubisz; będziesz nas oświecał w tem, co się dzieje na świecie najnowszego i najciekawszego, i będziesz nas nauczał gotować takie życiodawcze potrawy, jak ten poczciwy królik, który mi tak rozgrzał serce i tak rozkielznał język, że siebie samego Ałłah-bismiłłah! wcale nie poznaję.

— Najdostojniejszy ojcowski przyjacielu! chrześcianie dzielą się na sekty, tak jak i wy, Islamizmu zwolennicy. Persi naprzykład, są Szyitami, wierzą tylko w Koran, a nie wierzą w późniejsze podania Kalifów tak jak wy wierzycie, — wy Sunnici. — I my także chrześcianie ewangielicy, wierzymy tylko w ewangielię, a w nic, co potem zbory, koncylia i papieże postanowili; — my jesteśmy niby względem katolików rzymskich, w takim stosunku, w jakim Szyity są względem was Sunnitów. Nasza wiara jest tedy prostą, jasną i świętą, tak jak ją nam podał Chrystus, i Bogu dzięki, tej jeszcze mało kto odstąpił dla Islamizmu, późniejszego od naszej wiary o lat siedemset.

— Tak w istocie — rzecze Bey — ze wszystkich Madziarów, Polaków, Włochów, Greków, Anglików, Niemców co nam służą, tylko jeden Protestant, ów bohater włoski Generał Türr odstąpił wiary ewangielickiej dla Islamizmu.

— Czyli raczej — przerwał Basza — żeby się odczepić od swej starej węgierskiej żony, a ożenić z młodą, ładną turczynką, żeby posiąść stopień pułkownika w wojsku, tytuł Beya i cegielnię, którą mu dał mój głupi stary kuzyn Derwisz-Basza. A potem jak mu się żona druga sprzykrzyła, pobiegł do Włoch, zdobył stopień generała, prawda że prawdziwą walecznością i został katolikiem, by się ożenić z księżniczką Bonaparte-Wyse, kuzynką nieboszczyka Napoleona III, któremu niech ciążą grzechy i ziemia kamieniami młyńskiemi, za to, że nas zmusił do zawarcia niekorzystnego pokoju z odwiecznym naszym.....

W tem Muezzin zaczął znów stękać swoje „łaiłłah iłłah Ałłah, i to przerwało rozmowę o religiach i polityce, z czego byłem bardzo zadowolony, bo „ne sutor ultra crepidam“ co znaczy: nie znam się na tem“.

* * *

Prosiły mnie Azzima i owe dzieci, abym im coś nowego ze starej książki Nasser-Edina przeczytał i następującą przeczytałem im historyjkę:

„Pewna dobroczynna kobieta, miała za męża bardzo skąpego człowieka.— „Nie dawaj nic nigdy nikomu"—mawiał on ciągle do niej, lecz ona nie uważała nigdy na jego słowa i dzieliła się zawsze z ubogiemi. On nareszcie przysiągł, że ją wypędzi z domu, jeśli choć raz jeszcze coś da żebrakowi. Wielki nastał głód w kraju, i razu pewnego przyszedł żebrak do jej domu i prosił ją o jałmużnę, Ona właśnie wydobywała chleb z pieca, i dała mu trzy podpłomyki. Jej mąż spotkał żebraka i dowiedział się od kogo dostał te podpłomyki. Porwany gniewem, nietylko wypędził żonę z domu, lecz ją wybił aż do złamania ramienia. Opuszczona kobieta, tułała się z miejsca do miejsca i zaszła nareszcie do jednego odległego miasta, gdzie znalazła służbę, nareszcie i dobrego męża, którego zaślubiła, i odtąd powodziło jej się dobrze na świecie. Inaczej zupełnie stało się z jej dawnym mężem, pomimo skąpstwa i sobkostwa, wszystko stracił i musiał żebrać od domu do domu, aż go nareszcie przypadek, czy też raczej zrządzenie boskie zawiodło do domu, w którym żyła jego dawna żona. Jej teraźniejszy mąż zaprosił go z sobą na wieczerzę. Lecz kobieta poznawszy swego przeszłego męża, niechciała siąść do stołu, tylko siadła opodal w kącie i nic nie mówiła, ani też nie jadła. Zapytana przez męża o przyczynę postępowania swojego, opowiedziała mu dzieje całego życia swojego ze wszystkiemi szczegółami.

— Dziwne są twoje przygody o żono moja, lecz moje są jeszcze dziwniejsze—rzekł jej drugi mąż—gdyż żebrakiem, który wówczas przyszedł do domu twojego i któremuś dała trzy podpłomyki, jestem ja sam. Owego czasu, byłem ja bardzo ubogim, lecz czasy zmieniły się nagle dla mnie, i tyś mię niepoznała bogatym, gdyś mnie znalazła, lecz ja poznałem cię ubogą i chciałem

*

ci się odwdzięczyć za twoją dobroczynność ręką moją i majątkiem. Tyś jest niepodobną do twojego pierwszego męża, dla tego cię Bóg od niego uwolnił, i dla tego cię połączył z człowiekiem do ciebie podobnym. I niech będzie pochwalona za to łaska Wszechmocnego Boga".

I ta gadka niezmiernie się podobała tym dzieciom, którym ani matki, ani niańki nigdy nie opowiadały nic mądrego i dobrego, lecz raczej coś niedorzecznego i zabobonnego. Musiałem im tę przypowiastkę przeczytać jeszcze raz drugi, i potem opowiadały ją sobie wzajemnie, zdobiąc jeszcze szczegółami, gdyż je wyobraźnia unosiła pomimowolnym swem lotem po za obręby ciasnej rzeczywistości.

W ten sposób przechodził dzień po dniu spokojnie, nawet ze wszech miar pożytecznie, pod wieloma względami, lecz jednakże nie pod wszystkiemi; rząd bowiem turecki, wówczas pod wezyrstwem Ali-Baszy bardzo podejrzliwy, nie wierzył cudzoziemcom przebywającym w Turcyi za pasportem tych lub owych krajów. Musiałem się tedy wystrzegać, nietylko pożycia z rodakami, lecz nawet pokazywania się po Stambule i Perze. To mi przeszkodziło zwiedzić nie jeden pomnik ciekawy. Przewidując komplikacye i możliwość wybuchów ludu, zaczynającego być wyraźnie niezadowolonym ze stanu rzeczy obecnego, zaprowadzono w Konstantynopolu rygor policyjny, pod panowaniem poprzednika monarchy obecnego zupełnie nieistniejący, przejęto się polityką innych mocarstw we wszystkiem wolę narodu hamujących, i cenzura nawet objawiała swą czujność w sposób niewygodny. Cały kredyt Bałwan-Baszy nie wystarczał na zmiękczenie tych obostrzeń względem mnie, chciano nawet, bym się poddał egzaminom dla uzyskania pozwolenia wolnej praktyki lekarskiej, te zaś egzamina miałem składać przed rodzajem rady lekarskiej, której członkami byli ludzie wszelkiej sankcyi naukowej, wszelkich dyplomów pozbawieni. Pragnąc przeżyć tylko najgorętszą porę kanikułową, w Konstantynopolu żadnych nie poczyniłem kroków do uzyskania pozwolenia wolnej praktyki, z resztą, ta się ograniczała li tylko na mieście Skutari,

które mieściło w sobie do 80,000 mieszkańców i ładny pałac cesarski, w którym kiedyś przemieszkiwał Sadyk-Basza (Czajkowski) i jego druga żona panna Śniadecka, gdy jeszcze byli w łaskach u poprzedniego sułtana. Wiele tam było pałaców i ogrodów, kilkanaście meczetów, wielkie koszary, znakomite bazary i kilka fabryk wyrobów wełnianych i bawełnianych, które mogłyby i w Anglii uchodzić za znakomite.

Mój dostojny gospodarz, sili się aklimatyzować bawełnę w jednym z ogrodów, które posiada w okolicy, udaje mu się najlepiej gatunek, znany pod nazwą bawełny świętej, Gossypium religiosum, której włókna otaczające każde nasionko i wyścielające całą torebkę nasienną, są z przyrody żółte. Sprowadzona ona jest z Indyi i dla tego jest nazwaną świętą, że z niej mogą nosić Bramini odzież bez zafarbowania, tkanin zaś zafarbowanych, jako nieczystych, nosić tym świętym ludziom niewolno. Są to też same tkanki, które u nas są znane pod nazwą nankinu. W połączeniu z włóknem słonecznika olbrzymiego (Heliantus annuus gigas) wyrabiają tu bardzo piękne tła, które się w praniu nie niszczą. Liście tej świętej bawełny, używają się na jarzynę, z nasienia zaś wytłacza się także olej do lnianego podobny, lecz mniej dobry od słonecznego, który ma smak zupełnie jakby masla.

Mniej dobrze się tu udaje bawełna zupełnie czerwona, której włókno jest zbyt wielkie, lecz roślina ta, jako ogrodowa jest ozdobną, przedstawia wiele podobieństwa do malwy i ma kwiaty i nasienie, jednocześnie na tejże samej łodydze.

Wyborny szafran udaje się także w tym ogrodzie aklimatyzacyjnym, zapach jego jest przyjemnym, lecz uduszająco mocnym.

Teraz dopiero, gdym go zobaczył in natura, pojąłem, dla czego tutejsze kobiety tak skłonne do krwotoków, czasem niebezpiecznych; pochodzi to z nadużywania tego, tak silnego szafranu. Azzimie, która często krwią pluje, zakazałem zupełnie szafran i od tej chwili nie kaszlała krwią i widocznie do siebie przyszła,—a już ją tu uważano za suchotnicę, i sprzedać chciano za 200 rubli pewnej starej, złośliwej pan-

nie, któraby ją była wkrótce zamartwiła. Szkoda tej dobrej dziewczyny, jestem pewien, że możnaby z niej zrobić doskonałą, przykładną chrześciankę: nic nie ma w sobie trzpiotowatego i skłonniejsza do ubóstwienia pięknej myśli, niż do zabobonów, lub przesądów, w które rozum kobiecy zwyczajny chętniej uwierzy, niż w coś prawdziwie świętego. Tak niezawodnie, przy dobrem wychowaniu, możnaby z niej zrobić chrześciankę ducha, świętej ewangielii, pojmującą i gardzącą wszelkiemi dodatkami. któremi ją skalano.

Nie wiele w oczach rozsądnego człowieka warte te kobiety, które umieją być religijne dopiero przy pomocy dzwonów, śpiewu, kadzideł, organu; Uwielbienie obrazów, odpowiada więcej zmysłowemu usposobieniu płochych kobiet i naturze płytkiej południowców, jak godności myślącego człowieczeństwa; północni przybierający tę formę objawu religijnego, sami siebie zdradzają, poniżają, i nie dopną nigdy dojrzałości w sądzie o niczem poważnem. Nic tak skorego do zazdrości, zarozumiałości, gniewu i prawdziwej nic nie wybaczającej złości, jak owe fanatyczki północy, których rozum wystarcza tylko na pojęcie religii, wznieconej artystycznością i hałaśliwością świetnych obrzędów, uroczystości i form zewnętrznych, pobudzających namiętności; takie fanatyczki, skłonne do wszystkich poświęceń dla swego wyznania, nawet do wyrzeczenia się rozumu i wstydu, lecz najgorzej wychowują dzieci i powierzone im do wychowania istoty, nie wykształcają bowiem rozumu, lecz tylko wyobraźnię, namiętności i — zmysłowość.

* * *

Stambuł, skoro nań się patrzy z zewnątrz, jest tak świetnym, jak żadne inne ani lądowe miasto, jak Berlin, Wiedeń, Madryt a nawet Paryż, i żadne inne portowe ozdobne w wyniosłe pomniki, jak Kopenhaga, Palermo, Neapol, Londyn, a nawet cudnie położona Lizbona. Śmiem powiedzieć, że żadne z wymienionych miast nie może dać nawet w przybliżeniu

wyobrażenia o cudnej wspaniałości Stambułu, a to mianowicie dla tego, że jego trzy główne meczety z minaretami, Aya-Zofija, Bajazethia i Suleymania wznoszą się na szczycie wzgórza i są okrążone mniejszemi lecz zawsze wielkiemi innemi meczetami, które także wysokiemi otoczone minaretami. Właściwe, na półtorej geograficznej mili długie, na trzy czwarte mili szerokie, miasto otoczone jest potrójnym murem, opatrzone fossami, które obecnie w najznaczniejszej części pozamieniano na owocowe ogrody, zdumiewające siłą roślinności. Mury stawiane przez Turków, ze szczątków tysiąca starożytnych, zburzonych pomników, są obwarowane obronnemi wieżami i bramami, z których dotąd sześć pozostało. Brama Jeni-Kale, ze strony gdzie się ten przylądek ztyka z lądem, ma tych wież siedm, połączonych krytemi galeryami: jest to owa sławna, trwogę wzbudzająca brama siedmiu wież, gdzie tysiące jęczało więźniów, nim tam bolesną śmierć znalazło.

Na samym końcu przylądka tego klinu wkraczającego w rozdwajający się Bosfor, leży pałac cesarski, zwany także nowym serajem, otoczony po kilkakroć murem na trzy czwarte mili obwodu. Na tej obszernej przestrzeni, mieści się wiele wygodnych, lecz architekturą nie świetniejących zabudowań, i kilka pięknych ogrodów, które pozwolono mnie zwiedzić i które są urządzone z wszystkiemi oryentalnemi dość dziwnemi wymysłami, z kioskami, wodotryskami, jeziorkami, kaskadą i nęcą kwieciem różnorodnem. Wszystko tu obrachowane na zmysłowość, zdaje się, że tu się szczęśliwemi i bezpiecznemi czuć mogą Padiszahy, a ileż ich tu zginęło, — i ileż ich tu zginie wkrótce!

W pałacach różne muzea, lecz galeryi obrazów żadnej. W jednej sali widzisz tysiące figurek wystawiających Turków, w ozdobnych, strasznie dziwacznych strojach, jakie nosili przed zaprowadzeniem reformy przez Mahmuda II, po rzezi Janczarów. Najpoważniejsi ludzie, nawet Biskup anglikański, z którym zwiedzam te miejsca, podziwiają z ciekawością to dziwne muzeum ubiorów, noszonych ongi. Aga Janczarów, miał na głowie plumaż, większy od rozpiętego ogona pawiego, nie sposób żeby mu z tem mogło być

wygodnie; wystawić sobie pod taką ozdobą człowieka, prawie pół siódmej stopy wysokiego, z fizjonomią barbarzyńską, brodatą, w kaftanie złotolitym, w hajdawarach niezmiernie obszernych po kolana, i z nogami bosemi! a cały arsenał pistoletów, kindżałów, jataganów za pasem i szabla skrzywiona, niezmiernych rozmiarów przy boku.

Niedaleko ztąd plac Ałł-Meydan, na którym śmiały, sułtan Mahmud II, w roku 1826 wytępił zupełnie tę dzielną, lecz samym sułtanom niebezpieczną milicyę; była to jedna z dwunastu najkrwawszych rzezi, jakich świat od historycznych czasów był świadkiem, rzeź godna nocy świętego Bartłomieja: 16,000 dzielnego żołnierza pokryło plac ten trupem, wiele wdów i sierot po janczarach, zadało sobie samym śmierć, na zwłokach tej niegdyś tak walecznej i groźnej milicyi. Dziwna rzecz, że się waleczni Janczarowie słabo bronili: wiedzieli, że ich wytępienie od dawna postanowione, uznali w głębi serca, że ich istnienie nie jest zgodne z nowym porządkiem zaprowadzonym przez przedsiębierczego śmiałego monarchę. Zmienić się zaś nie mogli: byli zbyt przyzwyczajeni do samodzielności, do burszowania i do bardzo dobrego, kosztownego życia. Dali się wymordować dla dobra ojczyzny,—jest w tem coś wielkiego, i po ich śmierci każdy Turek przyznał, że Janczarowie byli dzielnemi ludźmi, ale już niepotrzebnemi, a zatem szkodliwemi.

Żeby tak raz Jezuici siebie uznali za szkodliwych... Jest tego także tylko 16,000, a znalazłbym przynajmniej 100,000 dobrych księży katolickich, którzyby im chętnie zaśpiewali „requiescant in pace“.

Część bardzo wielka, tego w dziejach świata od dawna pamiętnego, ogromnego placu Ałł-Meydan jest podminowaną, stoi na przeszło tysiącu, wysokich na stóp dwadzieścia, marmurowych słupach, i nie jest wcale wilgotną, wody blizkiego morza nie dochodzą do tych miejsc podziemnych, które niegdyś służyły za katakomby, a teraz służą za przędzalnie różnego rodzaju. Schodzi się doń po czterdziestu kilku wygodnych schodach,—jest to obszar podobny do sławnego meczetu Korduby — bez latarni nie należy się tu puszczać

i dobrze trzeba pilnować kieszeni, chustek, rękawiczek, nosigrosza, zegarka, okularów, a nawet jak zaręczają, poł od surduta i wstawianych zębów. Mnie upilnował dobrze przydany mi przez mego Beya żołnierz, lecz biskupowi anglikańskiemu świśnięto chustkę i okulary z dostojnego nosa, pomimo żem go ostrzegał, że tu niebezpiecznie w tym podziemiu wędrować; zaraz na początku zagaszono mu latarkę. Ścigać złodzieja, jest tu niesposób.

W starym Stambule jest już kilka nowych ulic, wyglądających prawie z europejska, nieźle brukowanych i oświeconych, lecz wszystkie inne są w ogólności ciasne, kręte, nieczyste, źle brukowane i oświetlane, do najwyższego stopnia dla ludzi, mianowicie dla koni niewygodne, z powodu pagórkowatego, pochyłego, częstokroć spadzistego gruntu. A co się tu uwija koni, wielbłądów, osłów, obciążonych ciężarem ogromnych, barbarzyńskich, wrzeszczących jak opętani turków! Trudno tu przechodzić i najzręczniejszemu bez szwanku, a wolą jeszcze tu chodzić piechotą niż konno, bo i najmocniejszy w nogach rumak upada, i jeźdzcowi łamie nogi.

W świetnym meczecie Bajazeta, obstawionym sześcioma wysokiemi na 300 stóp minaretami, okolonym przedsionkami, ogrodami, wodotryskami, żywi się groszem ciekawych i wiernych rój gołębi, dochodzący do kilkunastu tysięcy, jak twierdzą Turki, którzy z resztą nic policzyć nie mogą z pewnością i do dziś dnia nie wiedzą, czy Konstantynopol ma 1,075,000 mieszkańców, jak twierdzi obrachunek zrobiony przed czterema laty, czy też tylko cokolwiek więcej od pół miliona, tak jak twierdzi statystyka wykończona zeszłej zimy. Wiem tylko, żem tyle ptastwa na jednem miejscu nigdy w życiu razem niewidział. Są to gołębie święte, w kopule meczetu wylęgnięte i wychowane, lecz wcale nie piękne, małe szaro-niebieskawo-fioletowej barwy, i wszystkie, nawet i samce mają nagie, wyskubane plecy. Z tego pochodzi, że jedne siadają na drugich warstwami, gdy się zlecą aby pożreć ziarno, które im odwiedzający rzucają. Nawet niewiem, jak się nie zgniatają na śmierć, bo kupą siadają jedne na

drugich. Mają to być jednakże najlepsze pocztowe gołębie i drogo je sprzedają posługacze meczetu amatorom. Jestem pewien, że ich także ilość wielka przechodzi do żołądków tych posługaczy, muezzinów, softasów obok meczetów, uczących się teologii muzułmańskiej. Jest tego niemało przy meczetach: ci studenci, długo się widać uczą, bo wielu z nich przechodzi rok trzydziesty, ale czy wiele umieją to rzecz inna, wiem że nie znają geografii, nawet krajów zamieszkałych przez muzułmanów; nie wyglądają wcale na studentów, ani z ubioru, ani w stroju, lecz raczej na wyrobników; noszą na głowie fez najczęściej bez zawoju, ubierają się w kaftan ciemnego koloru, w hajdawary torbiaste i najczęściej chodzą bez pończoch, na to wszystko rodzaj burnusu, mniej więcej czysty i cały, — to ubiór tych studentów teologii, którzy jak mnie zapewniono, gotują się do zwalenia sułtana i rządu i do wywalczenia krajowi rodzaju hatti-humajum liberalnego. Siły muszkularne i odwagę mają po temu, nie wątpię o tem. Cudzoziemczyzny nie chcą żadnej, broń Boże, ani też wykwintności, owszem, chcą wrócić do starodawnego życia — surowego i karnego, do czystego nieubłaganego Alkoranu. Utrzymują, że ich sułtan popsuł się w skutek wykwintności wszelkiego rodzaju, której się nauczył od pewnego ambassadora, i że ten ostatni mu dostarcza kobiet, jakich świat turecki nie widział, tak pięknych i ułudnych.

Takie plotą duby, lecz wszyscy bez wyjątku softasy tak myślą, jest zaś tego sporo, bo przeszło 6,000, a upić się umieją natychmiast. Ani wątpię, że ci ludzie odegrają ważną rolę, bo mają za sobą lud i ulemów, ożywieni zaś są szczerym patryotyzmem i zbytkami nie zepsuci. Uczą się ciągle Alkoranu, i przepisać go umieją od deski do deski z pamięci, studjują pilnie stary testament, podania Kalifów, dzieje kraju i mahometanizmu, literaturę krajową, języki perski i arabski, lecz oczywiście zaniedbują geografię, statystykę i nauki przyrodzone, a mianowicie etnologię, etnografię i antropologię, nauki zajmujące się poznaniem człowieka, a bez których dzisiaj nie można być nawet pół uczonym. Nie mówię już o etnopsychologii, to jest,

o studjach nad ludzkością, rozważaną, w rasach i narodach, pod względem ich usposobień umysłowych, specyalnych zdolności, przyrodzonych moralnych wad; lecz pod tym względem oświecenie tureckie jest jeszcze nieporodzonem.

Pomimo to, lubiłem przestawać z Softasami, od jednego z nich nawet, przyłączonego do jednej dżimii, to jest, do jednego z głównych meczetów Skutary, brałem lekcyę języka i literatury tureckiej. Był to student już nie młody, jeszcze niewyświęcony na księdza bardzo z resztą ubogi, więcej wykształcony od ogółu i wcale przyjemny w pożyciu; płaciłem mu franka i dwa cygara za lekcyę, która często i dwie godziny trwała i wcale z tego był zadowolonym; jeszcze mnie zawsze poczęstował dwiema lub trzema filiżaneczkami kawy, którą się tutaj pije przy każdej sposobności, bezprzestannie, tak jak wino we Francyi, w okolicach gdzie winograd rośnie.

Odbywały się te lekcye w dziedzińcu meczetowym, obok fontanny, pod krzakiem róży i jalappy niosącej na jednej łodydze kwiaty kieliszkowego kształtu, jedne białe, drugie niebieskie, trzecie purpurowe; i dla tego przezwano ją Mirabilis, bo istotnie jest godną podziwienia,—a jeszcze przytem ma korzeń uzdrawiający hipokondryków. Tam siedząc na ziemi, na dywaniku, pobierałem lekcye, nieopodal od kilkunastu Softasów, Ulemów, Imanów, Hodziów i publiczności dziwiącej się, że jakis giaur, niby ucywilizowany, uczy się od moslemina rozumu. Lecz to mnie nie przeszkadza bynajmniej, — wiem, że w ogrodzie Akademosa w Atenach starzy i młodzi uczyli się razem, i że z tego nastała nazwa Akademii, tak niewinnym sposobem, jak nastała nazwa Kalwinizmu od Kalwina, który wcale nie głosił nowej religii, wcale nie przeczuwał, że religia początkowa Chrystusa, będzie nazwana kalwinizmem. Akademos był po prostu ogrodnikiem, a Kalwin prostym pasterzem, którzy pozostali wiernymi kościołowi Chrystusa.

Raz sam Imam meczetu raczył przystąpić do nas, usiąść, przyjąć kawę, cygaro i wdać się w rozmowę. Na raz mnie spytał:

— Jaloaririm Effendy (racz wybaczyć panie) jakiej jesteś narodowości?

— Jestem Lechli—odpowiadam (Lechli znaczy właśnie Lechita).

— Lechli? Lechli? — rzecze Iman i dreszcze go przejmują—Lechli?— patrzy na moją głowę, na moje ręce, na mój ubiór, na zegarek, szpilkę, którą wówczas nosiłem u szyi,—ależ to być nie może, pan niemasz kołtuna, świerzby, jesteś czysto i ozdobnie ubranym?....

— A jednak jestem z kraju po obu stronach Wisły położonym—jestem Lechitą.

— Ah—to pan Madziar,—to wcale co innego.

— Bynajmniej, kraj Madziarów położony po obu stronach Dunaju. A kimże był Jan Sobieski, który zbił na miazgę Wielkiego Wezyra Kara Mustafę?

— Jan Sobieski był królem Madziarów, tak jak i Ladisla III, któregośmy zbili i zabili pod Warną 1444 roku—odrzecze Iman przekonany o tem jak o prawdach zawartych w Koranie.

Nie łatwo było mi dokazać gdzie i jaki błąd zachodzi, lecz tego dokonałem dopiero nazajutrz, gdym przyniósł kartę geograficzną i pokazał gdzie leży Warna, Wiedeń, Peszt, Prezburg, Kraków, Warszawa, gdzie płynie Dunaj i Wisła. Przekonałem Imama, Ulemów, Softasów, Muezzinów, Muftów o prawdzie.

— A jednak darmo, będziemy nazywali wszystkich tych naszych przyjaciół z północy, którzy przeszli na naszą wiarę, Madziarami,—a żydów północnych, Lechlami, tak się już raz na nieszczęście nasz język przyzwyczaił,— wyrzekł sędziwy Imam i wpadł w *bakałum* to jest w rozmyślanie, a potem wkrótce w *keff*, to jest w drzemkę.

I na tem koniec, że my jesteśmy u nich madziarami, i Jan Sobieski madziar. Warto się obrzynać i bić za nich! Długo zdaje mi się, będzie Wisła czekała na zaszczyt pławienia ich koni, kiedy, jak mi zaręcza mój Softa Selman, nawet Seraskier, to jest, minister wojny, zapewnie nie wie z pewnością gdzie Wisła płynie.

— Dla czego tak zaniedbujecie geografię, przecież macie kilku niezłych geografów, jak: Hadżi-Kalfę, Elsli-Effendego i Mohameta-Effendego, o których nawet Niemcy mówią z pewnym szacunkiem? — spytam Selmana.

— Łatwo odpowiedzieć na to: geografii uczyć się nie można bez obrazów, nasz Prorok wyklina wszystkie obrazy.

— Nawet te co ziemię malują mój dobry Softasie? — to niesposób, Mahomet sam wiele podróżował.

— Właściwie nie mówi o tych, widać że ich przed dwunastu wiekami jeszcze nie było, — ale że mówi o obrazach, o tem lud wie dobrze i nienawidzi obrazów, więc by nam nie wybaczył, gdyby nas tu widział z jakiemikolwiek bądź obrazami w ręku. Z pyszna by nam było, a my przecież żyjemy po większej części z jałmużny naszego poczciwego ludu.

— A w czasach słoty, gdzie się uczycie?

— W przedsionku meczetowym, w zimie zaś kiedy bardzo zimno w owej tam elajecie, to jest w kuchni meczetowej, gdzie my mamy prawo jeść zadarmo, a gdzie ubodzy parafii naszej jedzą za tanie pieniądze. W nocy tam śpiemy—jak kto może, na siennikach leżących pod szeroką ławą; obywamy się jak możemy, czekając na lepsze czasy,— ale czystość ciała i duszy zachowujemy ściśle, my wszyscy jeszcze nie skażeni, a są pomiędzy nami młodzieńcy trzydziestoletni.

Mogą żyć tak wstrzemięźliwie, bo się nie podbudzają ani wyskokowemi trunkami, ani jedzeniem ryb, których fosfor także podbudza, ani próżniactwem, ani też widokiem nagiego oblicza, ciasno-ubranej kobiety; nie dziwię się tedy, że tyle w nich energii, patryotyzmu, i gotowości do czynu, choćby nawet krew kosztującego. Nie wyszepleniają się z jędrnych uczuć przedwczesną swawolą, wznieconą przez zdradliwe kobiety.

Ujęli mnie ci dobrzy ludzie, a Selman-Softa zyskał sobie prawo stałego obywatelstwa w mej pamięci. Poleciłem go Beyowi, a nawet Baszy. Pozwolił mi on przedstawić sobie tego poczciwego, przyjęli go dobrze, i obiecali, że się zajmą jego losem, że mu dadzą

gdzieś miejsce, jeśli nie i mama, to przynajmniej nauczyciela, i że go wyswatają z jakąś dziewicą nieubogą a poczciwą. I tak też zrobili jak obiecali, dowiedziałem się o tem.

Wszędzie, gdziem się tylko znalazł, nawet w krajach najbardziej oddalonych od mej kolebki, pod zwrotnikiem i pod równikiem, zyskałem pewność, że człowiek czujnego serca, byleby miał śmiałość harmonizującą z najskrupulatniejszą delikatnością, może wpłynąć korzystnie na los bliźniego, chociaż tak heterogenicznego jakim jest teolog mahometański dla wyznawcy Chrystusa.

Może tem przekonam choć z kilku Mahometanów, że dobry Chrześcianin, lepszym jeszcze jest przyjacielem ludzkości i pracowitych muzułmanów od złego chrześcianina na ich wiarę przystającego.

* * *

Ale Azzima i mulatka i wszystkie te dzieci, nawet panie Baszowe i ich odaliszki, proszą mnie znów jednogłośnie, bym im przeczytał nową gadkę z owej starej tureckiej książki, która tyle zawiera ciekawych rzeczy. Lubią mnie słuchać czytającego, bo czytam jeszcze *alla franka*, z francuzka, jak one mówią, a wszystko co niezwykłe to bawi dzieci i kobiety. A że się zgadało wprzódy o życiu i o śmierci, nawet o przyjemnościach uczciwej śmierci, po uczciwem i szczęśliwem życiu, więc im przeczytałem gadkę o mądrym królu Salomonie, którego pamiątkę muzułmania tak czci, jak ją czczą żydzi, i jak my ją wielbimy.— Więc do rzeczy:

„Tradycye zapewniają i ja temu wierzę, że każdy z wielkich Proroków miał do wyboru ze strony Wszechmocnego raz w życiu, życie wieczne, lub śmierć, tak jak każdy inny człowiek. Lecz pragnienie podziwiania Majestatu Stwórcy naszego, tak było wielkiem w sercu tych dobrych wielkich ludzi, że każdy z nich wolał umierać, niż żyć wiecznie na tej ziemi, której szczęście i radość, tak są przemijające, smutki zaś dotkliwe. Kiedy Salomon znajdował się w całej potędze i chwale swego panowania, i w pełnej sile wieku, Anioł Gabryel został przysłany do niego z kielichem napełnionym wodą

wiecznego życia, błyszczącą jak tysiąc dyamentów, i rzekł doń: „Królu pij, jeśli chcesz żyć wiecznie. Salomon chociaż sam tak mądry i wówczas zupełnie nienaganny, niemógł się z razu skłonić ani na wieczne życie, ani na śmierć, i prosił by mu wolno było zasięgnąć rady. „Powrócę innym razem“ rzekł Anioł i zniknął. Teraz Salomon zwołał swych najmędrszych radców stanu, honorowych, rzeczywistych, i tajnych, i pytał się o ich radę, jednego po drugim, osobno i po starszeństwie, lecz z dołu w górę. Wszyscy jednogłośnie radzili mu, żeby wybierał wieczne życie co ma tchu. Potem nieutwierdziwszy się jeszcze w decyzyi, kazał strąbić wszystkie ptaki powietrza i wszystkie bydło pól, i wszelkie zwierzęta, to samo mu radziło, co i panowie radzcy poprzednio. Tylko jeden jeż zwinięty w kłąb, nic nie mówił. „Cóż ty jeżu? ty milczysz?“ Jeż się wyciągnął z pod swej kolczastej skóry, podbiegł pod tron Monarchy, podniósł głowę i rzekł: „Jeśli możesz Królu podzielić się tą wodą z twemi krewnemi i przyjaciołmi, to ją wypijcie i żyjcie wiecznie; jeśli zaś nie możesz, to ją odtrąć od siebie. Ja bym jej nie pił, na słowo honoru, niechciałbym za nic w świecie przeżyć wszystkich mych krewnych i przyjaciół“. „Dobrą jest twoja rada o mądry i zacny jeżu i za nią pójdę, bo dla mnie jedynego przysłaną była woda wiecznego życia. I za udzielenie mi tej zbawienej rady, mianuję cię moim rzeczywistym tajnym radcą pierwszej klassy“.

Wielce się ubawił areopag niewieści i dziecinny, tą piękną historyjką, i znów wołał, bis i da capo; musiałem ją powtórzyć.

A potem dzieci opowiadały innym dzieciom też samą gadkę, naturalnie że z upiększeniami i dodatkami. Według nich, Anioł Gabryel nosił fez w dyamentowym półksiężycu, i z czaplem piórem; skrzydła miał z samych długich piór srebrnego pawia, kaftan czerwony, haftowany nadzwyczaj bogato, srebrem i dyamentami, hajdawery buchaste, karmazynowe, buty zaś palone, białe, z ostrogami. Salomon wyglądał jak słońce, tak, że na niego żadne ludzkie oko patrzeć długo niezdołało,—jeż został nietylko tajnym radcą, lecz ta-

kże baszą, o trzech buńczukach, i wielkim mistrzem orderu Niszang Iftiszar.

Azzima zapytała mnie się cicho i nadzwyczaj ważnie, czemu właśnie jeż, najbrzydszy z wszystkich zwierząt, miał więcej rozumu od wszystkich istot ziemskich, zwierzęcych i ludzkich.

— Bo się umie zamykać w sobie, skupiać i myśleć—odpowiedziałem także bardzo poważnie, jak gdybym był przekonany, że to wszystko jest najpewniejszą prawdą a nie genialną alegoryą.

— Tak—tak jest w istocie, od tej chwili będę szanować jeża — rzekła dobra Azzima i ściskając ramiona do piersi i siadając u nóg moich, przytuliła się do mych kolan.

Uczułem że jestem ojcem tej duszy, i że ona będzie piękną, Bogu miłą.

Nie omyliłem się.

* * *

Wyścigi konne: Seffer-Basza (Generał Dywizyi Kościel...) pożyczył mi konia karamańskiego, nie dużego, lecz szybkiego jak iskra, lekkiego jak ptak, a zręcznego jak cyganka w tańcu. Wyścigi odbywają się w stronie północnej przedmieścia Pera, w stronie gdzie leży Eyub-Dere, gdzie są słodkie wody. Jest to płaszczyzna wyrównywająca błoniu Mokotowskiemu, okrążona morzem, wspaniałemi ogrodami i pagórkami.

Przygotowano tam estrady, tak jak w najstołeczniejszem mieście Europy. Ambassady, magnaci europejscy i miejscowi, wysłali tam najlepsze ekwipaże, konie rassowe angielskie, arabskie, tureckie; mnóstwo amazonek, naturalnie europejskich, przedewszystkiem angielek, ale i francuzek, niemek, włoszek a nawet hiszpanek i szwedek było do czterdziestu. Turczynki pojawiały się w swych arabach, to jest, w ciężkich wyzłacanych, drewnianych pojazdach, z płaskiemi ressorami, otulone w swych cienkich gazowych jedwabiach i muślinach. Pod jaszmakami, widać tylko czarne, dobrze podmalowane oczy, bieluteńkie lica z czer-

wonawym jak róża biała powiewem. Obok tych ciężkich pojazdów, zaprzężonych końmi, a często i wołami, czarne eunuchy na koniu dumnie i srogo siedzący, ogromne zaś pałasze, zawsze do wyskoczenia gotowe, lśnią się przy boku. Tu nie pomoże żadna protekcya ambassadorów, najmniejsza niegrzeczność, najlżejsza niedyskrecya, srogo będzie karaną, — bo to harem Padiszacha, poświęcone kości!

Pomiędzy amazonkami europejskiemi, odznaczają się trzy damy jednakowo ubrane, w suknie długie z surowego jedwabiu, prześlicznie, błękitnemi kwiatami haftowane, w kapeluszach ze słomy, z fantastycznie zagiętemi skrzydłami, z powiewającym długim, białym leciutkim kwefem. Wszystkie trzy siostry, na kasztanowatych, bardzo pięknych, tureckich siedzą koniach, a towarzyszy im kilku kawalerów, pomiędzy niemi ów francuzki fizyk, któregośmy poznali na wieży Galaty. Są to też same francuzki, którym on towarzyszył. Za niemi czterokonne obszerne landau, zaprzężone à la Daumont, za landauem, na lotnym koziołku, siedzi dumnie rozwalony mały żokej, w powozie zaś również dumnie rozesłana dama w średnim wieku, jeszcze piękna, bogato ubrana, a jednak *półświatem* pachnąca. I to wszystko, choć bogate i wykwintne, pachnie półświatem.

Z daleka za nami, dochodzą głosy, tentent koni, krzyki, turkot pojazdów, oglądam się, orszak czerwonoubranej złoconej kawaleryi, z pałaszami w dłoni, z powiewającemi kutasami fezów; to gwardya sułtańska. Z drogi konie i powozy, — Padiszach jedzie! Amazonki francuzkie stoją jak mogą, najbliżej drogi, i ciekawe na orszak zwracają oczy: każda z nich przybiera najklassyczniejszą jak może postawę i wyraz twarzy, najwięcej anielski. Nadjeżdża sułtan, spogląda na nie, lekkim skinieniem głowy, lekkim rozszerzeniem ust, dość widocznem rozdarciem oczu, wita owe uszczęśliwione tą attencyą młode damy, które mu przesyłają ukłony, rączkami, dotknięciem serca, buzi i głowy.

— Sa Majesté Imperiale, jeszcze nigdy, ale nigdy nikogo tak jednoczesnym potrójnym nie uraczyła ukłonem — rzecze jeden z tych panów.

— Lecz ręką nie salutował — odpowie markotno jedna z nich.

— Tego nigdy nie czyni—chyba monarszej krwi —powie fircyk,—ale widziałem że mu zadrgała ręka, tylko względy najwyższej wagi mogły Jego Cesarską Mość do wstrzymania jej skłonić.

Zdaje mi się, że te damy, przyjechały tu umyślnie dla skokietowania Sułtana, może je zapisał ów ambasador, o którym wspomniał mój Softa.

Wyścigi odbyły się dość regularnie: na mały dystans zwyciężały konie angielskie, na większy zaś, bezwyjątku rumaki arabskie. Jaka z tego konkluzya? dla mnie, że arabskie lepsze. Najlepszy z arabskich był Alnaszar, należący do lorda Dundas, — najlepszy zaś z angielskich, była Miss Witch, należąca do Sir Adolfa Brown. To dowodzi przynajmniej, że się anglicy najlepiej na koniach znają,

Jedna z tych trzech dam, hasając zbyt odważnie, spadła z konia na ową piękną twarz swoją, i biedaczka krwią się zalała.

Widział to Sułtan, i polecił jednemu z swych adjutantów, by jej oficyalnie najdostojniejsze zmartwienie jego objawił. To pocieszyło tę damę, która otuliwszy się, uciekła do powozu, zapewnie do mamy, lecz dwie drugie damy pozostały na koniach.

Jedenastu oficerów konnicy, na własnych koniach walczyli o pierwszeństwo na dystans czterech wiorst z zawadami przy pałaszach Jeden kark skręcił, drugi nogę złamał, jeden postradał konia, bo padł uderzony apopleksyą blizko mety, a był drugim z dopadających; ten co zwyciężył, dostał 10,000 franków, i dwa rewolwery wielkiej wartości,—drugi 5,000 franków i rewolwery, trzeci 2500 fr. i rewolwery. Temu który stracił konia, sułtan kazał wypłacić 5000 franków dla pocieszenia go, i tyle dał temu co nogę złamał. Rodzicom tego, który kark skręcił, sułtan zapewnie dał także coś na pocieszenie. Taki wyścig tedy wiele kosztuje, a właściwie nic nie dowodzi, prócz niedorzeczności rządu, który nań zezwala; dobry bowiem jeździec, może kark skręcić z przyczyny złego konia, a dobry koń, może dobiedz mety, pomimo tego, że zły jeździec

na nim siedzi. Z resztą, do nacierania, kawalerzysta nie potrzebuje zbyt szybkiego lecz raczej mocnego konia, do uciekania zaś, żaden dobry żołnierz sposobić się nie powinien. Do ścigania piechoty, miernie bieżący koń wystarczy; kto zaś będzie ścigał kawaleryą uciekającą, przegrodzoną piechotą od ścigającego? To się nie wydarza zdaje mi się nigdy.

Przy tej sposobności poznałem się bliżej ze starym Dżiaffer Baszą, generałem arnautów, ojcem chrzestnym byłego Drez.... a teraz Beya. Strasznie ospowaty, że tak powiem, pokaleczony, poszarpany ospą, ze skałką na oku, czerwony, z brodą i z wąsami na bakier rosnącemi, z powodu blizn, wygląda prawdziwie dziko, po szatańsku, nawet upiorowato. Wie jak odrażające sprawia wrażenie, i z tego jest nadzwyczaj zadowolony, bo jak powiada, tylko szatan potrafi utrzymać w karbach karności hordę arnautską, dziką, hultajską i zbójecką. Pomimo to, nie jest złym człowiekiem: tysiąc opowiada okropnych awantur, gdy sobie podpije, a to mu się wydarza tylko, kiedy jest z Polakami, czy zbisurmanionemi, czy też wiernemi wierze. Przechował tedy, od czterech z okładem wieków, coś sławiańskiego w krwi swojej, tak, jak i wszyscy jego rodacy, lecz tęsknoty do panslawizmu oni już nie uczuwają, owszem, hultaje ci, chętnie się przeciw sławianom biją i dali się we znaki biednym Hercegowińcom, a nawet tak walecznym i rycerskim Czarnogórcom.

Już wiedzą, pomimo mej dyskrecyi, dawni rodacy moi gdzie mieszkam i dziwią się, że w tak dobrych stosunkach pozostawać mogę ze srogim, wrogim Baszą, który tak wyraźnie nienawidzi renegatów, i tak surowo karał zbuntowanych Bulgarów, którzy się przyznać to trzeba, także tu i owdzie, nieludzkiemi okazali względem pojmanych Turków. Dobrzy chrześcianie, powinni zachować charakter ludzkości, wszędzie gdzie walczą i z jakimkolwiek wrogiem walczą; to co się na nieszczęście i na sromotę chrześciaństwa, tak często dzieje w Hiszpanii, i co tam zacięte duchowieństwo samo wykonywa, to niepowinno innym narodom służyć za przykład do naśladowania. System repressaliów nie jest zgodnym z duchem chrystianizmu, a jeżeli mnich

hiszpański, a infanci i infantki hiszpańskie przewodniczą rzeziom, to tylko dowodzą, że nic nie mają w sobie chrześciańskiego, prócz nazwy, i że zasługują na przekleństwo i na wzgardę świata. Najlepszemi żołnierzami są ludzie w pożyciu domowem łagodni, a taki co z bezbronnemi surowy i srogi, to się źle bije przeciw uzbrojonemu. To też, pomimo niedościgłego jeszcze przez żaden naród okrucieństwa karlistów, upada ich sprawa i tryumfuje pomimo swego niedołęztwa i braku bohaterstwa, sprawa konstytucyjnego Alfonsa. Naród który posiadał to, co Hiszpanie już mieli, a potem odrzucili, nie jest godnym wielkiego poszanowania.

Pewno, że niewyjawiłem moim ziomkom, że królikom duszonym, po francuzku w winie, zawdzięczam względy mojego baszy, — byłbym siebie tem po prostu zabił, gdyż żadne względy w świecie, nie zdołają tych Baszów, Minałajów, Beyów i Effendych wstrzymać od plotkarstwa, a niema w Niemczech stolicy, by najmniejszej tak plotkarskiej, jakim jest Stambuł, owa ogromna stolica Wschodu, zamieszkała przez ludzi na pozór, tak zakochanych w milczeniu, a w gruncie najlepszych Klatschtregierów. Najlepszemi obnosicielami plotek, są niezawodnie owi panowie, którzy nic dobrego nie przyjęli z Islamizmu, ani zamiłowania do rozpamiętywań, ani do trzeźwego życia, ani do—kąpieli.

Zakładami kąpielowemi, parowemi, Stambuł i każde miasto tureckie, jest przepełnione. Jako sposób oczyszczenia skóry i ułatwienia jej przez to nader ważnych funkcyi, kąpiel stanowi konieczny warunek utrzymania zdrowia w dobrym stanie. O tem turki i turczynki doskonale są przekonani, i wielu z nich, mianowicie, te ostatnie, przepędzają codziennie kilka godzin w kąpielach tureckich, gdzie się nietylko myją, kąpią, pocą, znów zimną wodą przekrapiają, lecz gdzie także każą sobie systematycznie wytrzaskiwać staw po stawie, owym kompletnym eunuchom, którzy wyrugowywanie stawów, do zadziwiającej doprowadzili sztuki. Najpiękniejsza, najwstydliwsza, młoda mężatka lub dziewica, poddaje się tym wyrugowywaniom eunuszym, bez najmniejszego wstrętu, owszem, z lubością, a najzazdrośniejszy turek, niema nic przeciw temu; eunuch

nie jest uważanym za człowieka, nawet nie za istotę, tylko za rzecz

Jedna jednakże, już trochę podeszła turczynka, zaręczała mi, że w haremie sułtańskim i w kilku innych haremach, bardzo dostojnych i bogatych turków, tylko eunusi zupełnie głuchoniemi, sprawiają te delikatne funkcye, których wykonywać żadna kobieta, zdaje się dla braku rozumu, zręczności i siły, nie jest w stanie. Mulatka zaś, matka operowanej przezemnie dziewczynki, zapewniała, że młodziuchnym, czarnym eunuchom w haremie sułtańskim, przekłuwają się bębenki wnętrza ucha, aby z nich zrobić głuchoniemych, potrzebnych także do gwardyi przybocznej samego Padiszacha. Inne wiarogodne osoby, zaręczały mi, że to jest prawdą, najsmutniejszą prawdą.

Do czego nielitościwy Bisurmanin nie doprowadza istoty ludzkiej, bliźniego swojego?! Żeby mu był użytecznym, eunuch głuchoniemy i niewidomy zarazem, toby się ani jednej chwili nie wachał, przekłułby mu oczy, tak jak Włosi przekłuwają ziembom oczy, by im śpiewały bezprzestannie. Tego Turkom Alkoran nie wzbrania, niewolnik nie jest człowiekiem, lecz rzeczą, prawa dla nich nie ma w tym kodeksie okrucieństwa, i niedorzeczności.

Powracając do kąpieli, musimy jeszcze nadmienić operacyę wcierania balsamu, mianowicie kosztownego i orzeźwiającego balsamu Mekki, który się sprzedaje gdy jest doskonałym, dosłownie na wagę złota.

Wcierania te, wpływają bardzo pomyślnie na podniesienie ogólnej sprawy odżywiania siły organicznej, w razie jej upadku, a brane codziennie, tak jak to czynią turcy, chciwi rozkoszy, podniecają także miłosne namiętności do wysokiego stopnia. Nie radziłbym kobietom brać tego rodzaju kąpiele, nie przyłożyłyby się one wcale, do przedłużenia życia swych mężów, owszem, skróciłyby je w znaczny sposób.

Niejeden turek nadużywa tego środka podniecania się, i w skutek jego, prędko się wyszeplenia z sił i wpada nareszcie w osłabienie, z którego się tylko haszyszem zawierającym opium, arak i betel na chwilę wydobywa. Lecz i opium długotrwałego, wzniecają-

cego nie wywiera skutku, nadużycie jego, wtrąca w ogólne stępienie i osłabienie, tak, że ludzie nadużywający opiatów, tracą nareszcie siły odżywiające i wpadają w zniedołężnienie umysłu, który tylko coraz większemi dawkami opiowemi, może być chwilowo podnieconym. Nareszcie, już i największe dawki makowca, zatracają skutek; widziałem jednego, zaledwie trzydziestoletniego rozpustnika, który leżał zupełnie jak martwy, z językiem wiszącym po za zębami, jak to się zdarza czasem u starych koni, lub u powieszonych. Żona tego człowieka, zupełnie młoda i zdaje mi się ładna osoba, powierzyła mi go mówiąc: „rób Doktór z tym niegnijącym jeszcze trupem, co tylko chcesz, bylebyś go postawił na nogi, lub też dobił“. Był to rezolutny babusik, i ja upewniwszy się, że i ojciec na to zezwala, wziąłem się do dzieła elektrogalwanizmem, wcieraniami, szprycowaniami fosforycznemi wprowadzonemi w organizm, za pomocą długiej gumelastycznej sondy.

Z wielką dla mnie rozkoszą, lecz zdaje mi się, nie z tak wielką dla rezolutnego babusika, osiągnąłem powoli skutki zdumiewające. Powoli postawiłem zbyt wesoło się niegdyś bawiącego opiożercę, prawie zupełnie na nogi, tak, że mógł chodzić znowu do kąpieli, wzniecać się wcieraniami z balsamem, i używać sił wprzódy zupełnie sparaliżowanych. W kilka miesięcy po mym wyjeździe ze Stambułu, wpadł znów gorzej niż wprzódy w stan sparaliżowania i tym razem, żadna siła ludzka, użyta z resztą niezręcznie, nie zdołała w nim zbudzić wyczerpanych sił. Umarł. Wdowa zaś jego, nie zamartwiła się na śmierć, tylko pogadawszy z pochowanym małżonkiem, zwyczajem tureckim razy kilka, poszła jak mogła najprędzej za innego, nieużywającego ani kąpieli balsamowych, ani też makowca, i trzymała go dzielnie w klubach, niepozwalając mu ani przybrać innej żony, ani się posługiwać odaliszkami, lub greckiemi surrogatami. Nie okazała mi się z resztą zbyt wdzięczną za postawienie męża na nogi: nie musiał ten małżonek mieć wielkiej wartości pod żadnym względem.

W krajach muzułmańskich, ginie prawie tyle ludzi ofiarami makowca, ile ich ginie w Niemczech ofia-

rami wódki: nie przewidział tego Mahomet chociaż był tak wielkim prorokiem. Opium konstantynopolitańskie jest prawie tak silne, jak najlepsze smyrneńskie i wschodnio-indyjskie, chemik angielski wyrabia tutaj z niego kodeinę, morfinę, narkotynę i narceinę, zarazem i haszysz do żucia i palenia. Dobrze mu się wiedzie, wiele bowiem turków nie może się obejść bez opiatów. Tureckie plemie, w skutek tego, i w skutek wielożeństwa, jest plemieniem wymierającem, wiedzą oni sami o tem. Bulgarowie zaludniają dziś wiele wsi, osad i niektóre miasteczka wprzódy prawie całkiem przez osmanlisów zamieszkałe. Osiedleni w Turcyi Tatarzy, od niedawnych czasów przez Rossyan z Kaukazu wygnani Czerkiesi wymierają w Turcyi, gdzie znaleźli przytułek, z chorób dawniej tu nieznanych, a zwłaszcza z nadużycia opiatów.

* * *

Poznawszy Derwiszów wyjących, chciałem poznać i wirujących. Mają oni tu w Konstantynopolu dwa tekkije, to jest klasztory; jeden mniejszy na Pera, drugi okazały w pięknem położeniu w Stambule właściwym za bramą Siedmiu wież Jeni-Kalé. *Derwisz*, znaczy po persku ubogi, to samo co po arabsku znaczy *fakir*. Niektórzy z tych Derwiszów, są żonaci, i mieszkają po za obrębem klasztoru, lecz muszą się stawiać w meczecie do modłów, różnych umartwień, religijnych wyć i tańców: utrzymują się z pracy ręcznej, prócz tak zwanych Bektaszi, mających prawo do żebrania. Wszyscy tem się znamionują, że na głowie noszą kapelusze z siwej piłśni, wyglądające jak przewrócone do góry dnem moździerze. Co piątek odbywają swe najbrudniejsze ceremonie. Meczet tych derwiszów wirujących, jest obszerny, z przedsionka także obszernego można przez kraty patrzeć na te ceremonie, nawet niewiastom jest to dozwolone, i dużo ich przybywa korzystać z tego zadziwiającego widowiska. Na wzniesieniu siedzi kapela złożona z trzech trzystrunowych basetli i z pół tuzina nastrojonych na bemol bębenków; każdy

muzykant potrąca ich naprzemian lub razem trzy i wydobywa z nich jako wtorowanie do basetli, grających coś na kształt makaberskiego tańca, monotonne, lecz harmonijne nuty. W głębi meczetu, siedzi na wzniesieniu także, Szeik derwiszów, sędziwy, poważny starzec, z długą, białą brodą, i z bladem szacunek wzbudzającem obliczem. Derwiszów było tam razem dwudziestu trzech, najstarszy mógł liczyć 40, najmłodszy ze 25 lat. Ubrani byli w owe kapelusze, w staniki białe, i w długie bardzo spódnice, które przypasywali przypaską skórzaną i sznurkiem, tak jak księża katoliccy ceremonialną długą suknię, zwaną, zdaje mi się, albą. Pomiędzy temi derwiszami, był jeden najwięcej 26 lat mieć mogący, średniego wzrostu, z twarzą nadzwyczaj szlachetną i piękną, ze ślicznemi niebieskiemi oczyma i czarnym włosem; tylko nos jego lekko zgarbiony, wyjawiał typ turecki, z resztą i z cery delikatnej, i z czoła, z oczu i z ust był pięknym reprezentantem typu kaukazkiego, i wyrazem melancholicznym twarzy tak regularnej, szlachetnej, oczarował nietylko owe zajaszmakowane kobiety, lecz i mnie samego, zwłaszcza, że ten derwisz przybył tutaj na dziwnie pięknym drogocennym koniu, i miał za sobą murzyna, także konnego, który po zejściu derwisza, wziął jego cugle, i pojechał umieścić rumaki w stajni. Ubranym był zupełnie jak inny derwisz, tylko nosił rękawiczki, i oczywiście dbał o swoje ręce, które były białe i kształtne, jak je zaledwie piękności żeńskie mają. Nogi zaś jego bose i białe, tkwiły w babuciach zwyczajnych, lecz drobnych. Zaintrygowała mnie ta niezwykła indywidualność do wysokiego stopnia: ten człowiek, noszący wszystkie znamiona arystokracyi rodu, siedzący tak swobodnie i szlachetnie na koniu, miałżeby być zwyczajnym derwiszem?

Owe kadine zakwefione, śledziły wszystkich jego ruchów z napiętą ciekawością; jestem pewny, że tu dla niego umyślnie przybyły, zkądżeby pochodził ten ruch, ten szmer pomiędzy niemi, gdy tylko z daleka usłyszały tętent podków, jego prześlicznego jak sen wiosenny rumaka, robiącego stępem tak posuwiste, wysokie, tańczące, lekkie kroki, że mnie staremu znawcy

tych miłych czworonożnych zwierząt, serce zadrgało na widok jego.

Zkądże ten szmer, ten ruch, to drganie w kadinach, na widok zapewnie nie konia, lecz jeźdźca? zkądże te karcące spojrzenia czarnego eunucha, na swe najniezawodniej bardzo dostojne panie, bo przyjechały w lektyce, wyrzeźbionej, wyzłoconej, posadzonej na czterech kołach, także wyzłoconych, i tak urządzonej, że lektykarze postępujący piechotą, mogli w oka mgnieniu zdjąć lektykę z kół i nieść ją na barkach, tam gdzie droga była spadzistą,—Wszystko to było tajemniczem, mistycznem i zagadkowem,— wszystko to mnie zajmowało, niepokoiło, do zadziwiającego mnie samego stopnia. Napróżno sobie sam mówiłem, że się staję kobietą, płochą ciekawą, wrażliwą kobietą, uczuciówką warszawską, szukającą wrażeń, śmieszną; napróżno!— mnie trapiła chęć rozwiązania tej zagadki, tego enigmatu, a kogo się tu spytać? te kadine wiedzą niezawodnie wszystko, lecz nie przystoi rozmawiać z niemi w przytomności eunuchów. Więc zwracam się do przydanego mi ordynansa, kładę mu trzy srebne piastry, i mówię mu:

— Mustafa, idź do stajni i wywiedz się od murzyna, kto jest ten piękny derwisz.

Mustafa schował piastry do kieszeni i rzekł:

— Effendy, mnie niewolno odstępować, ani na jedną chwilę, by ci się nie stało nic złego, — tak mi rozkazał mój Bey.

Nareszcie muzyka zaczęła grać, i weszli derwisze do meczetu, pięć kroków jeden za drugim, wchodzili widać porządkiem wieku, przedostatnim był zagadkowy Derwisz, bez rękawiczek, bosy, z długą podwiązaną spódnicą, w okropnie brzydkim kapeluszu. Ustawili się półksiężycem, zawsze o pięć kroków naprzeciw Szeika, i nagle bez danego znaku, lecz wszyscy razem, zrobili obrot w prawo, i postępowali wolnym krokiem, lewą nogą naprzód w kółko, zbliżywszy się do Szeika, znów się zwracali ze skrzyżowanemi rękoma na piersi, ku Szejkowi, głęboki mu ukłon składali i znów wolno i poważnie wracali się znów na lewo i postępowali naprzód. Tak przeszli dwa razy około szeika, gdy prze-

chodzili po raz trzeci, Szeik ich pobłogosławił, wyciągnieniem ręki, i gdy ostatni dostał błogosławieństwo, muzyka zmieniła rytm, zaczęła grać szybciej i nuż owi derwisze rozpuszczać długie spódnice i kręcić się około siebie z prawa na lewo, naokoło wnętrza meczetu, tak jak się ziemia obraca około swej osi i około słońca.

Muzyka coraz przyspiesza takt, rozprzestrzeniają się długie spódnice około tych ludzi, którzy mają nogi nagie do kolan, a wyżej białe, po prostu powiedziawszy z przeproszeniem, majteczki. I kręcą się tak już od pół godziny, wirem przyspieszonym, z rękoma wyciągniętemi w górę, z głowami na prawo i w górę skierowanemi, z oczyma w niebo wlepionemi, w twarzach wyraz zachwytu i znoju. Najpiękniejszym był derwisz zagadkowy, ależ było boleśnie patrzyć w tę twarz, tak piękną, natchnioną, w te wielkie niebieskie oczy, zwrócone w górę. Już zaczęli padać derwisze ze znoju, softasi i szeik biorą go na bok, on coś mówi biedak, majaczy, szeik notuje jego słowa: taniec trwa już od trzech kwadransów, już wszyscy poupadali, wszyscy prócz młodego pięknego,— okropne znużenie maluje się w jego twarzy, piersi ciężko oddychają, rysy twarzy uśmiechnięte,—kadine wzdychają, jęczą, płaczą z litości, on się ciągle kręci sam jeden, nareszcie plączą mu się nogi, — pada jak trup i ani słowa nie mówi. Przypadają softasy i szeik, trzeźwią go zimną wodą, nic nań wrażenia nie robi: ja mam zawsze z sobą ammoniak, z powodu, że żmij dużo w okolicy Konstantynopola, podaję jednemu softasowi buteleczkę z ammoniakiem, on rzecz pojmuje, daje wąchać buteleczkę omdlałemu; wraca derwisz do przytomności, majaczy coś, zabobonny stary szeik słucha i notuje każdy wyraz skwapliwie na osobnej książeczce. Półżywego, wynieśli softasy do zakrystyi, któremi zawsze jest opatrzony każdy meczet. Na tem był koniec, i zabierałem się do odwrotu, chociaż buteleczka moja pozostała w ręku softasa.

Lecz nagle jawi się przedemną w przedsionku z softasem, przynoszącym mi flaszeczkę, sam ten młody, piękny derwisz, jeszcze bardzo blady, lecz pokrzepiony kawą, staje przedemną, w rękawiczkach i babuciach,

z podkasaną znowu spódnicą, i dziękuje mi w wyrazach grzecznych, wyszukanych, pięknym głosem, za okazane mu współczucie.

— Ależ kochany bracie Derwiszu, ty się zabijasz temi wysileniami, dostaniesz przynajmniej rozdęcia serca, jeśli tak gorliwie tańczyć będziesz; tego Bóg nie wymaga, On ofiar podobnych od nas nie żąda, zadawalnia się dobremi uczuciami.

— Pan zapewnie jesteś misjonarzem angielskim? spyta teraz Derwisz w najlepszej francuzczyznie.

— Ani teologiem ani anglikiem, tylko prostym, dobrym chrześcianinem i lekarzem—odpowiem

— To już nie mogę odgadnąć, do jakiej pan należy narodowości, z akcentu byłbym pana wziął za Polaka, ale ten by mi był śpiewał o mszy i o spowiedzi, a nie o prostych, dobrych uczuciach — rzecze Derwisz, uśmiechając się z najnadobniejszą figlarnością.

— Na miłość Pana Boga, mój bracie Derwiszu, tak dobrze mówisz po francuzku, i tak dobrze znasz świat, miałżebyś i ty, z twoją uczciwą twarzą być renegatem?

Wyrzekłem te słowa ze zwykłą mi serdecznością, i na twarzy mojej malować się musiała boleść, gdyż Derwisz wzruszonym był do głębi serca, wziął mnie za rękę silnie, i pomimo oporu, pocałował ją z wylaniem.

— Nie—nie panie i ojcze mój, jestem prawowiernym urodzonym muzułmaninem, i w mej religii wytrwam aż do końca: lecz niedarmo żyłem trzy lata w Paryżu, gdzie poznałem wielu Polaków.

— Lecz czemuż się zabijasz tem nabożeństwem?

— Poswarzyłem się w domu z jedną z mych żon, z najłagodniejszą, z najładniejszą, i gniew mój z rozpaczliwego rozjuszenia, chciałem wywrzeć sam na sobie, w tym szalonym, głupim tańcu.

— Więc nawet nie wierzysz w skuteczność religijną tego tańca!

— Pas si bête!

— I masz dość majątku na utrzymanie kilku żon?

— Ja nic nie posiadam — grosza przy duszy niemam, pieniędzy posiadać nie powinienem. Ojciec za wszystko płaci— ha! ha! ha! ja jestem strasznie eni-

gmatycznym derwiszem, takiego jeszcze nie ma na świecie, ale przytem un tout à fait bon enfant que le diable m'em porte.

Rozśmiałem się pustym śmiechem na te jego zaręczenia, on mnie zaś spytał, czy wracam natychmiast na Pera.

— Nie mieszkam w Pera, lecz w Skutari.

— Ah! to pan musi być tym lekarzem polskim mieszkającym u mojego przyjaciela Izzedim-Beya. Mówił mi o panu przed kilku tygodniami. A Panu nie mówił nic o mnie, o człowieku znanym tu pod nazwą Der wisz-Mirza? to jest, o księciu ubogich?

— Nic mi nie mówił o Tobie.

— To się chyba wstydzi, ale i on nie lepszy. Wolę ja jeszcze tańcować raz na tydzień w meczecie, jak brać rózgi na podeszwy, tak, jak on je brał przez dwa lata. Z resztą jesteśmy ambo meliores, i pokutujemy za te same błędy, za nasze zamiłowanie do cywilizacyi francuzkiej. — Więc pan wraca do Skutari?

— Wracam natychmiast,—mam tu oto dwa najęte konie wierzchowe.

— Mieszkam tuż blizko Seraskieratu, i proszę pana, byś mi wyświadczył zaszczyt, przyjęcia u mnie czegoś— na kształt małego śniadanka; mam u siebie doskonałego Montebello butelek kilka, a solo basso nie umiem pić szampana. Ja pojadę na koniku pańskim, a pan się przejedzie na moim Bajrakterze. Wart tego zaszczytu,— wygrał mi przed tygodniem drugi zakład, byłby może wygrał i pierwszy, gdyby mój brat, kapitan kawaleryi, który na nim biegał, nie był się tak okropnie roztył w ostatnich czasach, że już do Hippopotama podobny.

Przyjąłem propozycyę, bo mi serce rośnie, jak siedzę na dobrym koniu: wierzę w elektryczność, która się rozwija z dotknięcia dobrego człowieka, z dobrym koniem, i tę elektryczność lubię uczuwać w sobie,—nawet mogę powiedzieć bez zmyślenia, że ten kontakt, zawsze mi był milszym od wszelkich innych kontaktów. Nawet się i koń zaraz poznał, że przyjaciel jego rassy na nim siedzi, i oznajmił mi to przedłużo-

nem rżeniem i chrząkaniem, potem nawet się obejrzał, i jednem ślipiem spojrzał mi w oba oczy, zadowolony z egzaminu, stąpał wysoko zadzierając nogi i jeszcze słów kilka wykrząknął, przyjaźnie brzmiących.

Niech nikt nie myśli, że to wszystko co mówię o arabskich koniach, a nawet o innych, dobrze wychowanych z ludźmi serca, jest prostym tylko wymysłem; zwierze potrafi harmonizować ze zwierzęciem, nawet nie swojego rodzaju, czemużby koń nie harmonizował z człowiekiem, który z niego zrobił tak użyteczne, wspaniałe i długo żyć mogące stworzenie. Przez konia już z pewnością człowiek udowodnił, o ile sztuka może wpłynąć na wydoskonalenie produktów przyrody, i jeżeli jeszcze są ludzie, którzy nie mają wyobrażenia o boskiej naturze człowieka, o aliquid divini, to niech się przypatrzą koniowi arabskiemu, a nie angielskiemu, który jest rosły, silny, wysmukły i szybki, lecz który nic nie posiada, z godnej podziwienia i kochania roztropności konia arabskiego, z którym tak miło przestawać, jak z najprzywiązańszym psem, skoro się żyje życiem patryarchalnem w puszczy. Będziemy mieli później w Palestynie częstą sposobność udowodnienia naszego zdania.

Po drodze rozmawiałem bardzo wiele z moim nowym znajomym, umiejącym tak łatwo i dobrze orientować się pomiędzy ludźmi wszelkich stanów, narodowości i religii. - Piękny to przywilej ludzi, urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą, a ileż to ludzi dobrze urodzonych, którzy się nie urodzili pod tą gwiazdą.

Nie pojechaliśmy prosto do wnętrza Stambułu, lecz po drodze zwiedziliśmy klasztor grecki, który od półpięta wieków, słynie z cudu, który się stał z rybami żyjącemi jeszcze do dziś dnia. Jest w tym klasztorze cysterna, w której żyją roje ryb, zwanych u nas flądrami. Jest to jedyne zwierze, którego prawa strona nie jest podobna do lewej, ani barwą ani kształtem, ani organizmem; po prawej bowiem stronie, ciemnoszarej, znajdują się oba oczy, a po lewej wcale żadne. Głowa ich jest tak spłaszczoną w czole i przekręconą na bok, że oba oczy znajdują się po jednej stronie ciała, które jest wysokie, z boków ścieśnione. Ryba ta,

zwana flądrą małą, po łacinie Pleuroneites flecus, jest tutaj uważaną za taką anomalię, za taki dziwoląg, że ją zakonnicy pokazują jako rzecz osobliwą, i nie gratis pro Deo, lecz za jaki mały bakszysz. Upewniają, że na całym świecie takich ryb nie ma, a tym czasem ryba ta morska, tak jest obfitą w Baltyku, i tak lubi pływać przeciw prądowi, że często wchodzi w rzeki i podpływa aż pod Warszawę.

Poczciwi ci zakonnicy powiadają, że dla tego jest tak białą ta ryba z lewej strony, że przed 450 laty, gdy turcy już zagrażali Konstantynopolowi, ojciec kucharz smażył wielką ilość tych ryb na patelni i ta strona zbielała, gdy zaś Turcy przechodzili przez mur, kucharz pobiegł na mury bronić innych braci, i rzucił wszystkie ryby w patelni już półusmażone do cysterny. Ryby natychmiast odżyły, tylko z jednej strony pozostały białe, oko im wysadziło gorąco, z lewej na prawą stronę. Tak wierzą, tak opowiadają, i każdy wierzy, nawet i Turcy chętniej płacą za widzenie, najbrzydszej ze wszystkich ryb, jak za widzenie krokodyla, słonia, girafy, nosorożca lub hyeny.

To sprawdziłem, że woda w której się ryby chowają, i jak tu mnichy utrzymują, ciągle rozmnażają, jest słoną, zapewnie umyślnie z morza przywiezioną, lecz jakże się tu rodzice tych ryb wzięli, kiedy ich teraz nie znajdzie ani w morzu czarnem, ani w Bosforze, ani w morzu Marmora, ani w ciaśninie Dardanelskiej; niewiem czy ich niema w morzu Egejskiem.

To mnie dziwi, że taki bywalec jak Derwisz-Mirza, nie zna ryby, zwanej flądrą, kiedy niezawodnie w Paryżu, poznał wiele dwunożnych istot, tego nazwiska godnych.

— Et penser! że nas tak oszukują od lat 450?

— Czemuż nie macie ludzi, co się na rybach znają?

— Turkowi idzie tylko o smak ryby, lecz nie o ich postać—powie Derwisz-Mirza.

— Te ryby należą właśnie do najsmaczniejszych, przecież musiałeś w Paryżu jeść nieraz ryby, au bleu, z sosem niebieskim, zwane saules?

— Sto razy—może nawet dwieście razy.

— To jest właśnie ta ryba, pełno jej w kanale Manszy, w morzu północnem w Atlantyku.

— Wstydzi mnie to, żem się żywił tak wykoślawioną rybą, może mi właśnie to wykoślawiło wszystkie moje gusta: kochałem tyle brzydkich, chudych francuzic, a żadnej z mych pięknych, tłustych żon nie kocham. Prawda, że niema z niemi o czem mówić, że nie umieją się stać interessującemi—jednostajność żeby była najprzyjemniejszą, nudzi jednakże, „ah toujours des perdrix—toujours et tous les jours rien que des perdrix!“ Dla przerwania monotonii, swarzę się, a ze swarzędy do kłótni niedaleko, z kłótni niezadowolenie, — zgryzota, a z niej ten rozpaczliwy taniec makabrski, który już niejednemu śmierć zadał. W ostatnim roku, pięciu z nas padło trupem, a tego roku już jeden, lubo przecież nowy rok dopiero co się rozpoczął.

Słowem bawię się w domu i na świecie, jak święty Jan w oleju — tak jak to mówią francuzi.

— A dzieci niemasz jeszcze kochany Mirzo?

— Miałem tego sporo, coś z tuzin mniej więcej, i mam tego jeszcze z pół tuzina.

Pięknać mi przyjemność z dziećmi wychowanemi przez nieznające nic matki? — a ząbkowanie? a koklusze? a krosty? a difteryty? a oftalmie, róże, dyarye, dysenterye, womity, konwulsye? a rumianki, lipowy i bzowy kwiat, waleryany, i wieczne assafetydy? jeśli je kochasz, to umierają, jeśli nie kochasz, to żyją. Najlepszy człowiek wpada w mizantropię z babami: ja tańcuję nie dla Boga, lecz z wściekłości — a zatem dla djabła.

— Ale dla czegóż na miłość Boga, obrałeś sobie ten zawód tancerza wirującego? — spytam zdziwiony tem, tak nagle u Turka zyskanem zaufaniem, i ośmielony nerwową gadatliwością, tego tak prawdziwie przystojnego i miłego Turka.

— Ah! to jest historya,—opowiem ją panu z największemi detalami, w domu moim ogrodowym, gdy każdy z nas będzie miał przed sobą kufel szampana, z pływającemi w nim trzydziestoma kwiczącemi ostrygami. Teraz nam wypada jechać ostrożnie po tym de-

dalu spadzistych, ciasnych, źle brukowanych uliczek, gdzie co chwila wymijać wypada wlekące się jak ślimaki, tłuste, złe kobiety, i chmarę olbrzymich chamałów, niosących na swych atlasowskich barkach paki, zabierające całą szerokość ulicy, a krzyczących *wara* dopiero wtenczas, gdy człowieka lub konia uderzą. Jedź pan z łaski swojej najostrożniej, szkodaby było mego Bairakdara. Istotnie nie łatwa to przeprawa, był to bowiem właśnie czas przeprowadzenia się: widziałem chamała niosącego na głowie, stary, lecz spory, ozdobami złoconemi suto wykładany klawikord.

— Instrument ten, świadczy jednakże o postępie oświaty w tym mieście – zauważyłem.

— Zostawił go niezawodnie jakiś zrujnowany europejczyk u tego lichwiarza arabskiego, który przenosi na własnych barkach, kassę swoją do owego nowego domu. Przed dziesięciu laty, handlował jeszcze starzyzną, teraz sobie domy stawia, za lat dziesięć, będzie zapewnie bankierem sułtana. Takie u nas robią skąpi, chciwi, obrotni arabi interesa: żyją lada czem, umierają na worach złota, ich zaś synowie, lub najdalej wnukowie, zasmakowawszy wykwintności świata cywilizowanego, rujnują się i przepadają marnie.

— Tak u nas robią Izraelici.

— Między Arabami są także Izraelici,—znajdziesz ich pan w Palestynie, ale ci są raczej wzorowemi ludźmi, nie trudnią się lichwą, lecz wiodą w osadach rolniczych życie patryarchalne, i nie łączą się ani z Arabami muzułmańskiemi, ani też z Żydami.

— Wiem o nich nie jedno, i cieszę się na zabranie bliższej znajomości, z temi pracowitemi, mądremi i mozolnemi ludźmi. Wyznają oni jak Karaici czysto Mojżeszową, żadnym talmudem, żadną kabałą nieskalaną religię, i potrafili ją podczas prześladowań rzymskich zupełnie zachować nieskażoną. Są pracowici jak Karaimy, a waleczni, nie jak Żydzi, lecz jak Arabowie.

Przebrnęliśmy nareszcie owe labyryntowe zaułki, które przedzielają część południową Stambułu od jej środka, gdzie od lat dziesięciu, dopiero w skutek ogro-

mnego, jak tu utrzymują, umyślnie, za rozporządzeniem rządu podłożonego pożaru, spaliło się do tysiąca domów. Tu się zorganizowało kilka placów, kilkanaście ulic i paręset porządnych domów; jeszcze z wiorstę dalej, a napotykamy piękne domy z ogrodami. Przed furtą jednego stoimy i ja odprawiam mukra z jego dwoma końmi. Murzyn Derwisza-Mirzy miał przy sobie klucz od furty, — dostajemy się do ogrodu nieobszernego, lecz z wielkim porządkiem utrzymanego. Tu stał kiosk na dwa piętra wysoki, — było to mieszkanie kawalerskie dostojnego Derwisza, — jego salamlik i harem znajdował się w głównym o dwieście kroków oddalonym gmachu. Kiosk był wzniesiony z ładnych ciemnozielonych, glazurowanych cegieł, obok niego stajnia, kuchnia i mały zakład kąpielowy. Wszystko to tchnęło prostotą, lecz zarazem wygodą i jakim takim porządkiem. Dwóch młodych mulatów zjawiło się na tentent tamtama, i otrzymało rozkaz by się natychmiast zaprzęgli do otwierania ostryg, których cztery koszyki zostały Derwisz-Mirzie przysłane przez przyjaciela z Gallipoli, jako w pierwszym dniu otworzenia polowania na ostrygi. Mięczakom tym bowiem nawet w Turcyi pozwalają się rozmnażać swobodnie, podczas miesiąca Maja, Czerwca i Lipca. Ostrygi skał Dardańskich cieszą się pewną pochlebną reputacyą, której im zazdroszczą inne, zwłaszcza włoskie, prawie wzgardzone przez smakoszów. Nie są to wprawdzie jeszcze ostrygi burfletskie, angielskie ani ostendzkie, lecz mogą prawie wytrzymać porównanie z francuzkiemi z St. Malo lub Arcachon.

Sposób picia ostryg, utopionych w Szampanie, należy do najnowszych wynalazków gastronomicznych, i nie sprzeciwia się wcale, ani naturze ostrygi i wina, ani, też co ważniejsze, naturze żołądka ludzkiego, owszem, możemy zaręczyć co do skutku, jaki te substancye wywarły na usposobienie Derwisz-Mirzy, osłabionego owym wściekłym tańcem makaberskim, że to jest jedna z najsilniejszych i natychmiastowo działających komfortatyw, i nie powinno to zastanawiać, gdyż te mięczaki zawierają w sobie wiele fosforanu żelaza, wiele osmacenu i glutenu, natychmiast w krew przechodzącego, zwłaszcza

w kombinacyi z wzniecającym działalność żołądkową winem szampanskim. — Z resztą już i Lucullus poznał się na skuteczności ostryg skąpanych w winie Falernie, także cokolwiek mussującem z samej przyrody.

In vino ostreaque veritas: Derwisz-Mirza opowiedział mi życia swojego koleje. Jest on synem jednego z bardzo bogatych i dostojnych dygnitarzy korony ottomańskiej i chociaż ma dziewięciu braci i jeszcze więcej sióstr, wybornie się sprawujących, kochanym jest więcej od innych. On bowiem jest jedynym owocem jedynej kobiety, którą ojciec jego — ucywilizowany i przez Redszyda Baszę bardzo ceniony muzułmanin—prawdziwie z serca kochał. Była to modrooka, czarnowłosa normandka, kwiaciarka z powołania, która się raczyła z miłości i za 100,000 franków sprzedać rozkochanemu rodzicielowi jego w Paryżu, i która przez lat całe dziesięć była wprawdzie nie jedyną, lecz pierwszą z czterech prawnych żon ojca. Umarła, będąc jeszcze bardzo piękną, zaszczepiwszy w sercu syna miłość do wszystkiego, co tchnęło cywilizacyą francuzką, nadobną, dowcipną, lotną i— niegruntowną. Po śmierci matki, młody Amurad musiał się wziąść na gwałt do nauki języków perskiego i arabskiego, do studjum Alkoranu, i mając lat 19, przesłanym został, po złożeniu dość chlubnego rodzaju egzaminu dojrzałości, do Paryża razem z kilkoma innemi, między któremi znajdował się starszy o lat 3 od niego Izzedim, kształcić się w osobnym Kollegium na dyplomatę. Otrzymał tam w lat kilka jakąś posadkę przy poselstwie ottomańskiem, nauczywszy się wprzódy od najlepszych profesorów mówić, tańczyć i romansować dyplomatycznie, i praktyczny swój zawód rozpoczął nie od kwiaciarek i modniarek jak ojciec, ani też od religijnych emancypantek, jak Izzedim-Bey, lecz od żon bardzo wysoko stojących ludzi stanu, co mu ułatwiło drogę do zajęcia na czas niejaki miejsca w sercu, jednej z jaknajdostojniejszych dam Europy i świata. Szastał pieniędzmi, bo je miał, i przez czas długi; chętnie udzielał ich ojciec, niebawem też zaszedł w długi, pewnym będąc, że ojciec wszystko zapłaci. Przy tem kochał nie dyplomatycznie, lecz istotnie sio-

strę własnej swej matki, o 14 lat od niej młodszą, bardzo piękną i wcale dobrze wychowaną, dzięki środkom pieniężnym, przesyłanym przez matkę z Konstantynopola do Paryża; wydał ją nawet za mąż za wygodnego, towarami wschodu handlującego francuza.

Rozumie się, że o tych jego stosunkach familijnych francuzkich nikt nie wiedział, uchodził u tej najwyższej i najdostojniejszej damy za syna księżniczki Mingrelskiej.

Wypędzono mu najdostojniejszą z Francyi wtenczas, kiedy miał najwięcej długów, i kiedy mu nikt nic więcej pożyczyć nie chiał: jednym z jego największych i najniewygodniejszych wierzycieli, był właśnie ów wygodny mąż jego ciotki, nie dał mu wyjechać z Francyi, owszem, sprowadził jego ojca do Paryża, i teraz nastąpiły obrachunki dokładnej i brzęczącej złotem przyrody. Długów nic więcej, jak pół miliona franków: darmo, trzeba było zapłacić, — najmilszy, najwygodniejszy francuz, żeby nawet był wujem, ceni pieniądz, jak się ceni reprezentanta swego gieniusza i swej pracy,— ciotka, dbała o szczęście przyszłe dwojga miłych, pięknych, choć znacznie garbonosowych dzieci, tak się okazała sumienną, pod względem majątkowym, że jakoś żadnym sposobem nie zdołała zmiękczyć natarczywego męża, którego nazwisko nosili prześliczna Mariadyi Robichon i nadobny Azidim Robichon. Trzeba było likwidować ten półmilionik. Amurad był wówczas już Beyem, oficerem legii honorowej, kommandorem orderu Medżidii, ojciec, dbały o jego sławę, wykupił, lecz wywiózł ukochanego syna, i przywiozłszy go do Konstantynopola, kazał mu odbyć kwarantankę także w zamku siedmio-wieżowym, i nakłonił go powoli do wpisania się na trzy lata w poczet derwiszów tańcujących, których pierwszą powinnością było nie nosić przy sobie nigdy ani złamanego grosza, i tańczyć raz na tydzień na chwałę Boga ów taniec wirowy, który bardzo mało podobny do kontredansa i do radowy. Przytem ożenił go zaraz z dwoma żonami, które miały po cztery odaliszki, a z rozpaczy dostojny Derwisz ożenił się jeszcze z trzecią, na co także ojciec, znając syna, zezwolić musiał.

*

Otóż takim sposobem wprowadza się oświata zachodnia do Turcyi i takim mniej więcej sposobem, jak się i do nas wkradła; taka oświata kosztowna, nie wiele warta i korzyści nie przynosi ani krajowi, ani jej apostołom. Szczęście jeszcze, że ani Izzedim, ani Amurad nie stracili zdrowia i honoru i nie nabyli nałogu opilstwa w tym kulturtregierstwie, w tym światłonosicielstwie; lecz tkwi jeszcze w ich organizmie stalowa konstytucya praojców i wyszli z przeprawy obronną ręką.

— I takie kary nie są uważane za poniżające, przez wyższą publiczność tutejszą?—zapytałem?

— Bynajmniej - pozostało tu jeszcze wiele w życiu patryarchalnego: nieboszczyk sułtan Mahmud II kazał smugać prawie publicznie swych synów, kiedy już byli prawie dorosłemi - odpowie Amurad.

— Wie ojciec że pijesz wino?

— Nigdy mnie nie widział pijanym; jakoś widać zapomniał obarczyć mnie wstrzemięźliwością, z resztą bardzo rzadko uraczam się winem, nigdy inszem jak szampańskiem i zawsze pokryjomu, w dobrem towarzystwie i w nieobecności ojca, który w tej chwili jest w Therapii. Szampana dostarcza mi na kredyt francuz z Pery co tydzień kosz, co robi z pięćset butelek na rok. W Paryżu piłem tego na własną osobę trzy razy tyle.

— Zna się ojciec Izzedima z twoim?

— Znają się dobrze i nawet się odwiedzają, — ojciec Izzedima jest jednym z bankierów Porty.

— Pozostaję w dobrych stosunkach z ojcem Izzedima, i tak zrobię, że cię ojciec twój uwolni od tych zabójczych tańców.

— Jeśli to możesz zrobić, Doktorze, niby bez mojej wiedzy i insygnacyi, to ci będę wdzięcznym, ja zaś z mej strony żalić się nie będę na moje przykre położenie - rzecze Amurad.

— Powiem po prostu Izzedimowi, żem cię widział na moje własne oczy padającego pół umarłym w meczecie, żem cię trzeźwił, i że bezemnie byłbyś może i umarł, tak jak ich umiera tyle w skutek uderzenia krwi do mózgu. Nic nie powiem, żeśmy wypili

razem brevi manu cztery butelki szampana i dwanaście tuzinów ostryg. W taki sposób spodziewam się wyprowadzić cię, szanowny Beyu, z tego położenia prawdziwie krytycznego. Kiedy powróci twój ojciec?

— Już pojutrze, — a my kiedy się zobaczemy?

— Dopiero za dni trzy,—nie możesz mnie odwiedzić w Skutari? — We Wtorek jestem wolnym dzień cały, chybaby coś nadzwyczajnego zaszło, a pozostanę w Konstantynopolu jeszcze tylko dwa tygodnie.

* * *

Dni kilka spędziłem na zwiedzaniu szpitali konstantynopolskich, które właściwie, w godnem znaczeniu tego słowa, zaczęły dopiero istnieć od czasów krymskiej wojny, od czasu, jak je tu zaprowadzili francuzi dla swoich żołnierzy. Wprzódy, dopiero ze dwadzieścia kilka lat temu, szpitale służyły jedynie za scenę niechybnej śmierci dla wszystkich tych, którzy nie mogli gdzieindziej umrzeć, a nawet dla zgłodniałych, co nie zdołali gdzie indziej znaleźć przytułku i woleli skończyć życie intra muros, jak gdzieś na jednym z licznych, a nigdzie nie ogrodzonych cmentarzy. O zadaniu sobie samemu śmierci, żaden muzułmanin nie myśli, dla nich samobójstwo nigdy nie jest zapisanem w księdze wyroków, cierpieć umieją z pewnym stoicyzmem, o którym dzisiejszy Grek i Włoch żadnego nie mają wyobrażenia. Z resztą niskiego stanu Turek bardzo słabe pokłada zaufanie w siłę pomocy, jaką może otrzymać od sumiennie wykonywanej sztuki lekarskiej,—ulega on do dziś dnia zatwardziałemu przesądowi, że *kodża-kany*, to jest stara baba, *Krykczy*, nastawiacz koni, i *chaułudżi*, zażegnywacz, są jeszcze najmniej zawodzącemi lekarzami, tak zaś wierzą w Koran, że żołnierz, choćby najmniej draśnięty, stara się być szechytem, to jest męczennikiem za wiarę, któremu prorok obiecał i zapewnił wszelkie możliwe rozkosze, to jest bardzo częste konwersacye z huryskami w raju mahometańskim; umyślnie się zaniedbuje taki łotr fanatyk, żeby mógł umrzeć i iść romansować w niebie. Klassy nawet wykształceń-

sze wielką jeszcze przywiązują wagę do przesądów ludowych: wielu z tych oświeceńszych magnatów lubuje się w przesądach ludowych, jak gdyby one były dowodem jakiego poczciwego patryarchalnego usposobienia owego kochanego ludu, tak szczerze w alkoranie zamiłowanego.

Jednakże w skutek kontaktu Turków z Europą podczas wojny krymskiej, stworzyło się w Stambule jakieś stronnictwo postępowe, brzydzące się utrwaleniem nazwy *zacofanych na wieki barbarzyńców*, na jaką sobie Bisurmanie zasłużyli u najserdeczniejszych przyjaciół angielskich, francuzkich i włoskich. Zaczęto na dobre myśleć o czemściś, coby Turcyę zbliżało przynajmniej zewnętrznym kształtem, przynajmniej formą do Europy, i zaraz też z tego usposobienia korzystali Ormianie i Grecy, i wystąpili jako promotorowie do urządzenia służby lekarskiej w wojsku ottomańskiem. Lecz ci ludzie nie byli powodowani szczerem uczuciem niesienia rzeczywistej pomocy prawdzie, ludzkości i postępowi; graeca et armena fides, nulla fides! spostrzegli się i mało bystre Turki na bezczelnych, bezwstydnych kłamstwach tych fałszywych przyjaciół postępu, a porównywając je z usiłowaniami rzetelnemi lekarzy francuzkich i angielskich, nawet niektórych włoskich, odezwali się nareszcie z uwielbieniem o zadziwiających zdolnościach owych *frenków*, nazwanych kilka lat temu po prostu giaurami. Rada sułtańka nakazała nareszcie utworzyć w ministerium wojny departament służby zdrowia pod prezydentstwem Marko-Paszy, przybocznego lekarza Padiszacha, i ustanowiono z kilku znanych w Stambule lekarzy, a nawet aptekarzy, coś nakształt rady lekarskiej. Panowie ci zostali ozdobieni wysokiemi stopniami, świetnemi mundurami i wyborną pensyą. Ci panowie, od razu tak wywyższeni, chcieli zaraz na wstępie zaimponować rządowi doniosłością swoich czynności, i zwrócili główną swą uwagę na stan służby lekarskiej w prowincyach chrześciańskich Turcyi, zwłaszcza w Mołdawii i Wołoszczyznie, Bośnii i Herzegowiznie, których położenie geograficzne ułatwiło częstsze zetknięcie się z fachową wiedzą cudzoziemców i zastosowanie zdobyczy, osiągniętych w właściwej Europie

z nieustającego postępu nauki. Tym dobrym chęciom nie odpowiadała niestety mała zdolność panów rodziców.

Ustanowiono, by każdy batalion posiadał swego lekarza, któremu dano do pomocy chirurga i aptekarza do obsłużenia szpitala garnizonowego, jaki każdy batalion oddzielnie konsystujący, winien był posiadać. Udano się naprzód po tych lekarzy, tak poważnemi i trudnemi obowiązkami obarczonych, do szkoły lekarskiej, w stolicy pozostającej od zaczątku swego problematycznego istnienia w smutnem stanie bezładu i bezwładu: ta nie mogła dostarczyć kommissyi nawet połowy niezbędnie potrzebnych lekarzy; zwrócono się więc do wprowadzenia do służby zdrowia armii ottomańskiej żywiołu cudzoziemskiego, choćby nieobrzezanego później nawet, bo i tych zabrakło obrzezanych na sposób Mojżeszowy. — Pomieścili się jako lekarze batalionowi, w randze kapitana, z tytułem Effendego, z świecącym mundurem i nader dobrą płacą, ludzie z sankcyi naukowej zupełnie ogołoceni, i jako lekarze nawet niektórzy Ormianie i Grecy, którzy się wydoskonalili na nędznych aptekarzy w budach zaułkowych, zwanych tu aptekami. Nikt nie uwierzy, z jaką bezczelnością z jednej strony, z jaką niezdolnością z drugiej, sprowadzano podrabiane, fałszowane dyploma tych jegomości: że tu łapówka grała ważną rolę, to było aż zbyt widocznem, ci panowie radzcy, tak dobrze wyposażeni, nie odrzucali jej bynajmniej, i niejeden prosty pigularz, diatraleptyk i smarowiciel plastrów wyszedł tym sposobem we dni kilka na doktora-effendego, opasał się oficerską szpadą, przywdział szlify kapitańskie na haftowany złotem mundur i z dzielną miną połączył się z batalionem, którego żaden żołnierz mu niezaufał. Czuwanie nad porządkiem w służbie, łączność stosunków z zwierzchnikami, z lekarzami półkowemi i dywizyjnemi, lub też z podwładnemi chirurgami i aptekarzami, były dla nich rzeczą obojętną. Owszem, gdy który z pilniejszych, z sumienniejszych lekarzy posyłał zwierzchnikowi sprawozdanie o swych czynościach, tem się tylko stawał natrętnym i zyskiwał nieprzyjaźń władzy.

Pomiędzy niemi znaleźli się w istocie cudzoziemcy z dalekich stron północy, których smutny los zmusił do szukania przytułku pod skrzydłem gościnnego wschodu ; przypatrzywszy się z blizka działaniom lekarskim w dobrze uorganizowanych szpitalach warszawskich, starali się zaprowadzić podobny porządek w tych, któremi dyrygowali. Lecz tem się tylko narażali władzom niedbającym o nic, tylko o spokojne i niczem niezamącone używanie błogich darów ziemi i niezasłużonego pod żadnym względem odpoczynku. Kto ich z tego stanu bezczynności wystraszał, był uważanym za intryganta czychającego, chciwego dostać się na ich miejsce, wzbudzał zazdrość, nienawiść i nagromadzał nad swą głową burzę, kończącą się często zabójczym gromem. Najsumienniejszemi lekarzami wojska, byli jeszcze niewątpliwie cudzoziemcy z północy, którzy wstępując w służbę lekarską wojska, nie potrzebowali zmieniać religii; i to było godnem podziwu, że nasi lekarze byli jeszcze najlepszemi chrześcianami ze wszystkich, służących porcie cudzoziemców.

A jednak w wielu miejscach żalą się bigotki na niewiarę religijną lekarzy.

Rząd turecki pod przewodnictwem Reszyd-Baszy, szczerego przyjaciela postępu, zapragnął jednakże zużytkować korzystnie siły, kształcącej się w szkole lekarskiej stambulskiej, młodzieży i postanowił bogate stypendia dla uczniów pilniejszych, chcących szukać uzupełnienia swych wiadomości przy celniejszych wydziałach Europy. Rzucił się cały hufiec muzułmańskich synów Eskulapa na Wiedeń, Berlin, Londyn, mianowicie na uroczy Paryż. I co wywiózł z tych niezaprzeczenie hojnych skarbnic nauki? osłabienie zdrowia, wiary, charakteru i doświadczenie, zdobyte w towarzystwie bachantek, podobnych do hurysek pod względem wstydliwości, lecz nie pod względem cnoty. Pierwsze jednakże posady w służbie zdrowia armii zostały zajęte przez tych *wydoskonalonych* Eskulapów, powracających z pozornym zasobem wiedzy Europejskiej. I tenże sam systemat panuje tu bez przerwy do dziś dnia.

Niczem się nie przyczynił ten żywioł do polepszenia stanu zdrowia ani w wojsku, ani w cywilności: opieszałością i niesumiennością gorszą wszystkich uczciwych lekarzy, lecz owym pozornym polorem i manierami niby wykwintnemi, zachwycają pewien rodzaj dosojniejszych kadinek, które umieją ujść czujności eunuchów, łakomych na pieniądze. — Na nich spoczywa zadanie czuwania nad służbą zdrowia: wywiązują się z niego najniedbalej, zdobywają stopnie, dekoracye, pensye i gratyfikacye intrygą i pochlebstwem i wcale nie zachęcają innych sumienniejszych do wytrwałej pracy.

Jednym z tych uprzywilejowanych dzieci szczęścia jest Faradii-Basza, który w trzydziestym pierwszym roku życia zdobył już rangę generała, gwiazdę, wstęgę, kamienie, wioskę pod Tarapią, prześliczne konie wyścigowe, trzy żony, trzydzieści odaliszek, a któremuby Amurad-Bey, jak zaręcza, nie powierzył nawet leczenia włosów swoich, bo zawsze tylko widział go w Paryżu w towarzystwie chulaków i emancypantek przedostatniej klassy, płacących dyrektorom teatrów za występowanie w chórach.

Tenże sam Bey utrzymuje, że li tylko chrześcianie istotnie pracują, będąc w szkołach, i z tego powodu stoją na stopniu wyższym, co do nauki, od każdego choćby najpilniejszego muzułmanina. Z tych ostatnich, nie zna on ani jednego, coby swe imię wyższą wsławił zdolnością w medycynie i chirurgii.

Nie interesuje ich nauka lekarska, nazywają ją niepewną, konwencyonalną sztuką; gardzą mikroskopem, odczynnikami do badania moczu, termometrem, pulsometrem, ułatwiającemi badanie i rozpoznawanie chorób, — tak, gardzą nawet przyrządem Richardsona, sikaweczką Pravasa, opaską Esmarcha, inchalacyami, wszystkim, co w nowszych czasach zyskało niezaprzeczone prawo obywatelstwa w Terapii.

Z steloskopu i plessimetryi drwi i śmieje się do rozpuku każdy turecki lekarz, jako z najoczywistszej szarlataneryi: nie dziwię się temu, nie łatwo bowiem wyćwiczyć sobie ucho do rozpoznawania chorób: płuc, serca, wątroby i śledziony, i na to trzeba dobrego ucha, któ-

rem się Turcy nie cieszą, — tracą wcześnie słuch, zapewnie skutkiem nadużyć wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza metalu.

W szpitalach tureckich stolicy, także jeszcze nie zaprowadzono nic z ulepszeń hygienicznych, tak pożądanych, jak wentylacya górna i dolna, i czyszczenie powietrza dekompozycyą i desinfektacyą. Nie wierzą tu nawet w atmosferę sztuczną, balsamiczną, i często w szpitalach panują tyfus i gangrena. Hygiena nie może być pojętą w żadnym mieście, nieopatrzonym w kanały, jakiem jest Stambuł i jakiem jest niestety jeszcze i inne wielkie miasto w Europie. Lekarze zaś żyją w takich i podobnych grodach tylko z łaski zapowietrzenia i w skutek mnożenia się mieszkańców, ciągle mniej zdrowych. Dzięki lekarzom nieukom, cierpiący wpada w ciągle gorszy stan, z którego nareszcie wynika jakaś sroższa choroba, wymagająca zwołania całego kachału medycznego i zapowietrzenia całego domu, jeśli nie epidemią, to przynajmniej lekami, jako assafetydą i piżmem, bo bez nich lekarz stambulski nie umie leczyć nawet postrzału paznokciowego.

Co się dzieje w szpitalach stambulskich, to przechodzi wyobraźnię najbujniejszego poety: jeśli contraria contrariis niepomogą, to pomogą może *similia similibus*, a jeśli te niepomogą, to pomoże zapewnie jakieś empiryczne lekarstwo, jak naprzykład przyłożenie lina żywego do rozkiełznanego anewryzmem serca, albo też siekanka z żywych żab na zaropione egipskiem zapaleniem oczy, albo też rosół z starej sowy przeciw hysteryi starych panien.

Te widziałem użyte środki w szpitalu kobiet muzułmańskich przez lekarzy eunuchów, innych bowiem do wyśledzenia, do wymacania i leczenia chorób nie dopuszcza Alkoran. A kto wie, że tak zupełnie nieczuły człowiek, jakim jest eunuch turecki, nie dopnie rozumem dojrzałości, i kto jest przekonanym, że w dzisiejszym stanie nauki lekarskiej, lekarz powinienby raczej mieć cztery oczy niż dwa, i tyleż uszów, ten może wyobrazić sobie, w jaki sposób są leczone owe biedne istoty niewieście w szpitalach tureckich.

Bawiłem w tym nieprzykładnym zakładzie tylko z piętnaście minut, gdyż mi nie dano nawet przypatrzyć się żadnej rzeczy długo, a podczas tego krótkiego kwandransu, owi pseudolekarze zdołali zabić w moich oczach dwie chore: jedną młodą dziewczynę, która miała niepoznany przez tych jegomościów anewryzm serca i której dano na womity; serce jej pękło podczas wysileń womitowych. Druga, spora, piękna murzynka, ze 25 lat mająca, umarła na apopleksyę w zimnej kąpieli, do której ją gwałtem wsadzono, chcąc ją leczyć à la Prisznitz, czy à la Czerwiński, zimną wodą przeciwko chorobie płuc. Hydroterapia, ten rumak wojenny nowości, szukający chorych i lekarzy, zawitała i tutaj i niemało zabiera ofiar w Stambule, zwłaszcza w szpitalu niewiast, gdzie się uciekają do wszystkich możebnych środków, by tylko *lege artis* pozbyć się nędznych, opuszczonych istot, których nikt nie proteguje, o które nikt nie dba i które niemają z czego żyć. Hydroterapia jest na to stworzoną: zabije i nic nie kosztuje.

Nie wszystko jednakże jest nagany godnem w szpitalu muzułmańskim niewieścim Stambułu, gdzie tylko najbiedniejsze, najnędzniejsze, od wszystkich opuszczone istoty, szukają przytułku: tym nieszczęsnym istotom, jakoteż i dzieciom chorym, które mają osobny szpital, usługuje bractwo kobiet, sposobiące się na akuszerki, uorganizowane na sposób sióstr miłosierdzia, czyli raczej na sposób diakonessek protestantskich, gdyż im nie wolno bawić się w księży, wzywać chorych do modlitwy, do spełniania obrządków religijnych, do myślenia o skrusze, o śmierci, djable i piekle. Tu także rady sobie dać nie można było bez dopuszczenia chrześcianek do tego grona, dobrze urządzonego, pełniącego swe obowiązki z godnością, skrupulatnością, gorliwie i z poświęceniem, i wcale miło patrzeć na te osoby w krótkich, zielonych sukniach, długich, buchastych spodniach, lekko zakwefione jaszmakiem, w lekkich turbanach na głowie, pełniące swe obowiązki w milczeniu, jak westalki, jak *lacitae virgines*. To się Turkom udało: kto poznał z blizka siostry Ś-go Kajetana w Trieszcie, kto wie jak są srogiemi z różnowiercami,

jak go zanudzają ciągłem wzywaniem do wejścia w siebie, do nawrócenia się do wiary, jedynie zbawiającej, kto wie jak go straszą piekłem, jak go trapią zaniedbaniem, gdzie tylko mogą, ten Bogu dziękuje, że tym siostrom miłosierdzia tureckim, nakazano zachować milczenie, gdzie tylko mogą. Cóż okropniejszego jak kobieta, której wolno pełnić obowiązki na współduchowne, której wolno upominać i wzywać do modlitwy, do skruchy, do myślenia o mękach piekielnych? Taka kobieta bigotka, najczęściej robi piekło z ziemi, — ona poradza piekło!!

Miło mi chociaż w czem oddać sprawiedliwość Turkom.

Ależ ich rada lekarska! owe pasożyty żyjące sokami, jakie im hojnie dostarcza ministerium ottomańskie, są mało cenieni, nietylko przez publiczność, lecz i przez rząd, któremu tak niedbale służą. Riza-Pasza, znakomity mąż stanu i minister, znawca doskonały ludzi i klass różnych społeczeństwa, twierdził, że żeby rząd mianował owych lekarzy nawet generałami, i obsypał nagrodami, to jednakże niezdoła wzbudzić dla nich szacunku, ani pomiędzy wojskowemi, ani pomiędzy cywilnemi. Istotnie, dano tym panom nareszcie rangę generalską, przyodziano ich haftami i orderami, obsypano pieniędzmi, i jednak w niczem jeszcze nie zasłużyli na ogólne uznanie i na szacunek ze strony rządu.

Ktokolwiek wejdzie do obszernej, ozdobnej sali posiedzeń rady lekarskiej stambulskiej, zostanie uderzony widokiem jej szanownych członków, czeredy jaśnie-wielmożnych rozmaitego ustroju, kolorytu, wieku i wzrostu, rozpostartych w wygodnych fotelach à la franka. Jeden kręci papierosik, drugi go pali, trzeci ciągnie z warczeniem dym z nargilla, inny sobie wykłuwa zęby, jeszcze inny drzemie; są i tacy co piją kawę: wszyscy opowiadają sobie w tureckim jezyku, który i mnie się wydaje znakomicie łamanym, nowinki brukowe, z wyrazem twarzy ludzi, nigdy w życiu niczem ważnym niezatrudnionych Prezyduje im wiceprezydent, ów aptekarz, który nigdy nie był lekarzem, chyba chirurgiem, pełniącym obowiązki muszkietera

kolankowego, z fuzją cynową, tak dobrze wsławioną przez Moliera. Ten areopag Eskulapa, zasiada od południa do trzeciej, i to codziennie, wyjąwszy piątku, z powodu, że dzień ten powinien być święconym przez muzułmanów, z których dwóch należy do rady, wyjąwszy soboty, z powodu dwóch dostojnych przez barona Rotszylda własnoręcznie protegowanych żydów, i wyjąwszy niedziel, z powodu jedenastu chrześcian, niewięcej jak pięciu różnych wyznań, należących do rady. Więc pozostaje dwanaście godzin, nie pracy, lecz obecności, nie duchowej, lecz fizycznej na tydzień. Przytym dwa miesiące wakacyi na rok i tyle urlopów ile się zażąda; za te okropne prace, rząd płaci radzcy blizko 8,000 franków, to jest na dzisiejsze pieniądze przeszło 3,000 rubli srebrem na rok.

Sekretarz rady, urzędnik półkownikowskiej rangi, ułatwia tymczasem przy osobnym stoliku sprawy bieżące, sua sponte et arbitrio suo, ani się pytając o zdanie i wolę odpowiedzialnej rady. O medycynie z resztą najmniej rozmawiają ci panowie, — to temat nudny gadać o nauce, która właściwie nią nie jest, — więc gadają o—historyi naturalnej, o koniach i o kobietach, zwłaszcza o tych, które ambassadorowie wypisują dla pewnej najwyższej w Turcyi osoby z zagranicy, o jej przyjaznych, politycznych stosunkach. Mówią dalibóg o owych trzech siostrach, z których jedna w mej przytomności runęła z koniem w piasek dni temu kilka na wyścigach.

Więc mnie przeczucia moje nie myliły, te trzy siostry były istotnie sprowadzone przez jednego dyplomatę dla wzmocnienia stosunków politycznych z „cieniem Boga“, jak go tu nazywają wierni muzułmanie, i miały stać się dla tego cienia—parkami.

W tej wizycie do rady lekarskiej, towarzyszył mi dla załatwienia interesu Izzedim-Bey, znany dobrze w całym Stambule i poważany, pomimo, że wszyscy dobrze wiedzieli, przez jakie przechodził koleje, wesołe i smutne.—Sekretarz skłonił się Beyowi nisko od serca, buzi, głowy, aż do ziemi i spytał czym mu służyć może.

— Mam zaszczyt przedstawić prześwietnej radzie lekarskiej Wysokiej Porty przyjaciela mojego i dobroczyńcę Doktora medycyny i chirurgii T. T. rodem z miasta K., mieszkańca miasta W..., udającego się do Jerozolimy, by tam przezimować w tym łagodnym klimacie, gdyż cierpi na piersi. Życzy sobie uzyskać tu od Panów pozwolenie wykonywania medycyny w Jerozolimie i wszędzie w państwie Jego Cesarskiej Mości Ottomańskiej, gdyż mu ofiaruję posadę Dyrektora szpitala Izraelskiego, założonego przez panów baronów Rotszylda i Montefiore. Jest Doktorem mianowanym trzech fakultetów: oto dowody, dyplomy, paszporta, list dotychczasowego Dyrektora owego szpitala D-ra Meyera, urodzonego w tymże samym mieście co i obecny Doktór. A że wyjeżdżać chce za dni kilka, więc prosi najuniżeniej o załatwienie sprawy natychmiast: koszta całego interesu ja ponoszę z wdzięczności za zyskane od przyjaciela mojego dobrodziejstwa.

To oświadczenie zwrócone do sekretarza i do całej rady, sprawiło pewne wrażenie: ocknęli się śpiący, palący cygara z ust wyjęli, charkać zaprzestało dwóch szczególniej radzców, jeden z garbonosem trąbowym, drugi z ustami, których kąty ciągle były w górę ściągnięte. Jeden z tych panów był doktor Leberfurs, izraelita niemiecki, drugi doktór Nataniel de Pereira, szlachetny izraelita portugalski.

— No? a jakiej religii ten pan Doktór?—spytali Leberfurs i Pereira jednogłośnie jak jeden człowiek.

Opowiedziałem jak całkowity człowiek:

— Christianus primitivus sum et nihil aliud a christiana natura in me puto.

Ani jeden z tych dostojnych lekarzy nie umiał po łacinie, i ani jeden z nich mnie nie zrozumiał.

— Żaden z nas nie rozumie po polsku — spodziewam się, — niech pan raczy wysłowić się jakimś dla nas zrozumiałym językiem—powie wice-prezes tej uczonej czeredy.

— Miałem zaszczyt powiedzieć Panom po łacinie, że jestem arcy-chrześcianinem, i że nie mam *w przyrodzie* mojej nic innego, prócz chrześciaństwa.

— A tak—a tak, teraz rozumiem, tylko pan jakoś inaczej przemawia po łacinie--rzecze aptekarz wiceprezydent i doda: anche' io sono sum christianus — christianissimus, tak—tak – więc bardzo dobrze. Niech nam pan powierzy swoje dokumenta i raczy wrócić do nas jutro, nie jutro, bo jutro święto ottomańskie, więc po jutrze,— nie, to święto izraelskie, więc po pojutrze — nie, to Niedziela, więc w Poniedziałek--tak w Poniedziałek, lepiej nazajutrz, to jest we Wtorek—a my tym czasem rozsądzimy.

— Hola!—krzyknie Izzedim-Bey, – Doktór płynie już w Poniedziałek do Smyrny parowcem francuzkim, raczcie Panowie jeszcze dzisiaj osądzić tę sprawę,— mój teść i szwagier Bałwan-Basza o to prosi – najuniżeniej. Tu wszystko w porządku. Jeśli potrzeba będzie poddać się egzaminowi jakiemu, to tu obecny Doktór gotów stante pede złożyć go natychmiast: ja płacę koszta egzaminu i hatli-szeryfu, to jest pozwolenia praktykowania natychmiastowego.

Spojrzeli na się pomiędzy sobą i zezwolili na załatwienie rzeczy natychmiast, i kazali nam podać dwa krzesła, na które usiedliśmy alla frama, tak, jak siadają ludzie, a nie turcy.

Sprawdzali dokumenta i znaleźli je arcy-dobremi, lubo ich zapewnie nie zrozumieli, bo w kilkunastu językach były spisane; potem raczyli mnie egzaminować *in colloquio* jeden po drugim: był to egzamen nakształt tego, który opisuje Molière: „quare openim facit dormire“.

— Quia est in eo virtus dormitiva.

— Quidne rei est febris intermittens? — morbus periodicus sanandus cortice peruviano. Nareszcie krzyknęli: „bene bene respondere!—i wygotowali mi hatli-szerif pierwszej klassy na pargaminie, złotemi literami spisany, z imieniem i nazwiskiem etc. kazali sobie zapłacić 125 franków, które natychmiast Izzedim-Bey złożył. Byłem tedy w porządku i wyszedłem zrobiwszy salemaliki, to jest ukłony.

* * *

Takim sposobem przeszły najdokuczliwsze upały i dojrzały prawie wszystkie owoce, nawet niektóre wczesne winogorona w rodzaju bezpestkowych koryntskich, tylko do jedzenia przeznaczonych, których w ogrodach Bałwan-Baszy było podostatkiem.

Wszystkie moje posłannictwa w Stambule były ukończone, to jest chorzy, których wyzdrowienie przyobiecałem i zacząłem, wyleczeni, moje tłómaczenia skończone, nauka tureckiego języka do tego stopnia posunięta, żem już z łatwością zdołał go zrozumieć i nim przemawiać także. Język osmańsko-turecki, którym się tu przemawia, jest nieskończenie miększy i melodyjniejszy od języka wschodnio-tureckiego, czyli szagatajskiego, którym się przemawia na wschodzie. Zapas wyrazów właściwie tureckich, jest bardzo szczupły; dla wyższej dykcyi Turcy muszą się uciekać po wyrazy do języka arabskiego, które sobie przyswajają z nieograniczoną wolnością, co jest bardzo szkodliwem dla czystości języka. Zenbrera słownik francuzko-turecki (Lipsk 1863) jest dotychczas najlepszym. Umiejętnej grammatyki Turcy jeszcze do dziś dnia nie mają i zapewnie nie będą mieli czasu i sposobności do ułożenia jej, bo Turcya jest bardzo chorym człowiekiem i więcej myśli o swej skórze, jak o grammatykach.

Pod wpływem unifikacyi Włoch i Niemiec, która się stała tak szybko, wynurzyła się i w Turcyi idea jedności mahometańskiej, to jest, poddanie Islamizmu pod berło Turcyi. Jest to na szczęście chrześcian zbyt olbrzymią utopią: Egypt jużby się rad wyłamać z pod opieki Turcyi, Persya zaś pojmuje zupełnie inaczej mahometanizm i nie poświęci i cząsteczki swej autonomii dla interesów tak w Europie niepotrzebnej, w Azyi zaś pożądanej Turcyi.

Ludy chrześciańskie, owładnięte przez Turcyę, występują tak jawnie i tak śmiało ze swoją nienawiścią do panowania osmańskiego, że już wątpić nie-

można o twardości ucisku barbarzyńskiego berła ottomańskiego. Bezwstydne zdzierstwa urzędników tureckich wywołały ostatnie rozpaczliwe powstanie w Herzegowinie, z którą połączyła się także jednoplemienna Bośnia. Cały prawie świat zadrgał sprawiedliwą sympatyą dla biednej, srodze uciśnionej krainy, lecz, ani kupiecka Anglia, ani też chorowitych uczuć ultramontanizm, nie ujęli się tym razem za ludzkością.

Do jakiego stopnia może dojść zaślepienie teoretyków i zwolenników dawnych przesądów!

* * *

Moje misye były tedy skończone w Konstantynopolu, w którym przebywałem przez półtrzecia miesiąca, a w którym właściwie ani jednej chwili nie przespałem, gdyż łóżko moje było zawsze w Skutari. Jeśli mi się zdarzyło przepędzić noc w Stambule u Amurad-Beya, lub w Pera u którego z dawnych ziomków, tom się ambulante pede gdzieś w ogrodzie lub na cmętarzu doczekał wschodu słońca wstępującego na Burgurlo, potem kaikiem spiczastym wraz z jutrzenką do miłej Azyi, gdzie mnie oczekiwali przyjaciele z tęsknotą. Tylko tu w Azyi, w kolebce Chrystusa, zagajały się rany, zadane sercu mojemu w Europie, dla której od dzieciństwa tyle pracowałem i cierpiałem, w Europie zawsze się odnawiały na widok ludzi, którzy się Boga i rozumu wyrzekli dla koślawo pojętej idei politycznej.

Za wstawieniem się Bałwan-Baszy, z pomocą Hassan-Effendyego, ojca Izzedim-Beya, i w skutek własnych mych usiłowań, Amurad-Bey przestał być Derwisz-Mirzą, nie wirował już w meczecie, na chwałę Ałłaha, i przestał być ubogim, któremu niewolno było mieć grosza przy duszy. Ale mi też musiał dać słowo honoru, że się nie będzie już przekomarzał ze swemi żonami, bardzo miłemi, Bogu duszę winnemi istotkami, i że przestanie karmić się tak obficie ostrygami, utopionemi w szampanie. Jest to pokarm zbyt wzniecający nawet dla tego, co ma trzy żony i dwanaście odaliszek.

Zezwolił także na zaszczepienie ospy swym dzieciom i na zaprowadzenie w haremie pewnych urządzeń hygienicznych, i spodziewam się, że mu mniej dzieci będzie umierać, a mianowicie oczy tracić. Zdołałem przekonać owe kadiny o skuteczności zasad hygienicznych, przyjętych w Europie oświeconej, i dały mi także słowo, że od nich nie odstąpią, i że zdrowia, życia tak ładnych stworzeń, jak są w istocie dzieci tureckie, nie powierzą więcej zażegnywaczom, czarownicom i owym eunuchom medycyny, którzy nigdy ojcami być nie mogą, a zatem także kochać dzieci, znać się gruntownie na ich cierpieniach, ani na środkach kojących je nie potrafią. Przyjęto tu za lekarza sumiennego lekarza D-ra Wein.... urodzonego we Lwowie, który uczył się wybornie medycyny w Pizie i tamże uzyskał dyplom doktorski, potwierdzony później jeszcze w Neapolu.

Nie chciałem wyjechać do Palestyny bez wzięcia z sobą na przezimowanie jedynej chorej, której nie mogłem wyleczyć zupełnie, która kaszlała jeszcze, chociaż krwią już nie pluła. Zima w Skutari nie jest łagodną i mogłaby zgubnie wpłynąć na organizm już się rozwijającej, lecz jeszcze nie rozwiniętej, czarnej, tak dobrej i tak szczerze do mnie przywiązanej dziewicy. Izzedim-Bey sam pojął, że czuwać nad jej zdrowiem powinien bezprzestannie lekarz już jej znany, już z temperamentem obeznany, i posiadający jej zaufanie, pojął, że łatwiej tego dokonać w kraju cieszącym się tak łagodnym klimatem, jak Palestyna. Odstąpił mi ją na wpółdarmo, za cenę wykonanych dla niego prac literackich, a ja, zostawszy właścicielem bliźniego mojego, wierny zasadom chrześciańskim, natychmiast solennie w obec wszystkich wolnych i niewolnych ludzi obdarzyłem ją bezwarunkową wolnością i sporym, tłustym barankiem, który przez nią został poświęconym na wyprawienie uczty oswobodzenia siostrom, braciom, dawnym koleżankom i znajomym. Naturalnie, żem do tego dołączył trzydzieści funtów ryżu, z pięć funtów masła, odpowiedzialną ilość jaj, pomidorów i ile potrzeba było oliwy, czosnku, kawy, herbaty i wszystkiego, co wypadało dać na ucztę.

Nazajutrz po oswobodzeniu, Azzima wstąpiła w moją służbę jako kucharka i dostała odemnie służbową książeczkę, paszport, inne potrzebne świadectwa i pierwszą parę trzewików, pierwszy jaszmak, pierwszy płaszcz i inne ubiory, które tylko sługom dobrego domu nosić wolno, przytem kufer na klucz zamykany i wszelkie sprzęty do szycia, prasowania potrzebne. Uszczęśliwiłem dobre dziecko, które chętnie się zgodziło puścić się zemną w daleką podróż.

I tem się skończył pobyt mój w Skutari i gościnnym domu tych dobrych, oświeceńszych i więcej ludzkich Turków. Azzima płakała rzewnie, rozstając się z miejscem, w którem się rodziła, lecz przecież wróci do niego za jakie sześć lub siedem miesięcy.

I ja także z zroszonem okiem rozstałem się z tem uroczem miejscem i z ludźmi, pomiędzy któremi znalazłem ulgę na tak ciężkie cierpienia, przytem zatrudnienie, pracę, zarobek i chorą murzynkę.

---

*

ROZDZIAŁ II.

Z Konstantynopola do Jerozolimy.

Na „Syrie“, na jednym z najokazalszych parostatków Messażeryi morskich francuzkich popłynąłem dalej; żaden z największych statków liniowych nie przedstawia rozleglejszego rozmiaru na pomoście, lecz ten naturalnie dwa razy jest głębszym, bo większe dźwiga ciężary. Wszystko jest na najmożliwszą wygodę obliczone, wszystkim rozmiarom dogadza. Niezupełnie obcym się tu znajduję: lekarz statku Dr. Szostak.... jest moim bardzo dawnym znajomym i kolegą uniwersyteckim. Już od lat dwudziestu pędzi życie lekarza, zawsze podróżującego po wszystkich częściach świata: mógłby wiele opowiadać, gdyby się był przyzwyczaił do zachowania w pamięci wrażeń w przeszłości otrzymanych,— lecz na to w jego głowie, dziwnie szczupłej, nie ma miejsca; całkiem oddany teraźniejszości i powinnościom swoim cywilnym, żyje od chwili do chwili i podrąża przeszłość w Lethę; w dziurce od guzika nosi wstążeczkę orderu Ś-go Ferdynanda i to mu przypomina niewyraźnie kiedy niekiedy, że był w Hiszpanii i że tam podobno walczył z jakąś młodziutką królową...

Już od dawna pozyskał prawa obywatelstwa francuzkiego, był kiedyś żonatym, niepamięta podczas ilu lat, z francuzką, która mu umarła kiedyś, cztery czy siedem lat temu, miał z nią kilkoro dzieci, półżywych,

półumarłych, podobno jednakże jedno z nich żyje jeszcze u siostry nieboszczki żony, która najniezawodniej gdzieś żyje, podobno w Rochefort, może nawet w Brest. Mniejsza o to. Cóż po tem życiu?

W ciągłej monotonności od zwrotnika do zwrotnika, od bieguna do bieguna, od części świata do części świata, od jednego morza do drugiego, od jednego Oceanu do drugiego, zawsze to samo, zawsze wieczne nieubłagane nudy, ucierać się raz z febrą żółtą, raz z cholerą, z womitami czarnemi, tu z dysenteryą, tam— tożsamość zabija najcierpliwszego człowieka, a jakiż z tego zysk? otoż stępienie na wszystkie wrażenia.

Tak się użalał ten biedny, pod każdym względem nieciekawy ziomek i kolega, na jednostajność, ciągle się od lat dwudziestu trzech zmieniających, najpyszniejszych scen świata! Czy też ktokolwiek bądź z czytających słyszał o nieciekawym człowieku? Nudzi go, zanudziła go już od dawna na śmierć, ciągła zmiana klimatów, krajów, wegetacyi, języka, barwy ciała i duszy ludzi, znudziła go hemisfera północna i południowa, wschodnia i zachodnia, znudziły go ciągłe nowe gwiazdy i konstelacye, nękały go teatra, poezya i muzyka, a przedewszystkiem znudziły go kobiety białe i czarne, czerwonawe i oliwne, ubrane w drogie jedwabie i koronki i ubrane in naturalibus w paciorkach na szyi i korkach w uszach, znudziły go i żona i córka, o której z resztą z zupełną pewnością nie wie czy nie jest synem.

Ale—opuścił kraj mając lat dziewiętnaście, — tęsknota straszliwa go ogarnęła, zwalczył ją w szpitalu obłąkanych w Montpellier, dzięki staraniom świetnych lekarzy i ludzkich kolegów,—uczył się potem medycyny, dzięki wysileniom własnym i pobłażliwości profesorów, został doktorem, praktykował, lekarzem będąc wojskowym w Hiszpanii, potem we Francyi, ożenił się, owdowiał, obrzydził sobie ziemię, poszedł na morze i— nic go zająć nie zdołało serdecznie, bo serce w nim obumarło od dawna z tęsknoty.

Takiego człowieka uważam za eunucha pod względem psychicznym i intellektualnym, za gorszego od tureckich eunuchów; lecz z początkowej już zupełnie

wyleczony choroby, przestał tęsknić do rodzinnego kraju —ani mu on na myśl nie przyjdzie, z resztą niewie z pewnością, czy ten kraj jeszcze istnieje, czy się nie zapadła w nim ziemia w odtchłań niezmierzoną; zemną niechce mówić inaczej, jak po francuzku, a mówi takim językiem, jak w południowej Francyi wychowany Polak,—cokolwiek lepiej od krowy hiszpańskiej!

Takie się to wyrobiły indywidualności podczas długiej nieobecności umysłu i serca w kraju! wolałbym był tysiąc razy zginąć, niż takiego przedstawiać rodaka egzemplarz. Lecz to zapewnie jedyny w tym rodzaju.

Pomimo szorstkości niezn ośnego charakteru, nie postradał jednakże całkowicie dobroci serca, wrodzonej jego narodowi i której się pozbyć trudno, nawet chcącemu się tego daru wyrzec. Poznawszy mnie na statku i widząc jaką otaczam troskliwością moje murzynki, spytał mnie, kto jest owo *zwierzę* i jakim sposobem doń przyszedłem.

Powiedziałem mu wszystko, — nie miałem nic do tajenia: złapał się za głowę i wykrzyknął:

— Nie miał Doktór kłopotu i kupił sobie suchotnicę, przecież niesie przysłowie, że i polak mądry po szkodzie, a tu widzę jednego, którego i sto szkód nie poprawi.

Odpowiedziałem mu:

— Wszystkie poniosę ofiary dla wykazania, że można, wziąwszy się wcześniej do dzieła, wyleczyć młodą suchotnicę z tuberkułów,—i dodałem: — A jeśli mi umrze mimo wszelkich starań, to umrze zdaje mi się dobrą chrześcianką, uzyskam piękną duszę dla Nieba.

— Lekarz wierzący w wiecznobyt duszy! a to coś ciekawego! aleć to prawda, mieszkałeś długi czas w Londynie i tam zapewnie pomiędzy pietystami, nauczyłeś się hipokryzyi, dzisiaj tak modnej.

— Cóż mógłbym zyskać tą hipokryzyą? nikt mnie tu nieznа, robię to wszystko dla przyjemności własnej duszy mojej,— przecież wiesz, że w biegu za popędem serca mojego, zapomniałem nieraz własnego interesu, przecież wiesz, ile mnie kosztowała w Mont-

pellier ta hiszpanka, którą później wydałem za organistę; – wszyscy wątpiliście o mojej bezinteresowności, aż was później organista, hugonota prawdomowny, zapewnił o szczerości słów moich.

— To jednak prawda, byłeś sobie zawsze zupełnie innym od wszystkich, zagadkowym człowiekiem,— rzecze Dr. Szost... przywołał gospodynię usługującą w kajutach damskich i surowo jej nakazał czuwać nad zdrowiem i nad wygodami mojej młodej murzynki, otoczyć ją kazał wszelkiemi względami, należnemi chorej, pod jego szczególną opieką pozostawionej osobie.

Istotnie był dla niej podczas całej podróży bardzo względnym, kazał jej podawać potrawy pierwszoklassowe, lubo ją umieściłem w trzeciorzędnej klassie razem z innemi bonami i subretkami, które usługiwały dość licznie podróżującym damom.

Lubił być obecnym, gdym jej czytał coś ze starej tureckiej książki i gdym ją nauczał alfabetu liter łacińskich, któremi można oddać wszystkie syllaby i słowa tureckie, z wyjątkiem litery *I* i francuzkiego *u*; tu już posiłkować się musiałem polszczyzną i francuzkiem narzeczem.

Tymczasem, przy zupełnie spokojnym wietrze, przenoszą nas śruby i koła przez urocze morze Marmora, przez starożytny Propontis, morze najmniejsze między Europą i Azyą, lecz z wszystkich małych mórz najpiękniejsze.

Kąpie się w nim sześć czy siedem wysepek tak ładnych, że ich tylko z wyspą Isola Bella, jedną z Borromeuszek, leżącą na Lago Maggiore, pomiędzy Italią i Szwajcaryą, porównać można. Największa z nich, zwana Marmora, liczy jednakże przeszło cztery tysiące mieszkańców i ma swoje stołeczne miasto, którego wieże i minarety wyzierają przez wysokie cyprysy. Atmosfera napojona wonią kwiatów, nas dochodzącą; i głos muezzina dochodzi także, a liczne ptastwo gaworzy.

I tu także inżynierowie francuzcy i angielscy stawiają fortece, — wszystko dowodzi, że mocarstwa zachodu czuwają nad całością wschodu europejskiego.

A teraz wkraczamy w sławną, dwa razy dłuższą od Bosforu cieśninę Dardanelską. Z daleka na prawo widzimy minarety portu Gallipolis. Silne zamki strzegą tego klucza Stambułu z jednej i z drugiej strony, wyzierają z nich owe stotysięcznofuntowe pistoleciki pana Kruppa, którym strasznie niebezpiecznie zazierać w niegrzeczne duże oczy. Cieśnina zwęża się ciągle, staje się ciągle więcej groźną: Sułtani-Hissar na lewo, Kilid-Baar na prawo, — dalej jeszcze hissary, reduty, bastyony, tu na wysokich, skalistych, owdzie na nizkich, zielonych brzegach: czujność panuje wszędzie; mnóstwo statków wizytowych, napełnionych strażnikami i wojskiem krąży, bada, czuwa, pilnuje, szpieguje.

Anglia patrzy się także niby z kupieckich okrętów, ale ręczę że są pistoleciki Kruppa w ich wnętrzu. Ciągle jeszcze stawiają nowe warownie na brzegach, i sądują głębię, zapewnie dla zakładania torpillów. O tem zdaje się zapominają, że do Konstantynopola można dojść lądem, lub też nie wierzą, że tacy się znajdą junacy, co się odważą na podobne przedsięwzięcie.

Już się rozprzestrzenia cieśnina, wpływamy na morze Egeyskie i noc zapada. Tu na tych wodach, dwa razy Wenecyanie ciężkie zadali ciosy Turkom: blizko czterysta lat temu, i drugi raz w 1657 roku. Sławny Otello, murzyn Wenecki, zazdrośny mąż Dezdemony, walczył w pierwszej z tych bitew przeciw muzułmanom na czele hufców dalmackich: Sławianie dowodzeni przez murzyna, dokazali cudów waleczności. Kto się nie posługiwał krwią Sławian, dziś tak rozdzielonych?

Egeya, sławna królowa amazonek, walcząca na czele swych żeńskich hufców, na lądzie i morzu, miała nadać nazwę tym wodom, które dziś zowią się Archipelagiem greckim i mieszczą w sobie gruppę kilkunastu mniejszych i większych wysp, rozpostartych na znaczniejszej przestrzeni morza.

Za kilka godzin, skoro wejdzie słońce, znajdziemy się otoczeni wyspami, których nazwiska przypomną nam to, czegośmy się nauczyli w młodości z mytologii i starożytności, lecz godzin kilka pozostać

musiemy w spokojności po tych wrażeniach, doznanych w ciągu dnia.

Pierwszą wyspą Archipelagu, którąśmy ze wschodzącem światłem słońca zoczyli, była Tenedos, ochrzcona przez Turków niewiem czemu ślicznem nazwiskiem Bogdża; jest ona bardzo urodzajną, wydaje sławne wina muszkatelowe i inne największej ceny owoce. Niegdyś była sławną z wężów: owe dwa węże, które udusiły sprośnego kapłana Diany, Laokona i jego dwóch synów, przyszły z wyspy Tenedos. Srogo się zemściła Diana na swym kapłanie za znieważenie jej przybytku, lecz czemu wywierać złość i na jego synach? Była to zemsta starej panny, która przecież jak utrzymują, nie umiała się oprzeć ciekawości, wrodzonej kobiecie, gdy ujrzała śpiącego Endymiona, także na wyspie Tenedos zrodzonego i tu miało się odbyć to pierwsze zejście się.

Miasto stołeczne Tenedos liczy do 3,000 mieszkańców. Tu się znajduje najlepsza żywica Elemi, słynna w medycynie ze swych ożywiających własności: jest tak aromatyczną, że z niej się przez dystylacyę otrzymuje sławny alkohol, zupełnie bezkolorowy i przezroczysty, który, zmięszany z wodą, staje się białym jak mleko i pije się jak anizetka. Jest i ów sławny mastyks, którego nie łatwo dostać nawet za drogie pieniądze, wszystkie bowiem produkta tej cudnej, słynnej z urodzajów wyspy, należą do dworu sułtańskiego. Elemi Ameryki południowej wprowadzanym jest aż do Konstantynopola dla zastąpienia tenedyjskiego, a Turcy, którym wzbronione napoje wyskokowe, piją jednakże mastyx żywiczny, nie wiedząc, że się wyrabia przez fermentacyę i dystyllacyę; niektórzy nadużywają tego trunku, który pociąga za sobą osłabienie, nakoniec sparaliżowanie żołądka, tak jak absynt, anizetka i wermut, słowem wszystkie wzniecające apetyt substancye.

Drugą wyspą Archipelagu, którąśmy ominęli na prawo, jest Lesbos, przez Turków nazwana Melelin, to starodawna Mitilena, niegdyś tak bogata, świetna i waleczna, że, pragnąc utrzymać się przy swej niezależności, śmiała się oprzeć zaborczemu orężowi Rzymian, okrutnemu Sylli. Kazał ją zburzyć, z ziemią zrównać,

mieszkańców męzkich w pień wyciąć, kobiety w niewolę zaprzedać. Ruiny pod miastem Castro wskazują miejsce, gdzie niegdyś leżała, wolność swą tak ceniąca Mitylena. Zginęli Mityleńczycy, lecz Sylla, którego świat, zdumiały jego junactwem i powodzeniami, nazwał semper felix, nie dowiódł tego śmiercią, gdyż go, według Plutarcha, zjadły najobrzydliwsze owady. Dlatego przysłowie łacińskie: „audaces fortuna juvat“, tłómaczy się na polskie: śmiałków w... gryzą. Kilku sławnych historycznych okrutników podobną śmiercią umarło, pomiędzy niemi Ferdynand II, król Neapolu.

Pomiędzy innemi wyspami Archipelagu, Metelin i Chios, a stałym lądem Azyi mniejszej, ciągnie się długi, szeroki kanał, który później głęboką, długą zatoką wkracza w ląd stały od wschodu do zachodu; w krańcu tej zatoki, w cudnej roślinnością i przypadkowościami malowniczemi okolicy, pnie się w górę wspaniałe miasto Smyrna, dziś do 160,000 liczące, słynne na świat cały handlem i przemysłem, od lat dwóch tysięcy ognisko handlu azjatyckiego. Najlepsze w świecie figi tutaj rosną i przesyłają się do wszystkich stolic Europy i Ameryki; kto w nich raz zasmakował, temu i portugalskie zdają się mniej smaczne. Tu pierwsza stanęła kolej żelazna Azyi, w r. 1858 do Aidina, i tu rezydencya trzech arcybiskupów, katolickiego, greckiego i ormiańskiego.

W przedsionku klasztoru kapucynów odpoczywa tu, po burzliwem życiu, snem wiecznym dwóch moich znajomych: Jenerał Pac i malarz Boulanger, bardzo wsławiony we Francyi. Generał Pac, znakomicie bogaty i szlachetny magnat w Warszawie, wystawił pałac, o którym mówiono: „że wart pałac Paca i Pac pałaca“; wywodzi on ród swój od jednej z najznakomitszych rodzin rzeczypospolitej florentyńskiej, głośnej ze spisku przeciw Medyceuszom, którzy bezprawnie zagarnęli władzę monarchiczną i dzierżyli ją jednakże tak świetnie przez lat 160. Wszyscy Pazzi padli ofiarą nieubłaganej surowości Lorenza, jedni zostali śmiercią skarani, inni zdołali ratować się ucieczką. Jeden z tych przybył do Polski w końcu XV-go wieku, i tu zyskał indygenat polski. Tenże przywiózł z sobą sekretarza

Torelli, który, wiernie tłómacząc swe nazwisko, nazwał się w Polsce Ciołkiem. Jego syn kupił Poniatów, zyskał szlachectwo polskie; jeden z ostatnich potomków tego ciołka nosił koronę dawnej Polski, wiemy z jaką chwałą. Ostatni zginął z wiekopomną, mitologiczną wszechświatową chwałą d. 18 Pazdzier. 1813-go r. pod Lipskiem.

Jakim prawem pewien, niegdyś bogaty, dziś zrujnowany, obywatel, meloman i kompozytor we Florencyi nosi tytuł księcia Poniatowskiego? Także pewnym niby prawnem prawem. Nazywał on się wprzódy Torelli i był potomkiem brata owego Ciołka, przybyłego z signorem Pazzi do Polski. Po śmierci księcia Józefa tytuł książęcy zawakował, a pan Torelli, wówczas młodziutki, odziedziczył wielki majątek po swej matce, sławnej lichwiarce rzymskiej, co umiała robić pieniądze na sposób, który zapewnie będzie nazwany później antonelskim, uświęconym bowiem został przez osobę, stojącą, że tak powiem, po nad prawem wysokością swego urzędu.

Pieniędzmi wiele można było wskórać w Toskanii, o tem wiedzą wszyscy. Dość, że pan Torelli, dowiódłszy, że jest potomkiem brata Torellego—Ciołka, został przez W-go księcia Toskanii uznany za księcia Poniatowskiego. Stało się to uksiążęcenie wirtuoza muzycznego, nie tylko za pomocą pieniędzy, lecz także za wstawieniem się księżny Matyldy, lecz nie posłużyło do szczęścia księciu, ten bowiem, upojony tytułem, chwałą artystyczną, zyskaną w salonach, wbijany w ambicyę przez podchlebców, lubiących tańce i dobre obiady, zaczął szastać pieniędzmi, zdobytemi jak wiemy i w sposób nam wiadomy przez matusię, i przeszastał je wszystkie, tak, że dziś jego tytuł książęcy przyczynia się tylko do—robienia go śmiesznym.

Niech się pociesza sentencyą: „du sublime au ridicule il n'y a qu'un seul pas“ i niech mu będzie tytuł lekkim na resztę, już podeszłego życia.

Ciekawym na kogo spadnie mitra i nazwisko, synów bowiem nie ma, może sprzeda jedno i drugie za życia jeszcze jakiemu amatorowi heraldyki chodzącej, jakiemu ciołkowi.

Niedaleko od Smyrny, ale zawsze o ośm mil geograficznych, na brzegach zasypanej od wieków piaskiem zatoki, która niegdyś była wygodną przystanią, leży uboga wiosczyna, zwana Aiasłuk. Wyżej, nad nią sterczy, pomiędzy ogromem gruzów, wysoki, marmurowy, na pół przełamany słup, u spodu uszkodzony, wyżej obrobiony w karby. Jest to wszystko, co pozostało po starożytnym Efezie, po mieście, które w czasach rzymskich uważanem było za główne miasto Azyi mniejszej. Ów słup, jest to jedyna pamiątka po wspaniałej świątyni Dyany, po tym arcydziele sztuki i bogactwa, uważanym za cud świata, zburzonym przez Herostrata, który, chcąc koniecznie być sławnym na świecie, nie znalazł innego środka dla dopięcia celu, jak zburzenie najpiękniejszego dzieła architektury ogniem.

Na gruzach tego samego cudu świata zbudowano potem jedną z siedmiu pierwszych świątyń chrześciańskich, unam ex septem primarum ecclesiarum, wystawioną pięćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa, przez olbrzymiego duchem świętego Pawła, przed którego zasługami pokłonić się i ja muszę z najwyższą czcią. I tu była przezeń utworzona pierwsza gmina chrześciańska. Tu w lat 431 odbył się także trzeci sobór powszechny, zwany Efeskim, który uznał urzędownie w Panu Jezusie dwie natury: boską i ludzką. – W roku zaś 449 odbył się tutaj inny sobór, zwany rozbójniczym, na którym Eutychiści, monofizycy, zbili na kwaśne jabłko Ś-go Flawiana i jego wiernych soborowi przeszłemu zwolenników. Widać, że się nieraz na soborach nie działo lepiej, jak na pewnych sejmikach i sejmach: najlepszym argumentem była pięść i karabela. Burzliwi ci chrześcianie niechcieli uznać nad sobą żadnej głowy i zwali się zatem Akefalami, to jest bezgłownemi, i to bardzo trafnie. Potem znikli pomiędzy Monofizytami, to jest zwolennikami sekty chrześciańskiej, która w Jezusie Chrystusie uznawała tylko jedną, z boskiej na ludzką, przemienioną naturę.

Któż tu, z mieszkańców lichego, piaskiem zasypanego, chwastami porosłego Aiasłuka wie, że tak dziwne rzeczy działy się na tym miejscu, że jeden ka-

pitel każdej z pięciuset kolumn marmurowych, dźwigających dach świątyni Dyany, kosztował więcej niż wszystkie chaty, domy, stodoły, osły, konie, wielbłądy całego Aiasłuka. Jednakże ci arabi nie są niegościnni, zaprosili mnie i dwóch zemną podróżujących paryżanów na kawę, i niechcieli przyjąć żadnego bakszysza, to jest wynagrodzenia, zapewnie dla tego, żem im imponował moim burnusem białym, z włosa wielbłądziego, u którego prawy rękaw był cały przetkany szczerozłotą nicią. Takie zaś burnusy, w całem imperium tureckiem, wolno tylko nosić dostojniejszym, przez rząd za takich uznanym i na to trzeba było mieć rodzaj firmanu, to jest pozwolenia urzędowego. Burnus ten, któregobym pewno nie był sprawił, został mi podarowanym przez Amurad-Beya, dbałego o moje dobro.

W wycieczkach po lądzie nosiłem zawsze lekki fez czerwony, z azurowym kutasem, i jeszcze lżejszy zawój biały, oplatany azurowym sznurkiem, a to z tej samej przyczyny. Nakoniec to mnie uwalniało od zdejmowania kapelusza, ceremonii śmiesznej, tchnącej niewolniczością.

Reszta mojego ubioru była jednakże europejską, to jest i w Turcyi przez nowo-Turków przyjętą: surdut granatowy, spięty aż pod gardło guzikami szmelcowanemi na ciemny granat, spodnie buchaste, białe, i buty z wysokiemi miękkiemi cholewami i bez kaloszy, na znak, że jestem chrześcianinem, i że nie wchodzę do meczetów, przy których wejściu prawowierni machometanie zdejmują kalosze, by prochem ziemi nie kalać przybytku Boga.

Owo bezustanne noszenie kaloszy w gorąco i zimno, nadaje Turkom chód ociężały i usposabia ich do chorób nóg, płuc i nosa, z powodów, które pojmie każdy hygienista, a każdy dojrzały człowiek powinienby nim być; wszakże w szkołach elementarnych Szwajcaryi i części Niemiec nauczają już hygieny i wymagają znajomości tej nauki na egzaminach. „Strzeż się, a Bóg cię strzedz będzie“ mówią tam rozsądni ludzie i nie potrzebują wielu lekarzy.

Mojemi przypadkowemi towarzyszami, byli dwaj mili, ciągle się swarzący paryżanie, obaj wielcy myśliwi przed Bogiem, lecz myśliwi podmorscy, gdyż polowali na gąbki, w które obfitują wody tutejsze.

Gąbki są od najdawniejszych czasów znane, zwłaszcza od czasów Heliogabala, cesarza rzymskiego, któremu pretorjanie zadali śmierć przez zatkanie gardła, nosa i ust gąbkami, które mu dotychczas do wcale innego użytku służyły.

Przedtem gąbki były uważane za krzewy, potem za zoofyty, to jest, za zwierzokrzewy, od lat kilkunastu zostały zaszczycone zaliczeniem do zwierząt bezjelitowych, i to nawet przez Doktora Ehrenberga, którego nazwisko tentni górnym honorem. Tylko twardy szkielet gąbki, składający się z włókien rogowych, albo z igieł wapiennych lub krzemionkowych, jest używany do obmywania i w hirurgii do powolnego rozszerzania różnych kanałów; z resztą gąbki palone na węgiel, używają się także w medycynie zewnątrz i wewnątrz, do leczenia chorobliwie wyrosłych gruczołów, lub też jak to wyżej wspomnieliśmy, do resorbcyi naturalnych gruczołów u zakonnic, by je stępić.

Gąbki przyczepiają się do skał podmorskich, i tam je szukać wypada nurkiem, a ci paryżanie byli właśnie nurkami, ciężko na chleb zarabiającemi, lubo kiedyś w ojczyźnie, zdaje się, lepsze obejmowali stanowisko: żyli tu w Smyrnie jako emigranci, przytułkowcy, i kto wie, czy nie dla tego muszą się chłodzić w zimnem morzu, że wprzódy zbyt wiele mieli do czynienia z ogniem. Lecz w tej chwili i już od kilku lat ciężko na życie pracują, i dla tego się sważą, że jeden jest republikanem gildyi czwartej, drugi zaś republikanem piątej gildyi. Inde ira, i obiecują sobie nawzajem że się powieszą, jak tylko znów przyjdzie do roboty. Obaj się pożenili i mają dzieci, ale ten z piątej gildyi wychowuje je dziko, ów zaś z czwartej posyła syna pokryjomu do przytułku sióstr miłosierdzia.

Ztąd ciągle przekomarzania się i małe wojny. Pomimo tego, razem jedzą, a szczególniej piją, bo tu wino wyśmienite, a lepiej pić, kłucić się, niż nudzić się. Jestem jednakże pewien, żeby jeden drugiego opłakiwał,

gdyby się który z nich utopił, pełniąc święcie trudne obowiązki. Zupełnie złym żaden francuz nie jest,— to rzecz pewna.

Dopiero nazajutrz wieczorem wróciłem z tej wycieczki na okręt i znalazłem tam moją murzynkę zapłakaną, bardzo niespokojną o mnie. Już mnie uważa zupełnie za ojca i miło mi, żem w tej młodej istocie, która może do zbyt krótkiego życia nieprzeznaczona, wzniecił szlachetne uczucia. Przyspasabiałem Bogu nowego anioła, czemże innem człowiek może Mu okazać swą wdzięczność?

Opowiedziałem koledze Szostakowi gdziem był i com widział.

— „Ja twej ciekawości pojąć nie mogę kolego,— przecieżeś prawie tak stary jak ja i jeszcze wszędzieś rad nos wściubić. Byłem tu ze trzydzieści razy w Smyrnie i ani mi na myśl przyszło iść do klasztoru, do kościołów, lub biedz konno do Aistuka dla podziwiania kawała marmuru.“

— „Przecież i kolega zwiedził dziś miasto?“

— „Dla przegrania kilku partji bilardu by się wprawić w ruch, którego mi brak na statku,— i dla kupienia tytoniu i innych towarów, które daję i sprzedaję we Francyi, prawie trzy razy drożej, moim najserdeczniejszym przyjaciołom.“

Istotnie kolega zarabiał nieźle na tym handlu, po prostu powiedziawszy przemycowym: znajdując się w portach, przyjmował swych najserdeczniejszych przyjaciół na statku, obdarzał ich drobnostkami z innych krajów pochodzącemi, a jednocześnie obdzierał ich najnieubłaganiéj na towarach wielkiej wartości, a łatwo przemakalnych, na szalach tureckich, perskich, indyjskich, na takich rzeczach, bez których elegantka francuzka żyć nie może, dla których posiadania gotowa oddać wszystko, co się nie nosi na ciele.

I dobrze mu z tym było, lepiej niż wykonywując problematyczną medycynę w jakiej mieścinie na owych gburach lub gburkach, którzy sykają, cenzurują lekarza i źle go płacą. Tylko, że taki handel niekoniecznie honorowy dla człowieka wyższej duszy.

* * *

Przed zapadnięciem nocy wyruszamy z odnogi, wydźwignąwszy z niej ciężką chuczącą pracą pary owe ciężkie kotwice. Podczas tej hałaśliwej operacyi życie jest ciężarem dla każdego gadać lubiącego, myśleć lub spać nieumiejącego. Lecz i wydźwignięcie najdłuższych kotwic nie trwa wieki, już tańczymy na falach i wysuwamy się z długiej odnogi — już. I noc zapada, lecz księżyc wyjdzie gdy się znajdziemy w blizkości wyspy Chios, zapisanej w sercu każdego poety i każdego chrześcianina niezatartemi zgłoskami. Tu się z pewnością urodził Homer lubo sześć innych miast (Smyrna,— Rodos,— Colophon,—Argos,— Ateny) do tego sobie roszczą pretensye), — lecz najlepszym dowodem, że tu się rodził, jest, że tu go najlepiej znali, że na tej wyspie najczyściejszym mówią językiem i że tu znajdzie się z tysiąc ludzi, umiejących Homera na pamięć od deski do deski. Niestety tak było przed 1822 rokiem; żadne miasto, żaden kraj nie został tak spustoszony, jak nieszczęśliwe Chios w tym roku; wszystko przez Turków zostało w pień wycięte, nawet najmłodsze dzieci, z dwudziestu siedmiu tysięcy ludności greckiej, zaledwie czterysta starców i dzieci zdołało się schronić na wzburzone morze i z tego tylko połowa pozostała przy życiu. W żadnem miejscu Turcy nie dopuścili się więcej ochydnych zbrodni.

Bardzo jeszcze byłem młodym i małym gdy o tem w mieście mojem rodzinnem, w Kaliszu, mówiono, ale dobrze pamiętam, że u nas wówczas oburzenie przeciw Turkom było okropne i dobrze sobie przypominam jednego bardzo sędziwego, chudego, wysokiego Papasa greckiego, któremu mój ojciec, znający dobrze język grecki starożytny i nowożytny ułatwiał podróż do Berlina. Był to jeden z ocalonych mieszkańców wyspy Chios, który całą swoją bardzo liczną rodzinę w tej okropnej rzezi utracił i sam szkaradnie został ranny w ową sędziwą, nadzwyczaj piękną głowę. Przypominam sobie, że wówczas również sędziwy i świątobliwy Biskup Kaliski Wołłowicz, i prezes Województwa Ra-

doszewski, i prezes Trybunału Rembowski i wszyscy obywatele miasta wszelkiego pochodzenia i religji, zajęli się serdecznie losem cierpiących, i złożyli na ręce sędziwego Papasa przeszło 400 czerwonych złotych, zupełnie nieobciętych, dla Greków. Ten zaś wielebny duchowny nazywał się Kanaris, i był stryjem jednego z najświetniejszych, w tej jeszcze chwili żyjących bohaterów, Konstantego Kanaris, który za okrucieństwa popełnione przez Turków, zemścił się spaleniem ich okrętów, jeszcze tegoż samego roku w kanale Chios. Wiele odbył wojen i zmian politycznych, nieraz w swem długiem życiu był wyniesionym na ster państwa greckiego i strąconym, lecz wszystkie przetrwał burze dzielnie, nie tracąc nic z honoru swojego i niedał się skłonić do odstępstwa, ani zaszczytami, ani wysoką pensyą, której niechciał przyjąć.

On i Marszałek portugalski Saldanha i Garibaldi są zapewnie jedynemi jeszcze przeszłowiekowemi żyjącemi bohaterami, którzy nic ze swego nie stracili honoru, przewidując czasy, które nastąpią, umiejąc postępować z niemi i pomagać ich rozumnemu rozwojowi. Wiedzieli że wolność nie jest czczem słowem, i że niewolnik nie umie być całkowitym człowiekiem. Miło mi oddać tę sprawiedliwość, jeszcze żyjącym znakomitościom, którzy i pod względem długowieczności, zasługują na największe z mej strony poszanowanie, żołnierze bowiem zawsze waleczni, czynni, w cywilnym zawodzie także dzielni, dowodzą długiem życiem, że byli moralnymi i wstrzemięźliwymi, i długo służą całej ludzkości za przykład.

Chios pokryte jest wysokiemi górami. Ze szczytu jednej z nich, z góry Eliasza, trzydzieści siedm najpiękniejszych dziewic rzuciło się żywcem w przepaść, by nie popaść w ręce, rozjuszonych wściekłością i zwierzęcą namiętnością, Turków. Wzięły się wszystkie za ręce, śpiewały i tańczyły w kółko, coraz szybciej i szybciej, coraz bliżej i bliżej przepaści. Trwał ten taniec aż ujrzały zbliżających się barbarzyńców: wpada jedna, a tak się dzielnie trzyma dwóch innych, że i te za sobą pociąga, — i te się innych również konwulsyjnie

trzymają, wpadają wszystkie, tworząc w powietrzu najpiękniejszy wieniec dziewiczy, jaki kiedykolwiek w świecie istniał. Leżą w otchłani, konają, lecz jeszcze się trzymają za ręce, a zajadli bisurmanie strącają na nie głazy, by się przynajmniej na konających zemścić, za niedokonane na żyjących zbrodnie.

Że Anglia zapominając swego Byrona, wielkiego hellenofila, staje w obronie Turków, — to się pojmuje: Anglia przestała być krajem rycerskim, stała się krajem kupieckim; — lecz że inne narody nazywające się chrześciańskiemi, mogą życzyć Turkom powodzenia — tego nie pojmuje żaden prosty, uczciwy rozum, i to tylko pojmuje wykoślawioną fantazyą rządząca się mózgownica.

Widzę śnieżne szczyty góry Eliasza, świecące się w blasku wschodzącego księżyca, widzę na nim tańczące cienie trzydziestu siedmiu dziewic chrześciańskich i przesyłam im braterskie pozdrowienie człowieka, który nigdy nie kapitulował z sumieniem. Uznaję je za święte mojego kalendarza, i będę ich cieniów prosił, by się wstawiły w niebie, za dziewice mojego kraju, które kiedyś i w tak wielkiej liczbie, dziś zapomniane przez turkofilów, ginęły ofiarami zbrodni, popełnionych przez Turków i Tatarów.

Znikły nareszcie tańczące widma, znikł i szczyt Eliasza, noc zapadła, wiatr się wzdął i kołysany okręt zapraszał swych mieszkańców na spoczynek, który nie trwał długo, tu bowiem szkoda czas tracić ospalstwem, tu każda chwila życia kosztowna, tu się pisały klassyczne dzieje świata, i tu zapewnie niezadługo spisze się krwawo rozejm ludów z uznanym teraz, godnym siebie Chrystusem, któremu wkrótce zaczniemy hołdować bezpośrednio, nie uznając w żadnym człowieku Jego zastępcy.

Jeszcze tedy przed świtem wybiegłem na pokład. Ciemno, lecz już w powietrzu dochodziły powiewy afrykańskie i zwalczały Boreasza dzikie zachętki. Ulegał pokonywany coraz silniej, i gwiazdy spozierać zaczęły błogiem światłem. Słońce jeszcze się nieukazywało, lecz tem wyraźniej ukazywały się przed nami na prawo i na lewo światła dwóch latarni morskich; jedno na lewo migające się z wyspy Samos (ojczyzny

naszego Papasa Adonisa Karvalis), drugie na prawo peryodycznie przerywane z wyspy Nikaria.

Wstępujemy tedy w archipelag Sporadów, będzie tych wysp małych i większych mnóstwo, aż do największej z nich, do Rodos, tak pamiętnej w dziejach, tak uroczej aż do dziś dnia.

Coś mignęło z dalekiego wschodu i trysło po zachmurzonym firmamencie purpurową zorzą: to słońce wynoszące się po nad pagórkami i płaszczyznami Jonii. Jakoś mu spiesznie dzisiaj; szybkim krokiem suwa się na niebo, swą ognistą ogromną tarczą rozbijając obłoki i zalewając purpurą coraz większe obszary firmamentu. Roztwarzają się, rozchodzą, spełzają i nikną jedne za drugiemi. Słońce chce dzisiaj po wypogodzonym firmamencie chodzić, pierzchać muszą przed ogrzewającym cieplikiem zawady—już pierzchły, już ich niema, zgasły latarnie na Samos i na Nikaryi, lecz natomiast one same jawią się naprzód w szarej, później w smaragdowej zieloności. Wpływamy pomiędzy nie: spostrzegamy na Nikaryi miasto główne Ezdilo, tem sławne, że się w niem urodził 150 pr. Chr. Nikander, poeta i zarazem sławny lekarz: pisał dobrym wierszem najgłębsze medyczne rozprawy, jego poezye, mianowicie jego Theriaka i Alexopharmaka, są po dziś dzień cenione przez filologów i przez uczonych lekarzy. Na całej wyspie żyje przeszło 8,000 mieszkańców.

Samos jest większą wyspą, liczy do 35,000 mieszkańców, słynęła kiedyś ze swych niesłychanych bogactw, z potęgi i wykwintności pomników. Jej świątynia Junony, sławną była na całą Grecyę, tak prawie jak świątynia Dyany w Efezie. Żyzność tej wyspy, jest przysłowiową, jej wina, figi, pomarańcze i jedwabie, poszukiwane są wszędzie. Przed czterema wiekami podpadła pod berło Turków, którzy tutaj jak wszędzie, spustoszyli co mogli; wznieśli swe meczety i minarety na gruzach kościołów chrześciańskich, i tłoczyli chrześcian ciężkiem jarzmem. Co im było drogiem, to zostało zbeszczeszczonem, oni sami służyć musieli jako uprawiacze gruntu, i dziś jeszcze służą, pocieszając się od czterystu lat nadzieją, wyzwolenia się z pod tak ohydnego jarzma.

*

Mijamy całą gruppę wysp Furni, słynną z ryb mianowicie z dorad, ryb okrągłych jak kule i najeżonych kolcami. Mijamy i wyspy Patino, Lero i Kalimno; pierwsze dwie skaliste, trzecia słynna z piękności swych zachwycających, śpiewających córek, które dziś biedaczki już nie śpiewają, lecz wyją, jak pewne śpiewaczki prima donny głosu, złamanego nie tyle przez śpiew, jak przez gimnastykę.

Teraz zbliżamy się do innej, nie tyle wielkością materyalną, ile wielkością swego znaczenia historycznego na wieki znakomitej wyspy.

Jest to wyspa Kos, ojczyzna Hippokratesa, zazasługująca na powitanie ze strony wszystkich lekarzy, nawet ze strony D-ra Szostaka, który tu dziesięć razy w swym życiu nań spoglądał, z dość blizka, lecz nigdy nie wiedział jak się nazywa, i dla tego nigdy jej należnego hołdu nie złożył. Lecz teraz co innego, gdy się dowiedział, jak się nazywa i co znaczy, i jak sobie przypomniał, że raz przed doktoryzacyą składał solennie przed popiersiem Hippokratesa przysięgę, że woli się zadawalniać niczem, jak zniżać cenę konsultacyi, wizyt i usług lekarskich, wyższych i niższych.

— Tak sobie wziąłem do serca tę przysięgę, żem o mało co z głodu nie umarł w pierwszym roku mego praktycznego życia, i byłbym niezawodnie umarł z głodu, gdyby się nie była spostrzegła traktyerniczka tego miasteczka na mych cierpieniach, i gdyby nie dawała jeść na kredyt,—rzecze kolega.

— Poczciwa osoba—bodajto francuzki,— krzyknę z zapałem.

— Tak, poczciwe francuzki—vivat! ależ ta sama francuzka, gdym się u niej zadłużył, chciała żebym się z nią ożenił—była bowiem wdową.

— Traktyerniczka miasteczkowa! kolega natnralnie odmówił.... nieprawda?

— Naturalnie, i to wręcz, natychmiast, stanowczo—ale potem namyśliłem się i pojąłem ją za żonę, i ona była, jest właśnie matką owego dziecięcia mojego, o którym nie wiem czy jest chłopakiem, czy dziewczyną....

Kochał się w sceptycyzmie biedny mój kolega, obumarłym był na wszystko, co niebyło natychmiastowym zyskiem. Szostakiem się nazywał, szostakiem był...

Wyspa Kos ma kształt ogromnej Salamandry płazu mitologicznego, który żyje w powietrzu, w wodzie i w ogniu. Tylko na głowie ma czub z wysokich drzew, na plecach górę okrytą zwaliskami, porosłemi drobniejszą roślinnością, na krętym długim ogonie stawy, błota, sapy jare, także zarosłe rozmaitemi krzewami.

Tu wyrzekł ojciec medycyny: „Ars longua, vita brevis, experim . tum periculosum“ słowa sakramentalne, wieszcze, dziś jeszcze powtarzane z szacunkiem przez nas wszystkich, wiernych hipokratesowskiej szkole medyków. Potem powiedział: „melior anceps medicina quam nulla medicina“, lepsze niepewne lekarstwo jak żadne, i tem sobie ujął medikastrów, a zwłaszcza *aptekarzy*.

Wyspa Kos, choć nie wielka, jest dziwnie przez naturę usposobiona na służenie bystrym, uważnym ludziom, do badań klimatycznych: są tam góry, doliny, lasy, piaski, jeziorka, błota, trzęsawiska, a wiatry tam wieją rozmaite, z daleka i z blizka, peryodyczne i przypadkowe.

Na samym szczycie grzbietu zwaliska, wyraźne, monumentalne, starodawnej świątyni wzniesionej synowi Apollina Eskulapowi i córce tegoż bożka Hygiei. Na marmurowych ścianach dawnej świetnej świątyni, były wyryte aforyzmy, to jest spostrzeżenia Dioskorydów, ludzi oddanych nauce natury i sztuce lekarskiej, byli oni zarazem kapłanami Eskulapa i zamiast mu palić ofiary, uzdrawiali ludzi i tu ich nakłaniali ofiarować synowi Apolina—złoto, srebro i balsamy.

Widać, że wielkich lekarzy popiersia bywały tu umieszczane w świątyni Eskulapa, francuzi towarzyszący w końcu przeszłego wieku Generałowi Bonaparte w wyprawie do Egiptu, zawadzili tu o wyspę Kos, i robili poszukiwania w gruzach świątyni: znaleźli tu ułamy napisów i statui większych i mniejszych, pomiędzy temi, jedną najdoskonalej przechowaną, popiersio-

wą, na pół wielkości naturalnej z czarnego marmuru, wyobrażającą Hippokratesa i z podpisem greckim tego nazwiska. Statua ta, prawdziwa relikwia, przeniesiona później przez Generała Bonaparte do Francyi, została przezeń darowaną wydziałowi lekarskiemu Montpelijskiemu, najdawniejszemu z wszystkich francuzkich i założonemu jeszcze przez Arabów w XII wieku, gdy oni nad Fanguedocyą i większą częścią Hiszpanii panowali.

Napoleon Bonaparte wysokie miał wyobrażenie o zaletach tego wydziału, choć ten mu jednakże nie mógł wyleczyć ojca, Karola Bonaparte, który tam umarł, złożony chorobą pęcherzową, w roku 1785 i pochowanym został na cmentarzu ubogich, na którym z resztą nie ma wstydu odpoczywać, bo tamże w nowych czasach pochowano przeszło 300 Polaków, uczących się medycyny, lub też przybyłych z różnych okolic Francyi dla leczenia się w szpitalu. Ale w szpitalu montpelijskim panuje ciągłe zapowietrzenie, z powodu braku rozsądnej postępowej wentylacyi i łatwiej tam umrzeć zdrowemu, jak wyleczyć się choremu, co z resztą prawdziwą jest korzyścią dla szkoły, bo w tem stosunkowo małem mieście brak trupów dla uczących się anatomii.

Dość, że umarł tam Karol Bonaparte, który nigdy nie był (jak to utrzymuje autor artykułu Bonaparte w Encyklopedyi Orgelbranda) ani szlachcicem, ani bogatym, ani członkiem sądu królewskiego, ani deputowanym szlachty korsykańskiej, lecz po prostu lekarzem tej deputacyi, później bardzo ubogim człowiekiem, któremu dla nader wielu przyczyn, wcale nie było dobrze w domu.

Czarna statua Hippokratesa dostała się tedy szkole Montpellijskiej i pod nią podpisano: „Olim Cous nunc Montpelliensis Hippokrates“ i w wielkim trzymają poważaniu tę relikwią, która z resztą pięknego jest dłuta, wiedzieć bowiem potrzeba, że wyspa Kos jest także ojczyzną Apellesa,—że wszystkie liberalne sztuki były także uprawiane na tej miłej wyspie, zamieszkałej teraz tylko po trzeciej części przez chrześcian,

i na której bisurmani, nietylko Turek, lecz także sprowadzony tam z Kaukazu Czerkies. Biedni Grecy w tak widocznym ucisku, że on pogrąża serce w rozpaczliwy smutek. Wstydziłem się mojego burnusu, wstydziłem się turbana i zdarłem jedno i drugie: wolę cierpieć z cierpiącemi za dobrą sprawę i żadnych w obec szlachetnych boleści nie używać przywilejów, udzielonych mi przez gnębicieli, wolę nawet ginąć z niemi, lecz nic nie mieć wspólnego ze sprawcami tak okropnych niesprawiedliwości, Boga o pomstę wzywających. Łzy mi się zakręciły w oczach, twarz mi ścierpła, a serce strupiało.

Patrzał na mnie jakiś młody, bardzo młody, lecz uważny, myślący, małomówny Anglik,—uczuć moich i nerwowych gestów odgadł tajemną przyczynę, przystąpił do mnie, podając mi rękę i rzekł:

— Oh gou are a Christian—auda good one I ane ture. (Jesteś chrześcianinem i do tego dobrym—jestem pewien).

— I am achamed to look libre a Turk— that's all. (Wstyd mnie wyglądać jak Turek—oto wszystko) odpowiedziałem głosem zdławionym.

— All right Sir,—wszystko dobrze panie—odpowie Anglik i pozostawia mnie moim uczuciom, bym je sam w sobie strawił; lecz od tej chwili zyskałem nowego przyjaciela.

Usiadłem pod cieniem drzew i krzewów, rosnących na gruzach świątyni i myśl moją pogrążyłem w dawno ubiegłej pomrokowej starożytności, i jednak dzięki aphoryzmom ojca medycyny, zoczyłem tu i owdzie jakieś jasne światełka, wykradające się z pośród tych gruzów, tak jak się wykradają owe niebieskie ogniki z pośród dawno strawionych trupów na cmętarzach. Nie! tam gdzie człowiek gieniuszu wyrzekł choć kilka słów mądrych, tam ciemności zupełnej nie ma, tam człowiek serca odgadnie jednakże choć cokolwiek z ducha tej przeszłości tak ciemnej, grobowej i rozpaczliwej dla innych.

Słowo staje się wszędzie światłem, gdzie padnie na duszę, która drzemać nie lubi, która drzemać nie może. Ah! patrzę jasno w przeszłość: widzę Appolina,

Eskulapa i Hygieję— widzę zamyślonych Diokosydów, wszystko uważających bystrych Asklepiadów, — widzę samego Hippokratesa, raz wlepiającego oczy w trupa, drugi raz w kwiatek, i spoglądającego czasem w niebo, w ojczyznę jego wiecznego ducha, jeszcze dziś w każdem sercu dobrego lekarza żyjącego. On mnie poznał, usiadł obok mnie, i dzieje mi swego życia opowiedział.

Powtarzam co powiedział:

— „Jestem synem Heraklida, kapłana Eskulapa i Eronemy, kapłanki Hygiei. Tu się urodziłem 450 lat przed boskim Człowiekiem, który pierwszy powiedział ludziom: „wszyscy jesteście równi, kochajcie się, a będziecie zdrowi, szczęśliwi i długowieczni“. Mając lat trzy, uratowałem od śmierci i przywróciłem do zupełnego zdrowia kuropatwę strasznie podziubaną i podartą przez sokoła: i tego napastnika wziąłem zarazem do niewoli, nauczyłem go tak dobrze rozumu i cnoty, że mógł żyć na stopie równości i przyjaźni z moją wyleczoną kuropatwą i z jej dziećmi, gdyż jej wyszukałem męża zupełnie jej oddanego ciałem i duszą. Jastrząb wałęsał się po świecie, ale często powracał do domu, czasem nawet ze zdobyczą w pazurach, którą matka moja piekła i śmiejąc się zjadała, bo zawsze wyborny miała apetyt i dzieci rodziła często.

Z wszystkich okolicznych wysp, przypływali chorzy do nas, nawet z stałego lądu Azyi, gdzie nigdy nie brakło wojen. Czasem też dochodziły nas zarazy różnego rodzaju, kiedy niekiedy wyradzały się gorączki nawet i u nas, w pewne lata gorące, owdzie gdzie błota.

Na każdą chorobę patrzałem się ciekawie, a kiedy mogłem w czem ulżyć cierpiącym ludziom, to dla mnie było największą roskoszą i za to paliłem ofiary Eskulapowi i Hygiei, drobne ofiary, krety, węże, ropuchy, szczury i myszy. Lecz wnet poznałem, że ani kret, ani wąż, ani ropucha złego nie robią, owszem dobre, i zaniechałem tych ofiar, obrażających bóstwa: paliłem tylko żmije, szczury, myszy, szarańcze, skorpiony i pająki. Później gdym wzrosł i mógł polować, paliłem wilki i lisy. Lecz ze skóry je odzierałem zawsze, bo te nam się przydawały na pościel dla dzieci,

a w żołądkach tych zwierząt, szukałem tego, co pożerają: znalazłem nie jednego zająca i królika, nie jedną kurę, kuropatwę, przepiórki i parę zwierzątek, których wcale nie znałem. Tym sposobem, nauczyłem się cokolwiek anatomii, fizjologii i historyi naturalnej, ale dużo nie. Ludzi i naturę kochałem z całego serca, i ciągle spostrzegałem we wszystkiem, co robili; ztąd dostrzegłem wiele faktów, które dopiero w późniejszych wiekach były uznane za niezaprzeczone.

Nie starczyło mi jednakże dość nauki, dość wiary w mój geniusz, bym te fakta w porządny, naukowy systemat mógł ułożyć,— ani też nie starałem się dostatecznie zbadać istotę tego faktu, tylko podawałem jego znaczenie dla medycyny. Ztąd wynikły owe aforyzmy, dziś jeszcze utrzymujące pamięć moją pomiędzy ludźmi. Zastanawiałem się uważnie i głęboko, nad przyczynami chorób, odległemi i blizkiemi, przygotowującemi i wypadkowemi. Zauważyłem różnice pomiędzy temperamentami, konstytucyami, usposobieniami,—badałem klimat, pory roku, powietrza i wody. Największą zwracałem uwagę na objawy chorób, na symptomata objektywne, nie z opowiadań chorych odgadywane. Podałem bardzo wiele znaków nowych, któremi w sokowaniu kierować się należy: lekarz nie może wszystkich chorych wyleczyć, niech się stara koniec choroby, śmierć nawet przewidzieć, — niech ocala zaszczyt swej sztuki przepowiedzeniem. Zajmowałem się również chirurgją, jak medycyną, zwłaszcza wojskową, w wojnach Azyi lądowej i w Grecyi; organizowałem szkoły medyczne w wielu miejscach, zwłaszcza w Atenach, nałożyłem przyjętym lekarzom przysięgę, jak widzę dziś jeszcze szanowaną, i mając lat 90 umarłem w Laryssie Tessalskiej, syt chwały ziemskiej. Żyje wiecznie duchem, wiem o wszystkiem co się w świecie lekarskiem dzieje i potępiam lekarzy, leczących najrozmaitsze choroby jedną tylko *wodą*, której nawet jeszcze rozebrać nie umieją,—uważam ich za mnie niegodnych". Tak powiedział i—zniknął.

Wkrótce też huk działa wyrwał mnie z zachwytu, z drzemki, czy z—jasnowidzenia, — niewiem z pewnością jak nazwać ten niezwykły stan, w którym

czasami buja dusza moja najzupełniej oderwana od ciała, zupełnie wyzwolona z jej nudnych, niewygodnych więzów. Jest to stan, w którym pojmuję najzupełniej możliwość życia wiecznego.

Drugi huk działa powołał nas do odwrotu na pokład: przybyliśmy dopiero w chwili gdy kotwicę wyciągnięto,—niebyliby na nas czekali ani chwili, bo się przyjazny wiatr zerwał,—chciano z niego korzystać, by oszczędzić węgla.

Przyniosłem mej murzynce macierzankę, rozmaryn, tymianek, szalwię, i róże, mak, weronik, walerianę, uzbierane na gruzach świątyni Eskulapa, kazałem jej zawinąć to wszystko w chusteczkę i przyłożyć na dołek żołądkowy. Obawiałem się skutków wzmacniającego się wiatru, nudności, womitów, mogących się skończyć krwotokiem, lub krwawym kaszlem.

Dr. Szost... kołysał swą głowę na karku i pogardliwie potrząsał ramionami:

— Jak można się przywiązywać do murzynki, którą Ci pierwsze zimno zabije? — spytał, litością przejęty.

— Dusza jej wieczna i ja ją przebudzam do samowiedzy, niech nie umiera bez pewności, że nieprzestanie czuwać nademną, gdy się od ciała oderwie.

— Kochasz ją, jak ja nigdy nie kochałem własnej corki, — chciałbym tak kochać jedyne pozostałe mi dziecko,—jest ono córką, teraz sobie przypominam. Lecz nie, niech tak pozostanie jak jest, — gotowa mi umrzeć skoro ją pokocham, tak jak zrobiły inne dzieci. A potem—jeśli ma choć cokolwiek rozumu, to mi nigdy nie wybaczy, żem jej od lat siedmiu widzieć niechciał.

— W tem masz słuszność, serce choć cokolwiek rozumujące, nie wybacza łatwo takiej oziębłości, — ależ serce kobiety nie często rozumuje, idzie za popędem uczuć, gdzie tylko nie jest hamowanem względami przyzwoitości, a przecież nie jest nieprzyzwoitością kochać oziębłego ojca. Z resztą powiesz jej, żeś był zatrudnionym zebraniem jej posagu, a zdaje się żeś miał czas odłożyć coś na stronę.

Usiadłem, on usiadł obok mnie, murzynka rozpostarła swój nieodstępujący ją dywanik u nóg moich, usiadła na nim sposobem tureckim i stuliła głowę pod mój burnus, obejmując kolana moje rękoma.

— Tak mnie nigdy kochać nie będzie, jak ciebie ta murzynka już kocha. Czemeś ją sobie tak zwabił? przecież nie jesteś już tak młody?

— Przywiązałem ją sobie zwiastowaniem jej, że Bóg kocha wszystkie swoje ludzkie utwory zarówno, że żadnej najmniejszej nie robi różnicy pomiędzy wolnym a niewolnikiem, pomiędzy białym, a czarnym człowiekiem, pomiędzy mężczyzną a kobietą, że wszystkim dzieciom dał równe prawo do nieśmiertelnej duszy.

— Alboż murzyn lub murzynka w stanie są pojąć co to jest dusza?

— Z razu i ona tego nie pojęła, lecz teraz zaczyna już dobrze pojmować, i czasem przez sen mówi: lamna—lamna! co w języku jej znaczy dusza—dusza. Już się w niej przebudza dusza, może w skutek chęci pozostawania zemną zawsze.

— Spodziewam się—i próżnowania i zjadania dobrych potraw, jakich nigdy nie jadła — i picia słodkiego wina z filiżanki, jak gdyby to była tyzanna,— powie Doktór, w nic szlachetnego nie wierzący.

Tymczasem wiatr się zaczął wzmagać dość silnie, niebo się zachmurzyło, okręt, falą bity z boku, kołysał się coraz mocniej.

Spytałem się murzynki, czy niechce pójść do łóżka, gdzie jej będzie wygodniej i cieplej.

— Nic—nic! mnie tu dobrze, wcale dobrze, chyba Doktór-Effendy chce iść do łóżka, to i ja wtenczas pójdę do mojego, ale mi tam będzie tęskno do mojego pana—zaręcza murzynka.

Przetłómaczyłem koledze słowa murzynki, i on rzekł po chwili jakoś łagodniej, niż zwykle mówił:

— Żeby mnie moja córka tak kochała, jak ta czarna kotka ciebie kocha, tobym może wziął urlop na dni piętnaście i pojechał ją zobaczyć.

— Będzie Cię kochać jeszcze więcej: węzły natury są tak silne i tkliwe

— Tylko aby nie we Fracyi — allons-donc! tam z tych uczuć nic niema, tam wszystko to już wyśmiane, tam tylko interes przywiązuje żonę do męża, dzieci do rodziców. Tak musi być z resztą wszędzie — nawet w krajach, uchodzących za bardzo uczuciowe; tylko we Francyi wszystko dzieje się jawniej, w skutek owej żywości, wyrazistości i szczerości chrakteru francuzkiego. Hipokrytą francuz nie łatwo być może, — nie umie swych uczuć taić, i tak jest zarozumiały, że nigdy nie wątpi o naturalności, a zatem i szlachetności swych uczuć.

Gdzieindziej umieją kryć brzydotę pod wykwintną maską fałszywi eleganci.

Teraz już fala zaczęła pluskać po pokładzie, kołyszącym się coraz mocniej: czas było uchodzić z niego i kryć sie. Kolega sam mi pomógł zaprowadzić Azzimę do kajuty, — takiego zaszczytu nigdy jeszcze niewyświadczył żadnej murzynce, nawet owym bogatym, świetnie ubranym, które się napotykają w Algierze; ależ jego nawracać poczyna do ludzkości, przywiązanie tak szczere, okazywane mi z naiwnością nieudaną przez młodą, dopiero co z niewolnictwa i z dzieciństwa wychodzącą istotę. Żaden egoizm, żaden sceptycyzm, żadna mizantropia oprzeć się nie zdoła takiemu widokowi. Polecił jeszcze raz murzynkę opiece gospodyni okrętowej, kazał jej nawet dać limoniady gazowej, gdyby miała nudności lub womity.

Rozchulało się morze na dobre, gdym spoczął na łóżku,—deszcz zaczął padać, kilka grzmotów zachuczało i błyskać zaczęło.

Żal mi było mej służącej, pierwszy to raz spotyka ją burza na wodzie.

* * *

Moja murzynka przetrwała tę pierwszą życia swojego burzę wcale dobrze, niewiem czy w skutek ziół, którem jej zebrał na wyspie Hippokratesa, czy też w skutek lemoniady gazowej: zalecam tedy jedno i drugie za wyborny środek, lecz że łatwiej będzie zapewnie

dostać lemoniady, jak ziół zebranych w Kos, więc zapewnie sok cytrynowy wejdzie w większą modą. Mogą ją jednakże zastąpić tak smaczne maltańskie karmelki, sporządzone z dwuwęglanu sody i kwasu cytrynowego.

Ustały wiatry, lecz maszyny pracują rączo i szybko nas przesuwają przez gruppy małych Sporad, które czasem i wyminąć trudno, mielizny bowiem nie są tu rzadkie i fenomena wulkaniczne tak jak i wybuchy podmorskie przewracają te grunta, nader często tworząc mielizny, wznosząc nawet wyspy, które później znikają.

Zna się na tem wszystkiem nasz kapitan de Norwian, który studiował z szczególnem zamiłowaniem wszystko, co się tyczy wulkanów i lepiej przewiduje wybuchy od samego pana Palmieri, meteorologa Neapolitańskiego, wynalazcy zawodnego Sirmografa, instrumentu, prorokującego wybuchy Wezuwiusza, z niechybnością pana Mathieus de la Drome, prorokującego deszcz, wiatr, pogodę, suszę. A jednak pan Palmieri został za ten wynalazek wielkim kommandorem orderu Ś-go Joba i Łazarza, a pan Norwian nie jest jeszcze kawalerem niczego. Bardzo mi się kapitan żalił na tę niesprawiedliwość Makmahonatu, to jest rządu francuzkiego, lecz zapomniał powiedzieć, czy on sam kiedykolwiek cóś przewidział, nie mogę zatem koniec końcem sądzić o talencie proroczym kochanego pana kapitana, o którym z resztą wiem, że jest doskonałym i grzecznym towarzyszem.

— Francuzi pozostaną zawsze francuzami, pod każdym rządem i w każdej okoliczności — rzeknę do młodego Anglika, którego zyskałem szacunek na wyspie Hipokratesa, i który był obecnym tej rozmowie z kapitanem. — Niech mnie kaczki zdepczą, jeśli wiem czemu się ten kapitan tak gniewa na sirmografa, na pana Palmieri, na Wezuwiusz, na pana Małkiena, na Makmahonat, i na tak poczciwych ludzi, jakiemi byli święty Job i święty Łazarz.

— I ja też niewiem, upon my soul, i on też niewie, ręczę za to: widzi pan, ci francuzi muszą się gnie-

wać kilka razy na dzień tak jak stare panny: Francya jest narodem, złożonym z starych, gadatliwych, niewiedzących co chcą panien, — to jest moje przekonanie odpowiedział poważnie, sentymentalnie mój Anglik.

— Działają istotnie jak stare panny, kochają tych których niecierpieli, a nienawidzą tych, których kochali i „variability thy name frenchman".

— So they are, as their supperstitions religion aud their poor philosophy made them Allricht — rzecze Mister Stickstek, tak się bowiem nazywał i tak wyglądał.

W tem weszła na mój podkład, jak jej wolno było, dzięki grzeczności kapitana, Azzima, z robótką w jednej ręce a z moją gramatyką turecką w drugiej. Wyglądała wcale nie źle w swoim fezie z czystym turbanem, ale bez jaszmaku, jak gdyby już była chrześcianką, z suknią krótką, nie wyciętą zbytecznie, dochodzącą wysoko, w majtkach nie krótkich do kolan, jak je nosiła dawniej, bez dochodzenia po kostki, nie boso, jak poprzednio, chodziła, lecz w porządnych trzewikach, z których była niezmiernie dumną, bo jej się zdawało, że jako niewolnica skazaną jest na wieczne bosowice.

Przystąpiła do mnie z pewną uroczą gracyą i pocałowawszy w rękę prosiła, bym jej jakąś nową przeczytał historyjkę, bo już nie ma czem zatrudnić swej myśli. Powiedziała to ze wszelką nadobną śmiałością, bez żadnego zalęknienia się, tak, że wszyscy obecni, a już wiedziano kto jest, byli cokolwiek zdziwieni z tego stosunku sługi względem pana i pewne Misse Angielskie już się zabierały do krzyczenia: Fai i Szoking. Lecz ja wcale nie zmięszany usiadłem, kazałem usiąść murzynce na mym dywaniku i przeczytałem jej długą historyjkę, wyjętą z książki pod tytułem: — Rady dawane przez Nabi-Jussaf-Effendego synowi swojemu. — W tej historyjce jest mowa o hypokryzyi Derwiszów, o niesprawiedliwości kadów czyli sędziów i o okropnem zdzierstwie Paszów. Autor wysławia w bardzo żywych barwach sromotny stan towarzystwa tureckiego. Autor tej książki, którą można nazwać klassyczną, był Jenerałem Dywizyi i Inspektorem całej kawaleryi

Ottomańskiej: mówiąc o Derwiszach i wszystkich zakonnikach, wysławia się: — owa tłuszcza nikczemnych, nie zdolna do żadnego zatrudnienia, podobną jest do stada sępów, bijących się nad trupem. — Mówiąc zaś o sędziach wykrzykuje: — bądźcie przeklęci wy, co sprzedajecie sprawiedliwość za pieniądze, co dajecie oszukańcom wygrywać procesa przeciw niewinnym. Zabijając sprawiedliwość, zabijacie zarazem religię — O Paszach zaś mówi, chociaż nim był sam: godność Paszy jest złem, które trwa przez całe życie, ona rodzi tylko niespokój, kłopot i twardość serca. — Trudno i najsprawiedliwszemu być dobrym, sułtan bowiem zbyt wiele od niego wymaga

Bardzo często Pasza kupuje swoją posadę za pożyczane pieniądze, które musi spłacić łapowemi, jakie otrzymuje i owocem swego łupu. Jego urzędnicy są czeredą łupiezców, pozostawiających za sobą spustoszenie i zgrozę. Wszystko to jest udowodnione w tej książce faktami, od których opowiadania włosy powstają na głowie. Książka Nabi-Effendego, nie mogła być za życia jego, ani za życia jedynego jego syna ogłoszoną, byłoby to naraziło jego dzieci na utratę życia, lecz autor przewidział widocznie, że syn go długo nie przeżyje i że nie pozostawi potomstwa, i w testamencie kazał ogłosić ją, dla dobra ubogich, w pięćdziesiąt lat po śmierci.

Dwa razy przeczytałem murzynce te rady Nabi-Effendego i kazałem jej powtórzyć com przeczytał. Nie bardzo dobrze poszło tym razem, lepiej nam się powiodło z przeszłemi gadkami Nasser-Eddina.

Młody Anglik, który miał najwyżej lat dwadzieścia, zainteressował się bardzo tą moją murzynką, i mówiąc sam cokolwiek po turecku, prosił mnie, żeby mu wolno było brać podobne lekcye u mej profesorki i służącej podczas mojego pobytu na okręcie, zobowiązując się płacić mnie i Azzimie po pół korony za te lekcye.

— Przystaję na to, takim sposobem uzbiera się może początek majątku dla mojej służącej, rzekłem z uśmiechem. I Azzima także chętnie przystała. Anglik poszedł i przyniósł trzy egzemplarze ewangelii, tłumaczonej kosztem towarzystwa biblijnego angielskie-

go na język turecki i drukowanej zgłoskami łacińskiemi. Jeden egzemplarz darował Azzimie, drugi mnie, a z trzeciego sam począł czytać, prosząc murzynki, by mu poprawiała wymowę. I z tego się wywiązywała bardzo sumiennie, powtarzając te same słowa po cztery i po pięć razy, aż je pan Stick dobrze wymówił. Lekcya trwała z pół godziny, a po niej uczeń wręczył z najzimniejszą krwią Azzimie i mnie po pół korony angielskiej. Ona wziąść się wahała, lecz ją do tego skłoniłem, ja zaś przyjąłem, wytłómaczywszy jej, że to wszystko przydać jej się będzie mogło w razie nieprzewidzianego nieszczęścia lub choroby. Wielkie na niej wywarły wrażenie słowa ewangelii; wdzięczny byłem panu Stick za to ułatwienie mi missyi ewangielizacyi, i nie miałem powodu żałować, jak to się później wykaże, żem się w ten sposób z dziwnie dobrym, choć tak sztywnym i na pozór zimnym, młodym zapoznał człowiekiem.

Dzień ten cały podróżowaliśmy pomiędzy Cykladami, zbliżyliśmy się tylko do jednej z nich, do Leros, położonej przed zatoką Meudelia, lecz nie wylądowaliśmy, brakło na to czasu. Jest to mała piękna wysepka licząca przeszło 3,000 mieszkańców, port ma dobry, lecz w nim mało życia.

Wieczorem zawinęliśmy do portu wyspy największej z Cyklad, do słynnego w dziejach chrześciańskich i pogańskich Rodos. Port jest mały, wkraczający w ląd dość wązką szyją, i tu na dwóch wzgórzach tej szyi stał lub też miał stać jeden z cudów świata, o którym starzy geografowie tyle mówili, ów olbrzymi kolos Rodyiski, wysoki 350 stóp, w którego głowie mieścić się mogło trzydziestu ludzi, a którego ręka wyciągnięta w górę trzymała latarnię morską, pomieścić mogącą w sobie najwygodniej sześcioro ludzi. Po wschodach, kręconych we wnętrzu ramienia, wchodziło się do tej latarni. Uczony Berg autor dzieła dwutomowego — „Die Insel Rodus“ (Brunświk 1862) utrzymuje, że ten kolos nie jest postacią mytologiczną, lecz że tu stał istotnie, więc musiał być pół czwarta raza wyższy od sławnego posągu Ś-go Karola Boromeusza w Arona nad Lago Maggiore, w którego głowie mieści się

dziewięć osób i w którego nosie siedzieć może wygodnie tak kolosalnych rozmiarów mulat, jakim był sławny Aleksander Dumas ojciec, robiący sobie z tego wielką chwałę, że tam siedział, paląc cygaro i pijąc szampana z hrabią Barromeo, praprawnukiem brata Ś-go Karola Boromeusza. I ja tam siedziałem, rozmawiając z dwoma synami Kossuta.

Wyspa Rodos nie jest bagatelną i dziś mieści do 40,000 mieszkańców wraz z turkami, których jest z 10,000, kiedyś zaś mieściła do 100,000, w owych czasach, gdy turków, wytępiających życie europejczyków, jeszcze tu nie było. I tu tylko zostawili chrześcian, ile potrzeba było do uprawiania gruntu, który sobie przywłaszczyli, ani głowy więcej. Rodos przecięty pasmem gór wulkanicznych wydaje wszystkie najlepsze płody ziemi, nawet niezłą kawę i palmy gojawowe. Z miodu tak sławna, jak Kreta, z wina prawie tak, jak Cyper; jednakże owe proste, tanie wino Cypru, którego można pić wiele i często bez narażenia na szkodę zdrowia i kieszeni, daleko lepsze od Rodyjskiego.

Niegdyś ta mała, 86 mil kwadratowych obszaru zawierająca wyspa, tworzyła osobną rzeczpospolitą, wcale nie taką jak dzisiejsza Marino lub Andarra, lecz potężną siłami morskiemi, jak Wenecka lub Genueńska sto lat temu. Rodyjskie prawo morskie uważane było na wszystkich oceanach za podstawę prawa narodów i dzisiaj jeszcze pod tytułem Lex Rhodia przytaczanem bywa przy sądzeniu wielu spraw morskich. Pilnowała swych swobód, swej niezależności, walecznie i starannie przeciw wielu najazdom, dostała się jednak pod panowanie Rzymian. W roku 650, Kalif Mohawiah zdołał ją zdobyć; podczas wojen krzyżowych wydarta bisurmanom, została powierzoną 1,310 zakonowi rycerzy Ś-go Jana Jerozolimskiego, których członkowie nazwali się od tego czasu rycerzami Rodyjskiemi i słynęli z waleczności, równie jak z poświęcenia dla chorych i prześladowanych. Lecz srożyli się bezustannie bisurmanie na tych czujnych obrońców idei Chrystusa, zawsze gotowych do korzystania z każdej klęski, zadanej gdziekolwiek bądź mahometanom. Walka przeciw nim trwała przez lat niemniej jak dwieście

dwadzieścia i dwa, i opis tej długiej, zaciętej walki jest nadzwyczaj interessująco przedstawiony w już zacytowanem dziele Dra Berga.

Pomimo ciągłych burz i napadów, rycerze Ś-go Jana potrafili się wybornie zorganizować w tej miłej, krwią tylu ofiar okupionej wyspie: wystawili ogromne warownie, broniące portu i stolicy, wznieśli ludzie piękny kościół z jaknajdroższych, najtrwalszych, najartystyczniej obrobionych materyałów, pobudowali sobie w dwóch czy w trzech ulicach zameczki i pałacyki klassycznej architektury i cytadellę, wyrównywającą Malkorskiej okazałością, a przepychem jeszcze wyższą.

Ogrody okoliczne mogły walczyć z Salomonowskim co do piękna i rzadkości drzew i krzewów. Był to raj i tem więcej raj, że mu brakło tylko—kobiety, tej istoty, której się znudzi i raj, kiedy w nim przebywa długo. W samym zamku rycerzy rodyjskich nie wolno było ani trzewikowi kobiety stanąć na chwilę... Po za warownią wolno było przebywać kobiecie i wolno było rycerzom wychodzić, nie codziennie, lecz dwa razy na tydzień, po za bramy, mosty zwodzone i palissady warowni. Ztąd powstało plemie, pełne sił i piękności, uczuć szlachetnych, waleczności i miłości do pracy.

W roku 1822 zakon został niespodzianie napadniętym przez tak przemocną siłę bissurmanów, ze strony morza i lądu jednocześnie, że się, pomimo cudów waleczności i wytrwałości, oprzeć niemógł, — musiał zawrzeć kapitulacyę z wrogiem, który jednakże tym razem, dowodzony przez samego sułtana Solemana II, rycerskiego monarchę, uszanował zaprzysiężone warunki i pozwolił ustąpić resztkom rycerskiego zakonu do Malty, gdzie istniał jeszcze prawie przez lat trzysta pod nazwiskiem rycerzy Maltańskich.

Ale biedne pozamurowe przyjaciółki rycerskich zakonników musiały uledz srogiej zmianie stosunków, a z ich młodych synów zrobiono eunuchów.

W kilka dni po oddaleniu się rycerzy, kiedy tłumy bissurmanów zajęły ogromną warownię, ta ostatnia wyskoczyła w powietrze z tak okropnym hukiem, że odgłos jego doszedł nietylko do Azyi, lecz i do Afryki.

Cztery tysiące bissurmanów ścięto, obwiniono jedną kobietę o podłożenie ognia do prochów, umyślnie zostawionych tu przez rycerzy w fundamentach centralnych. Zemścili się, zadając śmierć wszystkim, co tylko na wyspie żyli, starym i młodym, pozostali jedynie tylko mężczyzni i ludność chrześciańska byłaby zapewnie zupełnie wyginęła, gdyby się kobiety z wysp sąsiednich, a mianowicie z Jonii, nie były zdecydowały na wprowadzenie się tutaj w znacznej liczbie. Szczęściem że wszędzie indziej kobiet było daleko więcej niż mężczyzn, znaczy to osłabienie rassy ludzkiej.

Z okazałości dawnego Rodos pozostały jeszcze pewne szczątki, jak fronton dawnego kościoła, cały z marmuru różnokolorowego i najstaranniej rzeźbiony, lecz wszystkie rzeźby, zwłaszcza reprezentujące postacie ludzkie i aniołów, zostały porąbane wandalską siekierą, tak że się serce na ten widok kraje.

Na gruzach starego zamku, naprzeciw portu, zamkniętego dwoma skałami, sterczy turecka cytadella brzydkiej budowy, lecz dość mocna, jak mi się zdaje. Po obu stronach wejścia do portu, jak mówiłem, dość wązkiego, sterczą dwie opoki, na których miały niegdyś stać owe ogromne słupy kolossu. Teraz tu stoją baterye z działami. Za cytadellą na prawo i lewo dwie ulice rycerskie, a w nich jeszcze z kilkanaście owych zameczków i pałacyków, które, wyższym ze zbrojnego braterstwa, służyły za mieszkanie.

Napisy w różnych językach, najczęściej w starożytnem langwedogskiem lub prowansalskiem narzeczu, w łacińskiem, a nawet w gotycko niemieckiem. Herbów także, z koronami hrabiowskiemi i książęcemi, znajdzie jeszcze kilkanaście na tych domach, w których przebywali ludzie nawet z domów królewskich. Pod herbem książęcym Sabaudyi cztery litery F E R T mają oznaczać słowa: fortitudo ejus Rodum tulit, i odnosić się do jakiegoś z Emmanuelów, książąt Sabaudyi, który w XII wieku turkom Rodos odebrał. Ztąd i tytuł króla Jerozolimy, Cypru i Rodosu, który sobie dom Sabaudski nadał i który sam król Sardynii, nim został królem Włoskim, nosił. Dawny dom królewski Neapolu rościł sobie do tegoż samego tytułu

*

pretensye, i jeszcze nie opuszcza ich, lubo nigdzie już nie panuje.

Odwiedziliśmy klasztor poczciwych kapucynów dla napicia się szklanki jak najstarszego wina krajowego. Przyjęli nas gościnnie, poczęstowali chlebem, rozmaitemi owocami, zwłaszcza doskonałemi winogronami, a nawet daktylami tu zbieranemi. Te nie były szczególne. Palmy daktylowe rosną tu wprawdzie, dochodzą do znakomitej wysokości i grubości, lecz ich owoce nie odpowiadają piękności drzewa. Palmy goiwowe lepsze wydają owoce. Stary wytrawny Rodos smak ma i moc nie bardzo starej i szlachetnej madery, lepszy jest daleko od wina Cap-wine, zbieranego na przylądku Dobrej Nadziei, może dochodzić do wartości czterech franków za litr.

Pomiędzy kapucynami prawie tylko włosi i kilku hiszpanów, dowiadują się ciekawie, co się dzieje z kapucynami w reszcie świata i przewidują, że się świat bez nich obejść może.

Roślinność zdumiewa bujnością lecz nie bogactwem rodzajów, prawda, że rolnictwo wytępia wszystko, co człowiekowi służyć nie może za pokarm i lekarstwo. Zupełnie dzikich stron nie ma już tutaj, jednak trafiają się na górach i w kniejach jeszcze dziki, ale małej rassy, są to raczej zdziczałe swojskie prosięta, jednakże mają uszy sterczące, jak u dzika, a nie obwieszone. Poczęstowano nas szynkami z nich, nie są wcale wytworne, nasze warchlaki lepsze.

Pomiędzy włościanami i włościankami, które zresztą niemają prawa do słynienia z piękności, znalazłem dość wiele blondynek, miałożby to pochodzić jeszcze od obecności niemców pomiędzy rycerzami? I w Malcie wiele jeszcze blondynów między pospólstwem. Czyby z podobieństwa skutków, można wnioskować o podobieństwie przyczyn?

Wycieczkę po wyspie, która pomimo gorąca trwała przez cały dzień, i od rana do nocy, odbyłem w towarzystwie pana Stick, o którym dowiedziałem się dopiero teraz, że się sposobił na jednego z tych, tak częstych w Anglii, mianowicie w Londynie, kaznodziei ulicznych, wzywających na placach publicznych, w ogro-

dach, wszędzie gdzie tylko było miejsce i sposobność, bliźnich swych do rozpamiętywania ewangelii i do modlitwy.

Ubogim był bardzo, gdy się wziął do tego, mało świat znającym, lecz dobrze wychowanym, skromnym i najświętszym przejęty zapałem dla dzieła swojego. Naraz umiera jakaś daleka krewna, o której wcale nie wiedział, że jest bogatą i zapisuje mu 10,000 funtów szterlingów, to jest 250,000 franków. Zmieniło się nagle położenie jego, lecz serce się nie zmienia i jedzie on do Jerozolimy, by tam zaczerpnąć w odwiecznych zasobach ziemi i powietrza, przesiąkłych religijnością wyższego ducha, większej wiedzy, zabiera z sobą ogromne mnóstwo biblii i traktatów religijnych, uczy się języków, gdzie i jakich tylko może i całe swe życie poświęca rozkrzewianiu ewangelii. Zwyczajnie mało, bardzo mało mówi, a jednakże gdy go duch uniesie, (unosi go często), staje się prawdziwie wymownym i wówczas, lubo zwyczajnie nie jest pięknym, wygląda jak młody apostoł: oczy mu się zaiskrzają, rękę kurczą w sposób niezwykły, nadając twarzy kształt zupełnie inny, wzniośliejszy. Na żadnym człowieku nie wykazuje się więcej wpływ ducha na ciało, jak na tym: składa on się właściwie z dwóch ludzi: z jednego zwyczajnego, dobrego, lecz sztywnego jak jego nazwisko, i z drugiego natchnionego, niewiedzącego, że żyje ciałem jak inny człowiek.

Tu w Rodos, w ogrodzie kapucynów palnął nam godzinę trwające kazanie, mnie i innemu towarzyszowi grekowi, jadącemu objąć professurę starożytnego i nowożytnego greckiego języka, przy liceum Beyrutskim, i Azzimie, której kazałem się przebrać po męzku, aby mi mogła towarzyszyć w małych wycieczkach, tu i owdzie. Grek rozumiał doskonale po grecku i znał wszystkie języki europejskie, lecz biedna murzynka nie zrozumiała ani słowa, jednakże ani na chwilę nie usnęła, ciągle wlepiała oczy w *Santona*, w świętego, (takim go uznała) pocałowała go w rękę po kazaniu i dopiero po takowem usnęła u nóg moich snem bardzo sprawiedliwych, powtarzając przez sen razy kilka: dusza! dusza!

Kapucyni odgadywali dobrze, że tym murzynkiem jest murzynka, lecz patrzyli na to przez szpary, uśmiechając się; tyle razy im się zdarzało, że francuzice, wcale, nie wyglądające na mężczyzn, odwiedzały ich klasztory ubrane po męzku, lecz ich to wcale nie kusiło, bo francuzka bez waty po męzku, jest jeszcze mniej piękną, jak zwyczajnie, kiedy jest wypchaną i umalowaną, wyfiokowaną i gdy kokietuje każdą cząstką ciała.

Z murów starożytnych, świadczących o istnieniu dawnych świątyń i pomników w Rodos, nie znaleźliśmy nic, ale wiele ułamków starych marmurów znaleźliśmy w murach przez Turków stawianych; główny meczet prawie cały z takich wzniesiony, w fundamentach jego mają się znajdować kosztowności archeologiczne wielkiej ceny, może wkrótce ciekawi niemcy i anglicy będą odkopywać te fundamenta i odsłonią przyszłości nie jedną tajemnicę, a takim sposobem przepadną raz niezawodnie ślady panowania Turków.

Dopiero wieczorem wróciliśmy na statek, Azzima ma teraz więcej jak jednego protektora — umiała sobie zjednać serce młodego missionarza, który, mówiąc z nią zapomina czasem, że to kobieta, puch marny, *à little bit of corruption*, jak on nazywa niewiastę. Może dzieło ewangelizacyi pójdzie łatwiej z nim.

Nie jest pozbawioną pamięci, serca, moja młoda murzynka, z gałązek wierzby złotej, nic nie mówiąc splotła sobie spory koszyczek z pałąkiem, napełniła go najpiękniejszemi winogronami, figami, owemi małemi pomarańczami, zwanemi mandarynkami, różami, mimozą i cudnie woniejącą dioneą i podarowała to wszystko doktorowi Szostak.... Ten mały dar sprawił zatwardziałemu łotrzykowi żywą radość.

— „Patrz! patrz! takie czarne djablątko ma jednakże serce,— musiałeś jej podać tę myśl kolego...“

— „Bynajmniej, zaręczam Ci honorem — bynajmniej. Lecz gdzie jest dusza, tam się znajdzie wkrótce serce i pewna grzeczność naturalna. A tkwi tam wiele owego towaru, w tej czarnej skórze...“

— „A widać,—widać... Chciałbym ten koszyczek, z tem co zawiera, przesłać, jak jest, córce mojej,— teraz sobie przypominam jak jej na imię: Sophie,—po pol-

sku byłoby Zosia; dałbym dalibóg napoleona złotem, żeby te kwiatki i owoce były w jej rękach," westchnął pomimowolnie.

To westchnienie zwiastowało mi przebudzenie się jego serca. Później przebudziło się całkiem, i to jeszcze dzięki owej murzynce.

Ile to dobrego można wykonać przebudzeniem tkliwych uczuć w zaskorupiałem sercu!

Równo z nocą puszczamy się na otwarte morze, nieprzegrodzone żadnemi wyspami, powiew z północy tak mocny, że można rozpiąć żagle, powiew północny a jednak aromatyczny, bo przychodzi z Jonii, którą tracimy z oczu. Miło spocząć po takiem gorącu i po takim znoju. Noc przejdzie wkrótce, a po niej będziemy w porcie, w którym na pianie morskiej zawitała niegdyś Venus Aphrodyte, Venus strasznie lubieżna, by sobie kazać zbudować świątynię.

* * *

Jesteśmy w Famagusta, w najpiękniejszym z portów Cypru, bez zaprzeczenia jednej z wysp najpiękniejszych i wcale nie najmniejszych świata, gdyż przed kilku wiekami wyspa ta była osobnem królestwem. Obejmuje nie mniej jak 150 mil kwadratowych i liczy jeszcze przeszło 130,000 mieszkańców, a mogłaby wyżywić i żywiła cztery razy tyle. Dwa pasma gór przeżynają tę wyspę w kierunku krzyżowym i najwyższa z tych gór jest wysoką na 6,500 stóp, dziś się nazywa Monte-Croce, od wystawionego tu na gruzach starożytnéj świątyni kościoła greckiego. Wprzódy nazywała się Stauros, a w najdawniejszych czasach Olympem. I była Olympem, ta dziwna krzyżowa, często śniegiem, lecz najczęściej zielonością pokryta góra, zkąd się stacza mnóstwem źródeł rzeka Pedikos, w doliny, słynne od niepamiętnych czasów z nadzwyczajnej urodzajności. Tu stały niegdyś czarowne pałace ze złota i z drogich kamieni, w których mieszkał groźny Jupiter z dumną Junoną, z surową Minerwą, zawsze dziewicą i z wstydliwą Dianą, która długo pozostała

dziewicą, lecz nie wiecznie. Przychodziła tu czasem i Venera, lecz nie bardzo często, bo ją Olymp nudził: niewierna mężowi kulawemu, Wulkanowi, nie wierna kochankowi *en titre*, silnemu, lecz cokolwiek głupiemu Marsowi, wolała się wałęsać tu i owdzie i nie gardziła nawet prostymi śmiertelnymi, tak jak i ojciec jej, lubo mąż najpiękniejszej bogini, nie gardził pięknemi córkami ziemi i dla nich przemieniał się raz w buhaja, raz w łabędzia.

Tych bogów i te boginie wygnał Chrystus swoim krzyżem z Olympu, lecz tu się zakradają jeszcze czasem nocną porą, by płakać straconego berła. Tak przynajmniej utrzymują tutejsi górale poetyczni i zababonni, jak górale Tatrzańscy, którzy także wierzą w zaklętych starych bożków w Zakopanem.

Na wyspie Cypryjskiej rosną najpiękniejsze drzewa budulcowe w najbujniejszych lasach: cedr, modrzew, świerk, sosna, jodła, cyprys, dąb, buk, dziwnej wspaniałości orzeszyna włoska i polna. Cypr jest ojczyzną kalafiorów, które tu do dziś dnia dziko rosną w miesiącach zimowych i służą za dobry pokarm ludziom i zwierzętom. Palmy w dolinach, dęby i orzechy w górach, dochodzą do dziwnej wysokości, lecz daktyle i tu jeszcze miernej dobroci. W kopalniach znajdzie się: sól, marmur, żelazo, cynę, miedź, nawet cokolwiek srebra.

Głównym artykułem europejskiego handlu są słynne od czasów Noego wina cypryjskie, zwłaszcza z rozległych winnic Commandaryi. Wychodząc z pod prassy, to jest z pod nóg parobków, są czerwone, później dopiero, przez fermentacyę i w skutek ustania się, blednieją, lecz pozostają długo mętnemi, chociaż dla smaku są doskonałe. Zupełnie inaczej dzieje się z winami muszkatołowemi, słodkiemi, zwłaszcza temi, które są przeznaczone dla bogaczów świata. Te się obcinają i tłoczą w prassach hydraulicznych. Z razu są słabo żółtawe, z latami czerwienieją, niewiedzieć dla czego i przybierają coraz żywszą, piękniejszą barwę, — czego chemja jeszcze nie zdołała wytłómaczyć, tak jak nie potrafi dociec przyczyny zaczerwienienia się raków i przemiany barw kapusty sabaudzkiej, w różnych odczynnikach, lub barw kwiatu Jalappy dziwolączki.

Pan Seweryn Cybulski, mój kolega szkolny, syn zasłużonego półkownika, obywatela krakowskiego, ma tu w Famagusta handel wina. Ożenił się z Maronitką, to jest należącą do sekty chrześcian, która wierzy w naturę ludzką Chrystusa i wielbi Boga w sposób bardzo podobny do obrządku kalwińskiego. Niema w tej chwili pana Cybulskiego, pojechał z żoną aż do Krakowa, jak nam mówi teść jego, poważny Maronita, mówiący chętnie o Polsce, ojczyźnie świekra swojego, którą się od młodości niewie czemu zajmował, „zapewne dla tego, że w wyrokach Boskich było, żeby najukochańsza z córek jego poszła za Polaka.“

Maronici są tak pracowici, rzetelni i bogobojni jak Menonici, lecz są waleczniejsi, umieją bronić swego honoru, swych praw i swej ojczyzny, jak tego dali dowody na Libanie, broniąc się z dziwnem męztwem przeciw daleko liczniejszym Druzom, chciwym i srogim łupiezcom. Odszukamy Maronitów w Libanie i nauczymy się wielbić ich cnoty.

Dziwne są dzieje tej uroczej, nad wszystkie inne Śródziemnego morza, najpoetyczniejszej wyspy. Autochtonami, to jest pierwotnymi mieszkańcami tej wyspy mieli być owi genialni Fenicyanie, którzy wynaleźli szkło, purpurę, żagle, i po wszystkich pływali morzach Europy, aby wyszukać, co każdy kraj miał pięknego i dobrego. Dla tego też wieków temu prawie już cztery, przybyli do Baltyku, bo tam na brzegach kraju, w owe czasy przez Sławian zamieszkałego, znajdowali bursztyn, substancyę, wówczas cenioną na wartość złota.

Po wojnie trojańskiej, jedni Trojanie udali się na zachód, drudzy na wschód, wielu zas z nich osiadło w Cyprze, i ci, wierni podaniom erotycznym Parysa, wykradającego Helenę, rozpowszechnili tu cześć Wenery jaknajafrodytszej i najwyuzdańszej. Mnóstwo tu powstało miast nadbrzeżnych, bo liczne głębokie zatoki wkraczają w wyspę i tworzą wygodne porty, przystanie i rybołówcze wody. Salamis, Amatus, Paphos i inne, stanowiły tu udzielne państwa, rządzone przez książąt, którzy, zacząwszy się swarzyć pomiędzy sobą i dla uraz osobistych przelewając krew poddanych,

osłabili się nakoniec sami do tego stopnia, że oporu stawić nie mogli, połączywszy się razem, przeciwko egipskim najezdnikom, i wpadli w ich szpony, około roku 550 przed Chrystusem. W sto lat później Persowie wygnali Egipcyan i sami się tu osiedlili. Lecz później jeszcze, roku 331 przed Chrystusem, zjawił się tu, chciwy sławy i potęgi Aleksander Macedoński, zagarnął wyspę, przywrócił kult drogiej mu Wenery w Paphos, i inne greckie instytucye, i po częstych i gęstych libacyach uznał, że wino Cypryjskie jest najlepszem w świecie. Syn Filipa, sławianin z matki, jest również dobry, jak ojciec.

Po przedwczesnej śmierci młodego zdobywcy, Cypr przeszedł znowu pod rządy Egipcyan, aż nareszcie w roku 57 przed Chrystusem, Rzymianie odbili wyspę Egipcyanom. Po upadku Rzymu, Cypr rządził się przez czas niejaki samoistnie, potem wpadł w ręce Cesarzów Wschodu, nareszcie pod panowanie Bisurmanów, którym go wydarli Krzyżacy pod dowództwem Baldwina, późniejszego króla Jerozolimy. Zięć tego, Gwido de Lasignan, prosty szlachcic Poiteweński został królem Cypru r. 1192 i do roku 1473 wyspa pozostawała pod rządem królów z tejże samej rodziny, czyli dynastyi. W roku 1485 pozyskali ją chciwi Wenecyanie, groźbą i za pieniądze, od niezamężnej królowej Sybilli de Lasignan, która się przeniosła do Wenecyi, by się tam bawić i tak się dobrze i szumnie bawiła, że, nim się zestarzała, wszystkie swe zasoby i kredyt u kupców weneckich postradała. Doszła do tego stopnia degradacyi czy majątkowej, czy moralnej, że się (jak to wiemy z historyi, z poezyi i z muzyki), bogatym rozpustnikom za brylanty, w sposób zgodniejszy z jej temperamentem, niż z jej przeszłą godnością — sprzedawała. Przecież stała się przysłowiową w Wenecyi i w świecie.

Cypr tymczasem był rządzonym przez kupców, ale umiejętnie, lecz ułakomił się Turek na tę wyspę i częstsze na nią wyprawiał polowania. Po walecznej, pamiętnej obronie Marka Antoniego Bagradino, uległ Cypr i wpadł w ręce Turków w roku 1571.

Francya starała się w roku 1628 zdobyć tę piękną wyspę dla nieszczęśliwych, Boga szczerze i prosto

kochających, moralnych, pracowitych, światu za przykład pod wszystkiemi względami służyć mogących Hugonotów, — których się pozbyć chciała, niepomna, że Hugonotowi, Henrykowi IV, winna była całą świetność. Lecz zabiegi Francyi tak były niedołężnie poczęte i wykonane, że jej plany spełzły bez skutku. Przez lat ośm, od r. 1832 do 1840, Cypr należał jeszcze raz do Egiptu,— lecz wrócił pod panowanie Turków, pod którym — jęczy tak, jak wszystkie posiadłości chrześcijańskie Turków.

Nie wszyscy członkowie familii Lasignan wymarli, jeden z nich siedzi na tronie — księztwa Monaco, a za niego bank trzyma — pan Blanc, szczęśliwy teść świetnego księcia Radziwiłła, spokrewnionego z najwyższemi osobami Europy i świata. San de Mas Latrie w swej Historyi Cypru pod panowaniem Lasignanów (Paryż, 1862) obznajmia nas z interessującemi epizodami dziejów tego kraju, z którym się rozstać niemożna, bez życzenia chrystyanizmowi ostatecznego tryumfu. Niedługo nań zapewne będą czekać. Lecz komu ten mały raj wpadnie w ręce?

Niestety, w tym małym raju miałem doznać cierpień. Wskakując z wysokiego mostu portowego, w kołyszącej się, na powierzchni dość wzburzonej fali łodzi, wywichnąłem sobie stopę w sposób bardzo bolesny. Już to nie pierwsze zwichnięcie tejże samej stopy, ból jednakże był okrutny i niemało miałem biedy przy wsiadaniu na okręt, którego drabina była długa, łódź zaś miotana falą. Niemało wzruszona tem była Azzima. Wziąłem natychmiast bardzo zimną kąpiel na statku, i już ze spuchłą stopą położyć się musiałem z owiniętą zimnemi szmatami nogą, by zapobiedz dalszemu zapaleniu, pochodzącemu z zerwanego ściągu, lub przynajmniej ligamentu. Otóż jestem inwalidem na jaki tydzień przynajmniej,— gdzie mam teraz odbyć te inwalidostwo w Bejrut, czy w Jaffie? W Bejrut przyjemniej, jest to miasto bardzo interesujące, lecz do Jaffy już moje i Azzimy miejsce zapłacone Zobaczymy w jakim się znajdować będziesz stanie jutro rano, jeżeli nie pójdzie znacznie lepiej, to pozostań w Bejrut, gdzie od dawna osiedlony nasz ziomek Dr Domag....., ja ci

każę zwrócić cenę miejsc, zwłaszcza, że całego przypadku winą jest nasz pijany majtek, który prowadził łódź przewozową,—rzekł kapitan.

Minęła noc w boleściach. Trzeba było pijawki postawić i dla tego przewieźć się kazać do miasta Bejrut, w którego port już zawinęliśmy.

Nie było innej rady. Zwrócono nam cenę miejsc. Pan Stitz tak się do mnie przywiązał, że opuścił już zapłacone swe pierwsze miejsce, i chciał mnie pielęgnować, podczas mojego pobytu w Bejrut. Musiałem się zgodzić na przystawienie piętnastu pijawek na stopę, u stóp Libanu. Stanąłem w hoteliku po za miastem, wśród ogrodu, na brzegu pluskającego morza, z widokiem na góry Libanu i na obszar ogromny kraju przynajmniej wzdłuż i wszerz dwadzieścia mil kwadratowych zawierającego; tysiące willi, domów i chałup wyziera z po za drzew i krzewów tej dziwnie równej, pochyłej, pnącej się w górę wolno, wolno, ale ciągle, aż do wysokości dziewięciu tysięcy stóp krainy. Wstęgami wyciągniętemi i krętemi wód, spadających lub płynących, przecięte te szmaragdowe pola, winnice, ogrody i lasy, w których milion pasie się krów, owiec, baranów i koni, kryje się drugi miljon zwierzyny wszelkiego rodzaju, zwłaszcza zajęcy, tu nadzwyczaj tanich.

Pełno życia w ogrodzie naszego hotelu, trzymanego przez jakiegoś młodego, ale poważnie wyglądającego, wielu językami nieźle mówiącego, Araba. Pasie się tam i igra kilka antylop Libanu, tak przedziwnie ładnych i łaskawych, a w budzie leży na uwięzi ogromna, dzika, złośliwa hyena, niedawno ranna i złapana. Wylizała się z rany, dobrze wygląda, bo dobrze jest żywioną, lecz gdy tylko zoczy nasze miłe antylopy, wyje okropnie i targa się na dwóch łańcuchach, któremi przytwierdzona. Takby je chętnie rozszarpała i pożarła! Pochodzi także z Libanu, nie jest tak wielką jak afrykańska, lecz daleko dziksza, zwłaszcza śmielsza, rzuca się na konia nawet kiedy człowiek jest na nim. Barwę ma sieraczkowojasną, a na niej pasy czarne, spadające z grzbietu na brzuch, ogon długi jak lisi i prawie tak włosisty. Wejrzenie jej jest okropne, nos ma szeroki, w środku roz-

łupany i takąż wargę u bardzo szerokiego pyska. Stworzenie to wzbudza w najśmielszym trwogę, i najlepszy człowiek chętnieby w łeb strzelił takiej złośliwej, straszliwie silnej bestyi, która oderwać się może łatwo od łańcucha i roznieść trwogę na całe miasto. Lecz Arab spekuluje na jakiego bogatego cudzoziemca, który mu ją drogo zapłaci.

Niebawem raczył mnie odwiedzić kolega doktór Domag..... któremu posłałem list od doktora Szost...., parę butelek najlepszego wina cypryjskiego i zaprosiny, by okaleczonego ziomka odwiedził.

Przyjechał na pysznym arabskim koniu i poznał wemnie dawnego kolegę z wojska. Był starszym odemnie i służył podemną, lecz umiejętniej prowadził łódź życia swojego. Zaraz po ukończeniu nauk lekarskich w Paryżu, udał się do Beyrut, wówczas przez Mehmeda-Ali zajętego i zdobył sobie piękne stanowisko w jego wojsku. Przetrwał w tem położeniu bombardowanie miasta w r. 1840 przez flotę angielsko-austryacko-turecką i był nawet lekko rannym. Żądał dymisyi, dostał ją i pozostał w mieście, oddając się praktyce cywilnej. Wzniósł się bardzo prędko w opinji publiczności, i ożenił się z niemłodą, lecz bardzo wykształconą i bogatą angielką, córką konsula. Kupił domy, ogrody, wille, pola, i sprowadził młodszego brata z kraju, który mu tu prowadzi nader umiejętnie znaczne gospodarstwo. Uznanym jest zą najlepszego lekarza miasta i sławnym w całej okolicy Libanu, który ciągle objeżdża jako lekarz; mówią, że niezmiernie bogaty, lecz dzieci niema i młodszy brat już się dobrze starzeje, a także o żenieniu się ani myślał, ani też myśleć będzie, zresztą i schłopiał. Nudzi się wszędzie, gdzie niema jego roli i jego wołów, z żoną brata nigdy rozmówić się nie może, bo nie umie ani po angielsku, ani po francuzku.

Doktór przyjechał, znalazł Anglika i murzynkę obok mnie, a jedenaście pijawek na mnie. Wysoki, chudy, wyraziztych i trochę surowych rysów twarzy, człowiek, który się przyzwyczaił rozkazywać, — ale zupełny gentleman, przywykły do dobrego towarzystwa. Trochę mu przychodzi trudno mówić poprawną pol-

szczyzną. Rozpowiadam mu wszystko, przedstawiam Anglika. Od tej chwili mówi po angielsku, prawie bardzo dobrze.

Potem chce wiedzieć, co to za murzynka pozostająca zemną w tak poufałych stosunkach. Opowiadam mu wszystko, on ciekawie słucha, a gdym skończył, wykrzykuje:

— Na to już potrzeba prawdziwego szaleńca, żeby, znajdując się w położeniu, w którym się znajdujesz, obarczać się losem czarnej suchotnicy!

— Na to potrzeba lekarza, który jest prawdziwym chrześcianinem,—odpowiem.

— I mnie się zdaje, że jestem chrześcianinem, a to przynajmniej tak mi zaręcza żona, która się najlepiej na tem znać musi, naprzód dla tego, że jest misjonarką Towarzystwa biblijnego, a potem, że jest moją żoną,—lecz za nic w świecie niechciałbym mieć suchotnicy w domu, alboż mi ich to braknie w praktyce? setki tego mam w górach i w dolinach, w mieście i na wsi. Widać że ci trzeba pacyentów w domu, bo ich nie masz za domem,—rzecze Doktór pozytywista.

— Istotnie, tak przywykłem do towarzystwa chorych, że bez nich żyć nie mogę: muszę mieć coś do pielęgnowania.

— De gustibus non est disputandum: jakieś bardzo dobre serce musicie mieć w kraju. Ale zobaczmy tę nogę.

Obejrzał, obmacał, narobił mi bólu i rzekł:

— Tu jest więcej jak proste zwichnięcie, tu jest odłupanie wstawu, — to rzecz długa, ani możesz myśleć o robieniu wycieczek pieszych w tym roku, i leczyć się musisz na seryo, żebyś na całą resztę życia nie zachował osłabienia w nodze i nie przywabił sobie jeszcze reumatyzmu, podagry, elefantyazy, panującej w tym kraju, mianowicie tam dalej w Palestynie. Rzecz ważna!

— Tak mi się zdaje, — będę się starał o położenie sedentarne w Jerozolimie, umiem się bawić w pracę uciążliwą: napisałem do stu tomów w lat siedem.

— Szczęść Boże ja nie napisałem ani jednego w całym życiu.—Ależ—cóż to za bestya wyje?—krzyknie, patrząc w okno.

Spostrzegł ogromną hyenę, odwrócił się i rzecze:

— Widzę, że tu masz dubeltówkę—czy nabita?

— Nie jest nabitą, ale oto ładunki, jest to strzelba Missié, nabija się z tyłu.

Nabił ją Doktór, obznajmiony z wszelką bronią, zbliżył się do okna, zamierzył—wystrzelił. Hyena wyjąc runęła na ziemię i wyć przestała — kula wpadła w piersi i pękła wewnątrz ciała.

Ale za to wył Arab, i wyjąc wpadł do pokoju, blady z gniewu jak trup. Zoczywszy doktora, ochłonął natychmiast z gniewu.

— Hassan, jak ty śmiesz trzymać tak niebezpieczną bestyę tu w ogrodzie? niewiesz, że hyena wściec się może z gniewu i ze złości sama z siebie, tak jak i pies? Bądź zadowolony, że cię nikt nie oskarżył przed Baszą, byłbyś zapłacił tysiąc piastrów kary i dostał jeszcze dobrą bastonadę na pocieszenie. Ruszaj!

Arab wyszedł i już nie było mowy o nieboszczce hyenie, jej było dobrze, a nam lepiej.

Wychodząc Doktór Domag.... rzekł:

— Ja muszę jechać na całą noc w góry, lecz ręczę, że moja żona, usłyszawszy odemnie, com tu widział, będzie cię chciała odwiedzić tego wieczora. Zechcesz ją przyjąć?

— Wielki to będzie zaszczyt dla mnie, ależ wiem że twoja żona jest wielką panią, a ja tutaj jestem tak licho urządzonym....

— Newer mind— moja żona jest istotnie wielką panią, lecz zarazem szczerą, serdeczną missionarką i zainteresuje się mocno twoją wychowanką i Tobą także...

Stanąwszy w dziedzińcu, dokąd był odprowadzonym przez pana Stick, doktór rzekł do gospodarza:

— Hassan, biegaj natychmiast do oprawcy, każ zdjąć skórę z tej hyeny i wypchać ją starannie, według prawideł sztuki z otwartą na roścież paszczą, potrzebna mi do mego gabinetu. Za to będę cię leczył zadarmo, aż do końca roku.

— A jeśli nie zachoruję wcale, Jaśnie Panie? — spytał Hassan z pokorą.

— To czysty zysk dla ciebie, niebędziesz płacił za lekarstwa,— rzekł doktór, wsiadł na konia i puścił się galopem.

Hassan poskrobał się w wygoloną głowę i kiwał się smętnie. Potem mi powiedział:

— To pan tak podufale żyje z Hakim-Baszą?

— To mój bardzo dawny znajomy, kolega i przyjaciel — odpowiem.

— To wielki pan, to bardzo wielki pan, —on tak żyje z Baszą jak brat, nikt tak blizko nie żyje z Baszą, jak on. On mu leczy żony, córki, synów, służebnice — całą rodzinę, i broni ich od śmierci, dzielnie i szczęśliwie. A jak on mieszka? jak on mieszka? cały dom postawił z ciosanego kamienia i z cedru, cały dom pachnie jak perfumy i zawsze tak pachnąć będzie.

— Aż się spali—tak jak wszystkie wasze domy?

— On się nie może nigdy spalić, bo w środku domu stoi wysoka wieża, a na jej szczycie wielki rezerwuar, zawsze napełniony wodą, i w każdym pokoju kommunikacya z rezerwoarem. On tak wszystko urządza mądrze, że go podziwiają we wszystkiem, co robi i co czyni. Ogrody zaś ma jak żaden człowiek w świecie, nawet i Padiszach. Najpiękniejsze kwiaty i owoce, a wszystkie drogi, drożki, ścieżki wybrukowane małemi, różnokolorowemi politurowanemi kamyczkami, ułożonemi w wielkie róże, tulipany, lilie i inne kwiaty. Szczęśliwy ten, co na to patrzeć może często, ja to widziałem razy kilka z blizka. To jego brat brukuje mu te drogi: trzy lata spędził na kolanach. jak bydle.

— Cóż po takim szczęściu, kiedy nie ma owych latających kwiatów—dzieci.

— No, to prawda,—Ałłah mu tego odmówił, i ja jemu nie zazdroszczę. Czemu on sobie nie przybierze drugiej żony, albo dwie razem? jego stać na to,— on bardzo bogaty, a komu zostawi majątek? bratu? — który już także niemłody i nie dba o kobietę. Ale może on się boi swej żony, bo bardzo zazdrosna. Żeby on chciał, to bym ja mógł zostać sędzią pokoju, on tylko potrzebuje szepnąć Baszy, że ja bardzo sprawiedliwy i nigdy nie oszukuję.

— No,—on to szepnie, on to bardzo szepnie Baszy, jak się przekona, że ty panie, nie mylisz się w rachunkach z nami.

— No,—niech on jaknajbardziej jemu to szepnie, a ja bez żadnego zysku zadawalniać się będę, — zaręczał Hassan.

— Dobrze,— będziemy robili rachunki codzień,— a za tydzień to on zacznie szeptać.

— Allah bismillah!— Doktór-Effendy nem imen uldam! Boże wszechmogący, — ten Doktór-Pan także nie głupi!—rzecze Hassan i bieży po oprawcę.

* * *

Mister Stick bierze lekcye u murzynki, ja zaś skazany na bezczynność, nim zbiorę myśli i zacznę pisać, wlepiam oczy w to cudne pasmo gór Libanu, którego prawie każda piędź rodzi coś pożytecznego. Dżebel Makemt jest z tych gór najwyższą,— dochodzi do 9000 stóp, a zatem do wysokości Krępaku karpackiego. W pobliżu tej góry znajdują się szczątki sławnych i wspaniałych lasów cedrowych, wytrzebianych tak nielitościwie przez Salomona, dla postawienia swej świątyni i swych rozlicznych pałaców, z których prawie ani śladu nie pozostało.

Widzę, że na teraz z woli nieubłaganego losu muszę się zrzec lubej nadziei zwiedzenia tych miejsc, zwiedzenia szczątków Baal-lecku, tej sławnej świątyni słońca, długiej na trzecią część wiorsty, a szerokiej na piątą część. Kamienie, z których ją postawiono, i które jeszcze pozostały nieroztłuczone, są długie na stóp 30, na dziesięć wysokie i szerokie; nie małe to cegiełki. Czterdzieści tysięcy takich wskład wchodziło budowli, a z nich pozostało tylko całych siedemnaście, tyle tylko, ile owych olbrzymich lednów z czasów Salomona. Nie tyle mi szło o sprawdzenie tego, ile mi idzie o poznanie się z Druzami, Maronitami i Anzarykami, zamieszkującemi te góry i doliny.

Owe żywe wody, spadające z gór, zadziwiały żydów i opiewane były przez samego Salomona, patrzą-

cego ze zgrozą na wyschłą Judeę, w której płyną tylko czasem rzeki.

Jedna z tych rzek, Nar el Damuhr, dawniej zwana Tamyras, wpada niedaleko od hotelu naszego do morza śmiałym pędem, lecz rozdwaja się i bije silnie o wielki monolit, na którym się wznosi mała latarnia morska. Z drugiej strony rzeki stoi chatka z trzciny, a przed nią jakiś bardzo sędziwy arab z śnieżną brodą pali fajkę i pilnuje kilkanaście dzieci, które igrają na brzegu rzeki w stanie niewinnej natury, kąpią się raz w morzu, raz w słodkich wodach i znów w gorącym piasku, jak im przyjdzie na myśl. Dalej siedzi i krzyczy kilku Beduinów, ubranych w łachmaniaste burnusy i ich żony w stroju bardzo niedbałym. Myślałbyś, że to żebracy, ależ oni mają klacz, za którą hrabia Dzieduszycki ofiaruje 60,000 franków w dobrem złocie, oni zaś przystać na to nie chcą, wolą umierać z głodu i głodzą się. Dumnie na nich spogląda Metualis w złotym haftowanym kaftanie, uzbrojony w kindżały i pistolety, świecące także złotem i chciwe rzuca spojrzenie na klacz, która się pasie pomiędzy leandrami. On zna tego zwierzęcia doskonałości, wie że jest jednym z najpiękniejszych całego kraju, i przemyśliwa, jakim by mógł sposobem świsnąć je dla Paszy, który chciałby je nabyć, nie wydając grosza. Lecz Beduini pilnują—wiedzą co im grozi, a jeden z nich rzuca się na nie i ulata w góry. Wszystko to mi tłómaczy brat Hassana, młodzieniec szesnastoletni, ale już wysoki, silny i mądry.

Mówią tu z swobodą o zdzierstwie i złej wierze Baszów, tak, jakby te należały do ich charakterystyki: ex ungue cognosce leonem.

Dzebel-Liban znaczy w języku arabskim góra śnieżna, lecz w tej chwili zaledwie czuby dwóch gór są pokryte śniegiem, zaraz pod niemi zaczyna się zielona roślinność, ziemia, urodzajna tu, niespłynęła jeszcze całkiem w doliny, ludzie tu bowiem przezorniejsi, nie wydrzewiają gór, jak to zrobili niedbali o przyszłość rodu swego żydzi w Palestynie, i jak to robią dziś jeszcze w Europie nawet Niemcy, zwłaszcza na górach nad Dunajem. A nawet w Szwajcaryi już obe-

cne pokolenie opłakuje niedbałość przeszłych w utrzymywaniu wegetacyi na górach.

Tutaj jakoś mędrzej postępowali sobie ludzie — wyższy rozum tu musiał od lat niepamiętnych i do dziś dnia przewodniczyć działaniom ludzkim. Tu poznałem, że Arab wcale nie jest Turkiem, lubo tęż samą wyznaje religię.

Turek wziął z Koranu wszystko złe: wiarę w przeznaczenie, niedbałość, duch zaborczy, sprosność. Arab zaś wziął ztamtąd co jest dobrego: pracowitość, oględność, spokojność, wiarę w usilność ludzką. Wielka różnica pomiędzy jednemi a drugiemi, a co do zdolności umysłowych, to otchłań ich odróżnia: ten młody Arab, syn Hassana, mówi i pisze dość poprawnie po francuzku i po włosku, angielski język jako tako rozumie, a po arabsku, zaręcza ojciec, że tyle umie, iżby mógł jnż dzisiaj być Emy-Kady, to jest podsędkiem.

Przypatrzyłem się górom i horyzontowi południowemu, za którym leży, raczej za pagórkami jak za górami, Fenicya, kraina tajemnicza, niegdyś zamieszkała przez Fenicyan, a dziś przez plemiona różnorodne, różnoplemienne. Chciałem się przypatrzeć horyzontowi północnemu. Między nim, a mną leży miasto Bejrut,—lecz jakże tu patrzeć przez drzwi zawarte, prowadzące do pokoju, w którym mieszka jakiś młody Irlandczyk, bardzo złego humoru? Śpi w dzień, wychodzi wieczorem, by grać i pić przez noc całą, przychodzi do domu rano zawsze pijany i prawie zawsze z grubym groszem, który wygrał, zapewnie od oficerów marynarki statku wojennego amerykańskiego, stojącego w porcie, i spi potem przez dzień cały, zasłoniwszy starannie okna. Dziś zbudził go wystrzał, który, z mojego pokoju wymierzony, zabił hyenę: hałasuje, pyta się jak i co, dowiaduje się na połowę prawdy, to go nie pociesza, pragnie widzieć się ze mną, przypuszczam go do obecności mojej.

Wchodzi— wysoki, przystojny mężczyzna, poznaję go pomimo, że teraz wąsy nosi, a wprzódy ich niemiał i wykrzykuję:

— Porucznik Robinson!

*

On mnie poznaje i krzyczy:

— Doktór T. T.! oh! Jak się masz? Oh! widzę, żeś chory. A ja wystaw sobie, przyszedłem, żeby ci gardło poderznąć.

— Ja zaś czekałem ciebie, żeby ci w łeb strzelić—ot, widzisz fuzyę, nabita kulką eksplodującą wynalazku pana Minie.

— Ja właśnie za to, żeś mnie zbudził ze snu twoim wystrzałem.

— A ja właśnie dla tego, żebyś mi nie poderznął gardła.

— Niewiedziałem, że to ty, kochany Doktorze.

— I ja niewiedziałem że ty, kochany poruczniku.

— Jestem już kapitanem, - melduję się.

— Pozostałem zawsze Doktorem, lecz dla czego tu uchodzisz za pana O'Saberdach?

— Ah, to cała historya—powiem ci to innym razem,—i cożeś zrobił w tych ostatnich dwóch latach?

— Leczyłem i pisałem;—a ty co robiłeś?

— Siedziałem w kozie, uczyłem się grać w karty i zapuszczałem wąsy.

— Gdzie i za co siedziałeś w kozie?

— Za długi w Londynie,ojciec zapłacił, all right!

— Słuchaj przyjacielu: wiem że się co noc haniebnie upijasz i że grywasz w karty, musisz mi wytłómaczyć, dla czego grasz pod cudzym nazwiskiem z poczciwemi ludźmi, inaczej nie mogę przestawać z tobą, to jest moje ultimatum.

— Zounds! nauczyłeś się mówić po amerykańsku, chociażeś nigdy nie był w Ameryce.

— Czytałem nie jedno o was.

— W gruncie rzeczy masz szłuszność, masz matematyczną słuszność. Oto,—ale to pomiędzy nami,—kocham się na zabój w córce kapitana okrętu, który ścierpieć nie może Amerykanów, i dla tego gram, żeby mieć powód do chodzenia na okręt, żeby ją widzieć. Ona wie, kim jestem. Gram, jak człowiek niedbający o wygranę; im mniej o nią dbam, tem więcej wygrywam — oto rzecz cała. Jesteś teraz zadowolonym? Z resztą mogę cię zapewnić, że ją kocham nie dla pieniędzy,—ona ma trzech braci i jest prawie bez posagu,

ja jestem teraz bogatym, stryj mój umarł i pozostawił mi wiele gruntu i wiele pieniędzy. Jesteś teraz zadowolonym?

— All right, captain: w miłosnych interesach jestem bardzo wybaczającym.

— Więc mogę żyć z tobą poufale, jak przedtem żyłem?

— Możesz.

— Więc żyjmy, i to natychmiast. Widzę, że jestes w jakimś położeniu wyjątkowem, że cię spotkało jakieś nieszczęście, w którem człowiek bez ubliżenia sobie może zażądać pomocy od przyjaciela. Mogę ci być w czemściś pomocnym?

— Istotnie jestem w położeniu wyjątkowem z powodu wywinięcia sobie nogi i to mój wyjazd opóźnia, czekają mnie bowiem w Jerozolimie, gdzie mam objąć dyrekcyę szpitala. W tej chwili idzie tylko o to, żebym się jaknajmniej nudził. Słyszę, że pokój przyległy, w którym nie mieszkasz nigdy podczas nocy, a śpisz zawsze w dzień, jest jak belweder, że ma widok na trzy strony, i z jednej strony balkon, tak, że można z niego widzieć, co się i w czwatej dzieje stronie. Oto odstąp mi tego pokoju, tobie wszystko jedno, gdzie w dzień przebywasz, śpiąc, a tu jest tyle innych pokoi niezajętych.

— Z największą chęcią, — pojmuję że cię trapi ciekawość patrzenia na miasto i na morze, na które widoku ztąd niema. Każ z twojej strony otworzyć drzwi, już je niezwłocznie z mej strony otwieram.

Mogłem się natychmiast do belwederowej przeprowadzić izby. Robinson zaś pomieścił się gdzieindziej i potem wrócił spytać mnie, czy w czem innem ważniejszem nie może mi być pomocnym?

— Może się znajdujesz w jakim ambarasie finansowym? Posiadam w tej chwili daleko więcej, niż mi potrzeba, jestem w wenie szczęścia.

— Nie trwa ona nigdy długo, kto gra, ten wygrywa, a potem przegrywa. Dziękuję ci,— nie jestem jeszcze w potrzebie, jeszczem się nie wyszeptał z grosza. Ale powiedz mi, gdzie zdążałeś?

— Także do Jerozolimy, ale przybywszy do Beirut, spotkałem tu niespodzianie zaraz na wstępie pannę, która pięć lat temu, będąc jeszcze dzieckiem, niczem niezatarte na mnie wywarła wrażenie. Okręt wojenny angielski, którego jej ojciec jest kapitanem, znajduje się t taj na stacyi, — jest on, jak mówiłem, Irlandczykiem, a nawet katolikiem i niecierpi Amerykanów. Przybrałem tedy nazwisko irlandzkie, by wejść z nim w stosunki, a że namiętnie lubi grać, i ja gram wspaniale, jak prawdziwy gentleman grać powinien, więc wszedłem z nim, pod zasłoną nazwiska i narodowości, w zażyłość.

— A jak się dowie, kim jesteś, to ci gotów w łeb strzelić.

— Będę mężem jego córki, nim się dowie, ona wie kim jestem i wszystko się skończy wkrótce, mam jej przyzwolenie.

— Szczęść ci Boże, — istotnie, żenić się za pozwoleniem ojców i matek, to zbyt prozaicznie.

— Tak się żenią szewcy, krawcy i kramarze, ale nie kapitanowie wojska Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej: nam potrzeba niezwykłości we wszystkiem. Ale,—raz zbudzony w dzień, nie mogę usnąć więcej,— a dziś Sobota, więc się gra tylko aż do północy, dla tego, że jutro Niedziela: tak chce królowa Anglii, żeby nie profanować dnia Boskiego, i tu trzeba się tego trzymać ściśle.

Tego Robinsona, który w niczem nie był podobnym do Robinsona-Crusoe, prócz w nieposłuszeństwie względem ojca, znałem od lat pięciu czy sześciu, jeszcze w Hiszpanii, potem widywałem go w Paryżu, nakoniec nawet i w Warszawie, podczas przejazdu do Petersburga: najlepszy człowiek w świecie, tylko szaławiła jak wszyscy młodzi, którzy mają odwagę, siłę, pieniądze, ciekawość i pragną się bawić. Takim ludziom świat cały wybacza wybryki, i ja też wybaczyć muszę; zresztą nie mam potrzeby mięszania się do tej sprawy miłosnej; ani go się pytać będę o szczegóły.

* * *

Spoglądam teraz z mego belwederu, z frontu, na północ, z boków, na wschód i zachód.

Żaden ze świetnych, czytanych przezemnie dotąd, opisów Beyrutu nie zdoła dać wyobrażenia o tej wspaniałości piętrzącego się w górę miasta, o tej obszernej przystani, wyżłobionej przez naturę w ziemi, o tych wysokich, tak blizkich górach, które, zachodzące już prawie, słońce pokrywa cieniem fioletowym, a zwłaszcza o tym lesie wysokich drzew, między któremi spoczywają domy Beyrutu. Trudno powiedzieć, czy Beyrut jest miastem, czy też olbrzymim ogrodem: domy tu są porosłe palmami, a gaje pomarańczowe przerosłe minaretami; atmosfera jest przesiąkła wonią kwiatów, i zarazem śpiewem miliona ptaków, gnieżdżących się w najwyższych palmach i na nizkich krzewach, jak do rodzaju ptaka.

Prawie niesposób oprzeć się oczarowaniu. Teraz pojmuję Mahometa, który, zbliżając się do Beyrutu, i spoglądając z owego pagórka, krzyknął:

— To jest raj,—ja niechcę mieć więcej, niż jeden raj, a mój jest daleko ztąd na wschodzie.

I zwrócił konia ku wschodowi, i nie był w Beyrucie, powrócił do swojego jedynego raju, do Mekki, gdzie nań czekała Fatima, której pozostał zawsze wiernym, chociaż była starszą od niego i chociaż ustanowił wielożeństwo.

Napoleon zupełnie inaczej postąpił, zabronił rozwodu w swoim kodeksie i wkrótce potem rozwiódł się ze swą Józefiną.

Raczyła mnie odwiedzić pani Doktorowa ze swym szwagrem, panem Bronisławem.

Była to w istocie wielka dama pod wszystkiemi względami, pod względem ułożenia, bogactwa i wzrostu. Lecz jej pełna godności serdeczność wyrównywała szlachetności jej postawy i wzięcia się. Wielce się zainteresowała Azzimą i mnóstwo jej zadała pytań w tureckim języku, którym przemawiała jaknajbieglej, będąc od małego dziecięcia wychowaną na wscho-

dzie. Murzynka odpowiadała z czarującą swobodą i naiwnością, śmiało i mądrze, tak, że sobie tem zyskała względy pani Doktorowej, która potem, poduczywszy się dość dobrze medycyny, w tak długim piętnastoletnim pożyciu z dobrym, chętnie żonie wszystko tłómaczącym doktorem, wypytywała się pacyentki o szczegóły, tyczące się zdrowia i nawet ją wypukała i obsłuchała stetoskopem, i to najsumieniej.

— To też było i jest mojem jedynem szczęściem na tym świecie: dobrzy mnie kochali, lecz źli nie nawidzili okropnie.

Boś im zapewnie ich błędy wytykał?

— Wytykałem, ale serdecznie, — gryzłem, lecz gryzłem sercem, jak mówi nasz dzielny poeta Słowacki.

— A oni cię za to na dobre pokąsali zębami, odpowie smiejąc się doktorowa

— Wie pani coś o tem?

— Wiem wszystko, opowiadał nam hr. Dzied....

— Zdaje się panu, że ją wyleczysz? – spyta doktorowa tkliwie, prawie ze łzą w oku.

— Niewiem, — lecz czuję, że ją zyskam dla wieczności, odpowiem, także do żywego tknięty.

— Połączmy nasze siły, rzecze, podając mi rękę, pani Domagalska.

Pakt został zawarty.

Potem doktorowa rozmawiała bardzo łaskawie z panem Stick, który także zyskał jej szacunek.

— To musisz jednakże przyznać, że masz szczęście do ludzi, kiedy w tak krótkim czasie potrafiłeś sobie zjednać dwa tak poczciwe serca, powie mi doktorowa.

Wiem wiele rzeczy o tobie. Galicya ci niezapomni twojej kobiety z głową, która, chcąc zapobiedz nieszczęściu swej córki, idzie za jej narzeczonego.

— Ale tak było w istocie.

— Tem ci gorzej, ludzie się najwięcej gniewają za prawdę.

— Nie jednego poprawiłem człowieka tym karcącym małym utworem, spisanym w dziesięć dni zupełnie, sine ira et studio.

— Ale za to cierpieć będziesz lat dziesięć, dobrze sobie okupisz przyjemność wytykania błędów.

— Więc zapewnie nie powinienem wiele liczyć na odwiedziny pana hrabi.

— Zupełnie nie, — chciałby cię widzieć, lecz nie chciałby być słyszanym ani widzianym przez ciebie, z obawy, byś go nie wsadził w jaką powieść. Ta kobieta z głową jest przecież jego krewną, powinna się gniewać na ciebie.

— On powinienby nawet wyzwać mnie na pojedynek, ja go jednak wsadzę w książkę, opisując podróże, które teraz odbywam.

— A to z powodu czego?

— Z powodu klaczy, za którą ofiaruje 65,000 franków, z tylu pieniędzy nie powinien ogałacać tak ubogiego kraju, jakim jest teraz Galicya.

— Któż ci o tem powiedział Doktorze? przecież nie mój mąż?

— Widziałem klacz, jej właściciela, jego żony i dzieci, — Doktór nie wspomniał mi o tem ani słowa.

— Ja jestem przeciwną temu kupnu, — cóż płaskiej, grubo ziemistej Galicyi po koniach poprawnej rassy?

— Zwłaszcza gdy mamy własną, także bardzo piękną.

Pani Doma.... kazała przynieść z sobą samowarek rossyjski, który mi ofiarowała w podarunku, jej zaś szwagier nauczył murzynkę, jak go ma nastawiać. Przyniesiono herbatę, cukier, arak i zrobiono herbatę. Spędziliśmy wieczór zupełnie po europejsku i bardzo mile. Opuszczając mnie ofiarowała mi wszelkie usługi, mnie i murzynce, którą pogłaskała po twarzy i przytuliła do serca; szkoda, że tak zacnej, szlachetnej osobie, Bóg niedał dzieci, i że tym tylko daje matkom, które ich wychować nie umieją.

* * *

Beyrut jest miastem, mającym dzisiaj do 50,000 mieszkańców i jednym z najważniejszych punktów

handlowych w Syryi. Posiada także kilka znakomitych warsztatów, w których się wyrabiają tła jedwabne, więcej trwałe niż piękne, lecz jednakże poszukiwane w Europie. Pod względem smaku Arab tutejszy, lubo dziwnie skrzętny i zdolny, nie może się jeszcze spółubiegać z francuzem, lubo pod wielu innemi względami go przewyższa, mianowicie pod względem moralności, wstrzemięźliwości i zdolności do lingwistyki, która w istocie jest zastanawiającą, nawet dla polaka, słynącego z łatwości nauczania się języków. W ogólności Arab Syryjski jest zapewne najucywilizowańszym z wszystkich Arabów, nie wykazuje się w nim tak dobitnie charakter posępny, samolubny Araba palestyńskiego, potrafi być gościnnym, w potrzebie nawet do pewnego stopnia miłym. Brat gospodarza, widząc, że umiem nie jedną rzecz, i, że chętnie udzielam, co wiem, prosił mnie, bym mu udzielił kilka lekcyi angielskiego języka, bym mu pozwolił czytać, poprawiając jego wymowę i dał jakiś rys ogólny o gramatyce angielskiej, porównanej z francuzką i włoską. W szkołach elementarnych i niższych licealnych, uczył się już włoskiego i francuzkiego z gruntownością, z jaką we Francyi w żadnych szkołach, gimnazjach, liceach i kollegiach nie nauczają żadnego języka obcego. Niewiem czemu Francuzi, podróżując po świecie, nie odwiedzają żadnych szkół, nie interesują się żadnych obcych narodów wychowaniem; skrystalizowani w swej próżności, ani przypuszczają, żeby było coś na świecie, godnego naśladowania. To im nawet na myśl nie przyjdzie. Wolno tak było najnierozsądniejszym sądzić do r. 1870, lecz, po tak solennem wykazaniu się nizkości intellektualnej francuzkiej, powinni byli odstąpić od tej śmiesznej chełpliwości. Żaden pomnik stawiany przez ludzi, nawet kolos Rodyjski, ani Piramidy, ani kanał Suezki, nie wyrównywają ogromowi próżności francuzkiej.

Mówiąc o kanale Suezkim, muszę tu wspomnieć o zaszczycie, który mnie spotkał ze strony brata pana Ferdynanda de Lesseps, genialnego inżyniera tegoż kanału. Brat jego był generalnym konsulem Francyi w Beyrucie, wielką figurą, ale nie tylko z powodu bliskiego kuzynostwa swojego z cesarzową Eugenią. Jej

matka i dwóch Lessepsów matka, były dwie rodzone siostry, panny Fitz-Patrick, córki kupca hurtowego pomarańcz w Grenadzie. Pan generalny konsul słyszał, jak hr. Dzied. rozpowiadał niesłychane rzeczy o mnie w klubie marynarskim, potem zaś słyszał co doktór Dom.... i kapitan Rob... o mnie mówili, i, chcąc z tego kwintessencyę sprawiedliwą wyciągnąć, odwiedził mnie sans façon, by mi ofiarować przedewszystkiem swe usługi, chociażby tylko dla tego, że jestem potomkiem hugonotów, od kilku wieków walczących za Chrystusa i za prawdę z tak wielkiem poświęceniem.

Prosił mnie potem, bym mu przedstawił moją murzynkę, o której bardzo wiele mówiono w kolonji europejskiej Bejrutu; ta biedna młoda dziewczynka, przed dwoma tygodniami nawet trzystu franków nie warta niewolnica, stała się tutaj przedmiotem ogólnego współczucia. Była tego najzupełniej nieświadomą, ani jej na myśl nie przyszło, żeby ona zasługiwała na najmniejszą uwagę, ale tak bywa czasem z ludźmi, w chwilach dobrego humoru ludzkości.

Rozmawiał z nią wielki pan jak najgrzeczniej, o Bogu, o życiu wiecznem, o grzechach, o modlitwie. Odpowiedzi Azzimy tak proste, jak uczciwe i roztropne, zadawalniały, zastanawiały, czasem nawet czarowały tego istotnie serdecznego przyjaciela ludzkości.

— Już ci też Doktór-Effendy opowiadał coś o Chrystusie Panie, synu Bożym?

— Opowiadał, — opowiadał, ale on niechce opowiadać mi o Nim wiele od razu, tylko opowiada mi po trosze, kiedy jestem bardzo uważna i grzeczna.

— Sprawiedliwie działa,— bo to są tajemnice nader święte, które tylko wtenczas człowiek pojmuje, kiedy jest dobrym i w czystem się zachowuje usposobieniu ciała i duszy. A cóż ci opowiadał Doktór?

— Że Pan Bóg wszechmocny, widząc jak się ludzie psują i odstępują od prostoty wiary, zesłał na ziemię Ducha Świętego, aby spłodził z cnotliwą kobietą syna, który miał Boską, zawsze czystą duszę, a ciało, jak i my wszyscy nieboracy. A były od dawnych, bardzo dawnych czasów przepowiednie, że to nastąpi

dla nawrócenia ludzi, którzy się zbałamucili przez kłamliwe tłómaczenia słów Boga.

— I cóż opowiedział Jezus Chrystus ludzkości?

— Zwiastował, że wszyscy ludzie, w jakiejkolwiek tkwią skórze, równi pomiędzy sobą, że nawet niewolnik równy jest w obliczu Jego panu swojemu, że jak niewolnik cierpliwością swoją przewyższy choć raz jeden srogość pana, to się okaże wyższym od pana, chociażby ten miał największą potęgę.

Pan de Lesseps pochwalił murzynkę i przyłożył się hojnie do posagu, który dla niej zbierałem,— potem, odchodząc rzekł, mi:

— Wiem, że Ojcowie Jezuici z Sachleb, tu przypadkowo bawiący, chcą pana odwiedzić i pomówić z tą młodą, prawdziwie fenomenalną murzynką. Bądź Pan ostrożnym w udzielaniu *im*, mianowicie owemu młodszemu, z czarną jak smoła brodą i z jasnemi jaskrawemi oczyma, pozwolenia rozmawiania z tą dziewczyną. Jest to jeden z tych chytrych, zdradliwych jezuitów, którzy kilkoma tłómaczeniami, podchwytliwemi pytaniami i paradoksalnemi sentencyami potrafią zwichnąć na zawsze rozum prosty, naiwny i przekształcić go na niezdrowy, wstrętny i przeciwlogiczny. Na tem zależy cała sztuka Jezuityzmu, a szkodaby było tej młodej, tak prawej intelligencyi, chcieliby zakłócić tę duszę z sobą, aby ją tylko wydobyć z pod pańskiej opieki, są to ludzie zazdrośni o każdą zdobycz i woleleliby ją oddać djabłu, jak pańskiemu Panu Bogu.

Podziękowałem temu przyjacielowi prawdy za tę przestrogę i powziąłem środki zaradcze przeciw wkroczeniom jezuityzmu na moje podwórko.

Zjawili się istotnie zapowiedziani ojcowie właśnie w chwili, kiedym Azzimie czytał ewangelię. Jeden z nich, wiekiem starszy, mogący mieć około lat pięćdziesięciu, lecz czerstwy, wysoki i silny, musiał być w młodości bardzo przystojnym, żółtawo jasnym blondynem; teraz jego żółtawo siwa, gęsta, długa, miotlista broda, wzbudzała największe poszanowanie i godną była apostoła najbiblijniejszego. Drugi chudy, niskiego wzrostu, ze 30 lat liczący, śniadej cery, z czarną, krótką, kędzierzawą brodą, z oczyma dużemi, jasno jaskrawemi,

z ściśniętemi jak u kota źrenicami, wzbudzał raczej obawę i zaraz, wcale o to nie proszony, zaczął przyzwyczajoną do łagodności Azzimę szturmować tak natrętnemi pytaniami, że ta mu wręcz odmówiła odpowiedzi i nazwała go, po prostu, szejtanem, to jest djabłem, i to z taką zimną krwią, jak gdyby była przekonaną, że nim jest istotnie. Młody Jezuita był zupełnie zbitym z pantałyku, a gdy i starszy nie mógł się zupełnie wstrzymać od śmiechu, okazał dwa szeregi dużych zębów, które, dalibóg, godniejsze były hyeny, jak istoty, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. Pałał złością jak jaszczurka; niewiem, jak można było przyjąć do tajemniczego bractwa człowieka, tak mało zdolnego do hamowania swych nienawistnych uczuć.

— „Nie będzie z tej mąki chleba,“— rzecze młodszy ojciec.

— Będzie, będzie mój ojcze,—odpowiem łagodnie, tylko jeżeli ojciec chce tak brać szturmem dusze katechumenów, to ojciec zdolniejszy na żuawa niż na jezuitę.

Nigdym się w życiu nikomu mniej nie podobał. jak temu księdzu, który z resztą był bardzo uczonym professorem w sławnem kollegium jezuickiem w Sachleb, u stóp Libanu, i znał arabski, chaldejski, hebrajski, armeński i turecki języki, obok prawie wszystkich europejskich. Pochodził on z Malty, był urodzonym i wychowanym na jednym z owych małych żaglowych, przewozowych statków, które w jednym tygodniu są w Afryce, w Europie i w Azyi; i od dzieciństwa przemawiał pięcioma, lub sześcioma językami. Oddany do elementarnych szkół, odznaczał się łatwością nauczania się języków, zaraz się też ojcowie Jezuici na tych zdolnościach poznali i chcieli je spożytkować na dobro chrześcijaństwa.

W krwi Maltańczyków, zapewne z powodu długiego pobytu rycerzy maltańskich, znajduje się bardzo wiele żywiołu różnorodnego, ale w tym ojcu element arabski znacznie przeważał, jego kości policzkowe były wystające, uszy bardzo szerokie, zęby, jak wspomniałem, olbrzymiej wielkości. Zkąd jednakże te duże, jasne oczy zabłąkały się w ową, raczej chłopską, fizyono-

mię, tego ja pojąć nie mogę i dałbym wiele, gdybym mógł widzieć matkę i ojca, prawdziwego ojca, tego fenomenalnego człowieka.

Starszy ojciec rozmawiał z Azzimą łagodnie, wolno i żadnych jej nie zadając podchwytliwych zapytań. Chętnie mu odpowiadała murzynka i nawet się sua sponte zbliżyła do niego i w dłoń go pocałowała, gdy jej położył rękę na głowę, na znak błogosławieństwa. Słabo mówił po turecku, nie bardzo wiele lepiej odemnie, lecz przemawiał wyraźnie, wolno i z namaszczeniem.

To zupełnie inny typ kapłana z Towarzystwa Jezusowego,—ależ to syn księcia parmeńskiego Soragna, wychowany jako paź na dworze byłej cesarzowej Francyi, Maryi Ludwiki, później był kamerjunkrem u jej następcy, nareszcie, obrzydziwszy sobie płochości świata, z własnego popędu serca poświęcił się stanowi duchownemu, nakoniec, chcąc służyć tem gorliwiej kościołowi i religji, został członkiem Towarzystwa Jezusowego i mozoli się teraz niemało, jako professor kollegium w Sachleb; przyjemniejszego, cnotliwszego księdza nigdy nie widziałem. Wiele razy w tej książce będzie o nim mowa, gdyż nas połączyły węzły szczere trwałej przyjaźni.

Namyśliła się moja ulubiona, niechce już iść za mnie, rzecze do mnie kapitan Rob.....

— Bardzo dobrze zrobiła, że nie idzie za szulera,— odpowiem.

— Good by. — Jadę do Aleksandryi. Do widzenia w Jerozolimie. All right.

Tydzień minął w ten sposób w Bejrut; czułem się, dzięki rozlicznym i dobrym staraniom Dra Dom...., w stanie puszczenia się w dalszą podróż do Jerozolimy, zkąd mi groził inny znów rodak doktór Mey..., że powierzy Dyrekcyę szpitala innemu, jeżeli się wkrótce nie zjawię. Spieszno mi też dyło wrócić znowu do żelaznej pracy.

Wrażenia, otrzymane podczas mego pobytu w Bejrut, pozostaną niezatarte w mem wdzięcznem sercu, bo nigdzie nie otrzymałem więcej dowodów przyjaźni ze strony mieszkańców.

Podróż z Bejrut do Jaffy odbyliśmy na statku parowym messażeryi ottomańskiej, nie możemy się żalić na niewygody, ani na złą usługę, ani na drożyznę, owszem, ci panowie ottomańscy, z których ani jeden nie był Turkiem, starali się przewyższyć wszystkie inne narody w grzeczności, — nowe miotły dobrze miotą, — dopiero od miesięcy kilku trwa ta kampania; zresztą na okręt odprowadzili nas wysoko postawieni panowie i podróżuję tym razem w pierwszej klassie, co mi się wcale nie często trafia.

Statek nasz niewielki, niegłęboki, — mogliśmy się trzymać dość blizko brzegów i podziwiać owe dziwnie piękne góry Libanu, z których wieją tak chłodzące, a jednak aromatyczne, powiewy.

Wkrótce stracę je z oczu i będę musiał patrzeć na nagie, z roślinności, z ziemi, odarte góry Palestyny. Będę musiał patrzeć długo na te przeklęte przez Boga góry! ta myśl prawie mnie zatrważała, a jednakże od tak dawna tęsknię do tego kraju, w którym słowo stało się ciałem i mieszkało pomiędzy nami.

A dla tylu ludzi to słowo stało się napróżno ciałem, mieszkało napróżno pomiędzy nami!

I zawsze jeszcze dobry jest gnębiony przez złych, i bogaty umiera zawsze błogosławionym przez tych, co się utrzymują z szafowania błogosławieństwami!

Lękałem się rozczarowania, lękałem się być poczytanym za szaleńca, opuszczającego pewne dla gonienia za niepewnem.

Jesteśmy pod brzegami Fenicyi, już z daleka widzimy stolicę kraju niewielkiego, który wysłał jednakże, nadmiar mając ludności, kolonie na wszystkie brzegi północnej Afryki i południowej Europy i wszędzie w pamięci dziejów potężne zostawił ślady swej czynności, swego ducha przedsiębierczego, swego genjuszu.

Jesteśmy pod górą, na której pnie się Sidon, ten syn pierworodny Kanaanu, jak go nazywa Geneza (Rozdział X).

Kartagina była córką Tyru, Tyr synem Sidonu, — a Kartagina także mnóstwo miała córek w Italji, Sycylji, Francyi, Hiszpanji. Wirgiljusz mówi o Kartaginie: *urbs antiqua fuit*, a zatem jak starym też musi być

Sidon! Jestto niezawodnie najdawniejsze miasto w świecie, — biblji znane. Lecz biblja nie wiedziała co się dzieje na brzegach Gangesu, że i tam dawniejsza istniała oświata. *Nil novi sub tutu!* Może w Meksyku istniała oświata, poprzedzająca indo-gangesowską. Czy mam przyszłości odsłonić przeszłości tajniki?

Sidon był wielkim i potężnym, nim go zdobył na lat jakie 750 przed Chrystusem, Salmanassar, król Assyryjski, i jeszcze pozostał znakomitym, aż do roku 351 pod Persami, nim uległ, dwieście lat potem, zniszczeniu, z powodu podniesionego buntu przeciw najezdnikom, których swawoli znieść nie mógł.

Sidon, zwany także Saïda, jest dziś miastem, liczącem z 10,000 mieszkańców, inni nawet mówią, że z 15,000, ale turek nigdy nie umie obliczyć ludzi, jeśli ich jest więcej jak tysiąc i nie da się także chętnie policzyć, i w tem jest podobny do żyda, który ma przesąd do obliczania.

Jest to jednakże miasto w całem znaczeniu tego słowa, zawiera w sobie place, skwery, ogródki, ulice, nie szerokie, lecz dobrze brukowane i domy wcale dobrze wystawione, opatrzone wszystkiem, co należy do wygodnego domu. W bazarze tutejszym, długim, sklepionym, jak krakowskie Sukiennice, wiele życia, lubo cała prawie ludność składa się z arabów mahometańskich, już tu dość dziko wyglądających.

W jednej wielkiej budowli znajduje się obszerny kwadratowy dziedziniec, otoczony czteroma arkadami, na słupach wysmukłych dość artystycznie wzniesionemi. W środku wielka fontanna, zacieniona wysokiemi bananami z liśćmi na cztery stopy długości i półtory szerokości,— są i tak długie, jak dorosły człowiek. Tu im nie dokuczą północne powiewy, bo mury, otaczające dziedziniec, są bardzo wysokie. Tu jest konsulat francuzki. Jedna część tegoż budynku tworzy klasztor łaciński, w którym teraz istnieje tylko trzech zakonników, niedawno temu było ich jeszcze czternastu, ale mnichy zaczynają wszędzie wychodzić z mody; niewiem, czy to znowu jest taką klęską dla świata, przedtem bowiem, gdy wszystkie klasztory stały otworem dla każdego pielgrzyma, po miejscach świętych i biblijnych

wałęsało się pod pozorem religijnych podróży mnóstwo łapserdaków po świecie, którzy żyli jedynie groszem klasztoru, a po drodze nie jedno tu i owdzie świsnęło innym, prawdziwym pielgrzymom. Dochody klasztorne zaczęły się od dawna zmniejszać, klasztory się powoli zwijają i nikną, a natomiast stawiają się karczmy, hoteliki i zajezdne domy, które za mniejsze lub większe pieniądze dają przytułek. W skutek tego zmniejsza się i liczba pseudo pielgrzymów i nieporządków po miejscach świętych i drogach, doń prowadzących.

Jeden z zakonników opowiadał mi wiele o panu Renan i o jego siostrze, która wkrótce potem w Byblon nagle umarła. Sławił dobroć, mądrość i religijność tych podróżnych, a wcale niewiedział, ile ten uczony mąż szkody wyrządził Chrześcijaństwu przez swoje Życie Jezusa. Ani miał wyobrażenia o niepokojach, sprawionych w świecie religijnym, w skutek dzieł tak mnogich, podkopujących podstawy wszelkiej wiary w nieśmiertelność duszy, tyle przywiązującej do cnoty, do szczęścia i do pracy. Wszystko, co napisał Renan, było tu im nieznanem, i zdaje się, że wyklęcie jego z ambony nie nastąpiło tu wcale, o nim bowiem ci dobrzy ojcowie nic a nic nie wiedzieli.

Jestem pewnym, że pan Renan, pomimo wszystkiego, co nam raczył napisać i ogłosić o niemożliwości samowiednej nieśmiertelności duszy, wierzy tak dobrze w jej wieczność samowiedną, jak nasz Ojciec święty i ja, który to piszę. Inaczej byłby się nie był ożenił i stał ojcem dzieci. Któżby chciał być ojcem istot, przeznaczonych do zupełnej śmierci, a łaknących przez całe to życie ziemskie nieśmiertelności? pocóż skazywać nowe, jeszcze nie żyjące pokolenie, na tortury istnienia?

Pan Renan nie jest genjuszem, gdyż wielu, aż zbyt wielu ludzi, też same co on, do najgłębszego wnętrza serca martwiące teorye, głosiło, — a zresztą genjuszem nie może być ten, który, wypierając się duszy, ujemnie wpływa na ludzkość, już i tak bardzo nieszczęsną, na tak ciężkie kłopoty i cierpienia skazaną; nie można być dodajnością w ujemności, to byłoby zaprzeczeniem wszelkiej możliwej prawdy, absurdem

nihilicznym, *contradictio in adjectu et in subiecto*, — lecz pan Renan korzystając, z prądu zawistności, wymierzonego przeciw wszelkiej teokracyi i przeciw duchowieństwu, popierającemu rządy monarchiczne, chciał napisać coś, co w pewnej chwili wielkie wywrze wrażenie, a, władając głęboką wiedzą, wykrywszy na miejscu niejedną sprzeczność z prawdą, dotychczas za taką w świecie teologicznym uznaną, dał nam dowód, że wielki talent może dopiąć wszelkich znamion genjalności i ujść za twórczość. W tem niezawodnie dopiął celu, lecz z wielką krzywdą dla szczęścia świata, który to poczytuje za przekonanie, co tylko jest chwilowem, retorycznem zdaniem, szermierstwem paradoxalnem.

Z Sidonu jedziemy do Tyru, do dziś najznakomitszej miejscowości starodawnej Turcyi. Jesteśmy w przystani. Zaręczają mi, że tu przystań jest najlepszą i jedynie dobrą w całej Syryi, — o tem wiem, że jest cudnie piękną i strzegą jej spokoju i bezpieczeństwa dwie olbrzymie massy murowane, dziwnego nie do opisania kształtu, resztki cyklopowych zasłon,— wzniesionych tu kiedyś, niezawodnie z cztery tysiące lat temu. Miasto jest położonem na wysokim na trzysta stóp skalistem wybrzeżu, odosobnione, pomiędzy szumiącą falą: — Tyr osiadł przy wstępie do morza, którego jest królową, mówi Ezechiel (R XVII—3).

Dziś nie jest żadną królową, tylko cokolwiek sporem miasteczkiem, które pokrywa domami swojemi tylko część półwyspu skalistego, dawniej pokrytego bardzo wysokiemi i wspaniałemi budowlami. Nabuhodonozor oblegał to miasto przez lat trzynaście i nadarmo się srożył, musiał odstąpić. Aleksander Wielki zdobył je jednakże po sześciomiesięcznem oblężeniu ze strony lądu i morza, po niesłychanych trudnościach. Heram, król Tyru, był sprzymierzeńcem i ubóstwiaczem osobistym Salomona. Tyr jest matką Kartaginy, dziś gruzów i Kadyxu, dziś jeszcze kwitnącego, przynajmniej dwadzieścia pięć razy większego od matki.

Dziś jeszcze Tyranie są kupcami, lecz czem głównie handlują: własnemi ruinami, które sprzedają za materyał budulcowy idący aż do Aleksandryi Egipskiej:

taki kamień za 10, większy za 20 groszy — największy za złotówkę. Z malowniczych ruin katedry Pasza stawia sobie teraz pałac, otoczony koszarami,— za lat kilka znikną tego kościoła wszelkie ślady, powstanie za to budowla wszelkiej architektonicznej wartości pozbawiona, a w której skład wchodzą piękne kolumny, odłamy ołtarzy, święci z kamienia, Matka Boska z marmuru. Nieopodal od miasta, Leontes, Syryi największa rzeka, wpada w morze. Prowadzi przezeń most, tworzący jeden tylko wydęty łuk bez wszelkiej opony po bokach. Nieśmiałem go przekroczyć w stanie obecnym mej nogi i zazdrościłem panu Stick i Azzimie, którzy go przebujali, jak dwa ptaki, w oka mgnieniu.

W dzielnicy mahometańskiej Tyru widzisz tylko małe domy w końcu dziedzińca, ocienionego kilku drzewami, lecz w dzielnicy chrześciańskiej ujrzysz dość wysokie porządne domy, zamieszkałe przez plemie jakieś mięszane, grecko-żydowskie, wyznające religię grecko-katolicką i mówiące po arabsku. To plemię pochodzi od greków syro-fenickich, którzy tu mieszkali jeszcze przed wkroczeniem Arabów i przed podbojem Turków. Mówią także złą włoszczyzną, zwaną tu lingua francas, skrzętnie chodzą około cudzoziemców, podróżujących tu z ciekawości i nieubłaganie ich nudzą prośbami o bakszysze i podarunki.

Jedna piękna młoda kobieta chciała koniecznie zamienić mi białą chustkę jedwabną, którą nosiłem na szyi, na ogromny kawał ciosanego porfiru, na którym były wyryte trzy litery greckie; kamień ważył z ośm funtów, niechciałem zezwolić na ten handel potrzebnej mi chustki na głaz, tak trudny do przenoszenia.

— Dla uczonego kamień ten miałby wielką wartość, ale widać, że pan uczonym nie jesteś, rzecze Tyrianka pogardliwie.

— To go zachowaj, aż przyjdzie uczony mi Bellina, odpowiem.

— Ale mi się podoba twoja chustka, mi Signor, ne ho voglia irresistibile – sai? farei tutto—sai? rzecze Bellina, dziurawiąc mnie strasznie czarnemi, zaiskrzonemi oczyma.

*

Niestety i tu, na tym biblijnym gruncie, kobieta jest tylko córką Ewy, nie umie powściągnąć swego kaprysu.

— Gorzej jak to, tu kobiety są córkami Lotha, rzecze kapucyn pielgrzymujący, który ze Scutari, z brzegów Bosforu, przybył tutaj pieszo z dobrze mi znanym, bardzo dawnym kolegą, niegdyś dzielnym żołnierzem, chcącym dobiedz do Jerozolimy, by tam spocząć na wieki na Józefata dolinie.

— A zkądże tak dobrze znacie te kobiety, ojcze?

— Znam Tyr od lat dwudziestu, byłem tu z dziesięć razy, — jestem mnichem wolnym, ciągle pielgrzymującym na chwałę Boga.

— Zastanowiło mnie, że w tutejszym kościele grecko-katolickim msza odbywa się po arabsku, a nie po grecku, rzeknę do mnicha, ciągle podróżującego.

— Wielu z tych księży nie umie słowa po grecku, Bóg zaś rozumi wszystkie języki, bo wszystkie pochodzą od jednego pierwotnego, którego sam Bóg nauczył Adama w raju. Właściwie powinniby odbywać mszę po grecku—ale się na to patrzy przez szpary;—dzisiaj na wszystko patrzy się przez szpary. Zresztą wszyscy ci księża są — ingovernabili, robią co im się podoba. Anarchia wszędzie. Anarchia na całej linii. Finis mundi proximus — orate, o peccatora?

— Ależ wam się, ojcze, nic złego nie stało w waszych ciągłych, długich podróżach, więc ta anarchia musi nie być tak okropną.

— Ah! jeszczeby też! jakto! a święty charakter mojej sukni nie powinien że mnie obronić od napaści? A potem, — ja nie prostej kobyły źrebię—ja nie taki mnich, jak inni; ja jestem maltańczyk, poddany W-ej Brytannii. Żeby mi choć jeden włos z głowy spadł, toby za to królowa Anglii wydała wojnę Turcyi, zasyczał kapucyn, z forfanteryą, francuza godną.

— Nie winna temu, mój ojcze, królowa Anglii chce żyć w dobrej przyjaźni z Turcyą; — nawet, żeby ci cała głowa z karku spadła, toby ci dla tego żaden kogut angielski nie zapiał. Minęły owe czasy rycerstwa brytańskiego, teraz łokieć i waga zastąpiły miecz i armaty.

Gdzie się to duma nie kryje? nawet pod hutę kapucyńską.

Już znowu jesteśmy na naszem Osmonlich, szumiącym pod kołami i bełkotającym nad śrubą. Zaledwie o dwieście kroków jesteśmy od wyniosłych tu brzegów — to przylądek biały, na który pną się przepadziste schody, — a dalej jeszcze inny, wyższy przylądek, zwany drabiną Tyru, o którym mówi Josua (XI—8). „Les echelles“ Sabaudyi są niczem w porównaniu z temi wschodami wykutemi w opoce, pnącej się prawie pionowo w górę, wspinającej się tu na 400 stóp blizko. Morze rozbija się u stóp i wspina na połowę opoki; często zmywa tych, co się puszczają, ufni w szczęście, na ten niebezpieczny spacer. To widok godny Norwegii, tylko że tu niebo wcale inne,—tu eter przezroczysty, azurowy, tam szary, mglisty, wiecznie zachmurzony firmament. Tu południe z urokami, tam tajemnicza, czarowna północ.

Jeszcze godzinę jazdy, a stajemy u góry Karmel i pod Akrą, pod starodawną Ptolomaidą. Tu przebywał Ś-ty Paweł, udając się z Tyru do Cesarei Augusty, — jeszcze o jakie lat 1500 wprzódy już tu była warownia, o którą daremnie kusili się żydzi, mianowicie pokolenie Asser, któremu była udzieloną, a której nigdy zdobyć nie mogli. Jakoś wszystko jednakże nie poszło według programu, skreślonego przez Mojżesza i Jozuego, nie cały Kanaan wpadł w ręce żydów.

Nazwijmy teraz Akrę i Ptolomajdę Ś-tym Jean d'Acre, a natychmiast inny szereg niemniej wielkich wspomnień stanie tu na nogi, na tej wysokiej opoce, o którą się dobijali i w późniejszych czasach wielcy wojownicy. Ujrzymy tu wielką postać Godfryda de Bouillon, Saladyna, Dandola, Henryka Lwie Serce, Ludwika świętego, Napoleona Bonaparte, Sydney — Smietha, a nawet jednego z naszych ziomków, pułkownika Szulca, który, broniąc tego punktu w r. 1840 przeciw wojskom Austryi, Anglii i Turcyi, padł ofiarą swego bohaterstwa. Forsitan et hoc olim meminisse juvabit!

Teraz Akro jest na nowo, ufortyfikowaną i zewnątrz wygląda jak każda inna forteca europejska, tylko, że

z niej wyzierają dwa dość wysokie minarety. Wewnątrz jednakże to miasto nosi charakter czysto orientalny, i żadnemu europejczykowi, ani chrześcianinowi, niewolno tu nocować, tak się Turcy obawiają zdrady i utraty tej ważnej fortecy, tego klucza Palestyny i Syryi.

Jest jeszcze w tem miejscu klasztor łaciński, to jest kapucyński i kilku zakonników. W części ogrodu tego klasztoru, przeznaczonej na cmentarz, spoczywa nasz wspomniany rodak, pod pięknemi różami żółtemi i pod małym kamieniem, na którym wyryto, że się urodził r. 1795 w Piotrkowie i że już w 1812 został oficerem pod Smoleńskiem, mianowany osobiście przez ks. Józefa Poniatowskiego. Tu mu kula Angielska urwała obie nogi w 1840 dnia 15 Lipca. Brat jego rodzony, Major Szulc bił się w r. 1838 w Kanadzie w wojsku rokoszowym. Został rannym i zabranym do niewoli przez Anglików, osądzonym, i — powieszonym z bardzo wielkim szacunkiem dla jego osobistych cnót, ale jednakże *powieszonym* i to w Montréal roku 1839 w Styczniu. Nieszczęśliwy ojciec, stary, bardzo zasłużony lekarz dywizyjny b. Wojska Polskiego, przeżył stratę dwóch synów, ale tylko miesięcy kilka.

Akra słynie od lat nie więcej, jak czterech tysięcy, z swego chleba i z konfitur, i to do dziś dnia. Kto temu wierzyć nie chce, niech przeczyta co powiedział patryarcha Jakób i co zanotowane w Genezie (XLIX 20): „Z Aszery (to jest z Akry) przyjdzie wam chleb wyborny i słodycze, króla godne“.

Poszedłem na targ zakupić kilka bochenków chleba tego i kilka słojów tych słodyczy dla przyjaciół moich w Jerozolimie, których jeszcze nie znam i dla których to wraz z kilkoma buteleczkami wina cypryjskiego będzie dowodem, że pamięć serca mojego sięga przedczasowości usług, mi oddanych.

Znalazłem chleb bielszy od śniegu, upieczony, zdaje się, z manny Bożej, mielonej kamieniami porfyrowemi. Znalazłem konfitury, sporządzone z agrestu wielkiego jak śliwki i z miodu, także wybornego, z którego słynie ten kraj. Jakto będzie trudno przenieść te towary

z Jaffy do Jerozolimy? Azzima zaręcza, że będzie pikować i, że wszystko pójdzie dobrze.

Ogrody i pola Akry zadziwiają urodzajnością. Wiele dla tego kraju zrobił Ibrahim-Basza, podczas ośmiu lat (1832—40) panowania swojego; tu postawił pałace i domy, pozakładał lasy, ogrody i pola, lecz mu Anglicy pozazdrościli potęgi i sławy i pobudzili Austryę do spółdziałania. Nie wszystko jeszcze znikło pod niedołężnością turecką, co egipski duch organizacyi stworzył. Gaje fig, migdałów, granatów, pomarańcz, cytryn, pistacyi, oliwek, gojaw, bananów o tem świadczą.

Nic nie widzieliśmy podczas podróży ztąd do Jaffy, odbyliśmy ją nocną porą i spaliśmy, by zdobyć siły na przeprawę z Jaffy do Jerozolimy; wiedzieliśmy, że niemało ich potrzeba będzie.

Kotwica, spadająca na hałaśliwym łańcuchu w morze, budzi mnie. Ugrzęzła w gruncie, stajemy. Pomimo bólu, jestem na pokładzie w parę minut czasu i patrzę po raz pierwszy na Izraël.

Dalibóg, niebardzo powabny ten pierwszy widok. Miasto Jaffa rozesłane na nizkiem wzgórzu, pnie się nad cokolwiek wyższemi domami i budowlami szaremi, po nad któremi górują nieokazałe meczety z minaretami,—kościoły chrześciańskie prawie niewidoczne, wież nie mają. Z daleka na północnym widnokręgu przejmuje widok pasma gór nizkich, a jednak łysych, żadną niepokrytych roślinnością. Tam i owdzie z miasta wyzierają palmy, cyprysy i drzewo Judei, gatunek akacyi z ogromnemi fioletowemi gronami wielkich kwiatów motylowych, woniejących jak groch pachnący, tak mocno, że tu ich woń dochodzi.

Na prawo, kończy się miasto piaszczystą płaszczyzną, na lewo zaś wchodzącym w morze skalistym językiem, który zasłania od zachodnich wiatrów, nie przystań, tej tu wcale nie ma, lecz ów mały porcik, służący statkom rybackim i przewozowym, za bardzo niepewną ochronę. Statek nasz, wcale nie głęboko zanurzony, musiał jednakże pozostać od brzegów o jakie dwa staja. Częstokroć się zdarza, gdy wiatr od wschodu lub od południa jest mocnym, że statki przy-

bywające z Egiptu, w celu wylądowania towarów lub passażerów, wcale nie mogą spocząć na legowisku Jaffy i, chcąc niechcąc, muszą biedz aż do Beyrutu. W dziesięć dni po naszem tu przybyciu, zerwała się burza od południa i rozbiła parowiec marsylski tak dobrze o te niebezpieczne brzegi, że się nawet mysz z niego ocalić nie zdoła. Tak dziwne położenie geograficzne Palestyny, wcale nie postawiło Izraelitów w możności zawierania z łatwością stosunków ze światem zewnętrznym, lecz to było właśnie życzeniem Opatrzności, która wyciągnęła żydów z pośrodka zepsucia, żeby to plemię, przezeń tak oczywiście protegowane, nie znajdowało się w styczności z zepsutemi już narodami i poganizmem. Morze, które jest łatwą drogą dla innych ludów, było dla nich zawadą, trudną do przebycia. Syria, która ma dobre porty na brzegach Fenicyi, nie posiada ich na brzegach Palestyny. Akra nie została nigdy zdobytą przez Izraelitów, pomimo programu Josuego, a Jaffa, jedyne miasto morskie, jest mniej przystanią, jak stacyą, i to nader niewygodną, nawet niebezpieczną.

Nie łatwo nam przyszło wylądowanie, chociaż wiatru prawie nio było,—mnie przyszło to jeszcze trudniej, z powodu bólu w nadwerężonej stopie, — Anglik zaś jeden, słoniowego rozmiaru, którego najmocniejszy drabant portowy unieść niezdołał, wpadł w wodę i o mało co nie utonął. Tak mu wstyd było tego nieszczęścia, straszny śmiech w zgromadzonej publiczności wzbudzającego, że, niedotknąwszy się nogą suchego lądu Palestyny, wolał wrócić na statek, zrzec się widoku ziemi świętej i jechać do Egiptu.

Mieliśmy pewną trudność dostać nasze butelki, słoje, chleby, broń, prochy, lekarstwa i instrumenta chirurgiczne w dobrym stanie na ląd. Oddać tu trzeba sprawiedliwość Azzimie, znalazła pomiędzy drabantami dwóch murzynów, zawezwała ich pomocy z imponującą miną i zaimponowała im istotnie, nie tyle obietnicami, ile swoim rozumnym rozporządzeniem. Ci czarni drabanci, ubrani mało lepiej jak w figowe liście, musieli wynieść naprzód wszystkie nasze bagaże na ląd, a potem dopiero ją samą, by mogła przypilnować

naszej posiadłości i oganiać ją kijem od szubrawców, żyjących tu z łupu. Potem przeniesiono pana Stick, a z największą nakazaną ostrożnością mnie samego.

Teraz dopiero nastąpiła inna walka, już nie z falami morza i brzegami skalistemi lądu, lecz z celnikami tureckiemi, którzy chcieli przetrząsać wszystkie moje bagaże. Szczęście, że możliwość tej niedogodności była już w Stambule przewidzianą przez mojego dostojnego przyjaciela Bałwan Baszę i usuniętą wyrobionem mi, a w długiej zielonej i złoconej rurce blaszanej zawartym, sułtańskim firmanem.

Tą razą kazałem uczcić celników ucałowaniem, potem okazałem pargaminowy firman, który musieli uczcić salemalikiem, i to mnie uwolniło od dalszych niedogodności, a nawet zjednało względy kapitana portu i jakiegoś zupełnie młodego oficera tureckiego, urodzonego wprawdzie już w Turcyi, lecz syna jednego z ziomków, którzy niepogardzili alkoranem i ożenili się w Turcyi. Jego pułk stał garnizonem w Jaffie, a gdy tylko mógł i na służbie nie był w odwachu lub okolicznych bastionach, przybywał do portu w chwilach przybycia statków, aby w razie potrzeby być pomocnym dawnym ziomkom ojca. Jego matka była mulatką, nie byłbym tego odgadł z jego oblicza, lecz bystre oczy Azzimy dostrzegły to od razu, i zaraz też z nim poufale mówiła, chociaż on był tylko kwarteronem, to jest, że na kwartę krwi miał tylko kwaterkę murzyńskiej.

Niewiem jakim sposobem nauczyła się już z paręset słów angielskich, — obcowanie dwutygodniowe z panem Stick, nie było dla niej niekorzystnem pod względem lingwistyki.

Pragnąłem udać się natychmiast, pomimo gorąca, w podróż i nocować w Ramleh, w starodawnej Arimatei, zkąd był rodem dobry Simon, który własny grób swój odstąpił Zbawicielowi. Tam chciałem noc przepędzić w klasztorze Franciszkanów, do którego miałem polecenie. Lecz karawana do tego miejsca wyruszyła dopiero za półtrzeciej godziny. Mieliśmy czas nająć dwa wielbłądy dla pakunku i dla Azzimy i dwa obszarpano wyglądające, lecz dziwnie poczciwe konie,

dla nas. Korzystaliśmy ze zdarzonej sposobności i za pozwoleniem kapitana okrętu marynarki Cesar. Rossyjskiej, pana Orestesa Puzyny, przyłączyliśmy się do karawany rossyjskiej, w której było przeszło pięćdziesięciu marynarzy rossyjskich z okrętu ros. Filoktet.

Gdy już wszystko było rozporządzonem do podróży, poszedłem z panem Stick i z Azzimą na bok, ukląkłem z niemi i podziękowałem Bogu rzewnym sercem za doświadczoną w czasie podróży opiekę i za urzeczywistnienie moich, tak gorących pragnień. „Panie Wszechmocny! niech ta ziemia, której się dotykam kolanami mojemi, nie stanie się dla mnie ziemią zawodu, niech tu znajdę spokojność i wiarę, której napróżno szukałem w innej, tak mi drogiej,—a jeśli jéj nie znajdę, to niech tu spoczną me kości, jeśli można, w Józefata dolinie, aż do nadejścia ostatecznego sądu Twojego, w którym się dowiem, czy ciężar mych dobrych chęci i cierpień przeważa ciężar mych grzechów“.

Tak się modliłem, naprzód po angielsku, by być zrozumianym przez anglika, a potem po turecku, by być zrozumianym przez murzynkę, aby wszyscy, co mnie otaczają, wiedzieli, po co i w jakim usposobieniu tu przybywam, bo „clara pacta claros faciunt amicos“ i już odgadywałem, że pan Stick pragnie pozostać podczas zimy zemną i przykładać się gorliwie do kilku języków, które ja znałem, a których on nieznał. Tą modlitwą pozyskałem jego zupełne zaufanie, i odtąd obchodził się zemną jak z ojcem, Azzima zaś od tej chwili była weselszą, niż kiedykolwiek i we wszystkiem starała się odgadywać moje chęci.

Potem rozpatrzyliśmy się cokolwiek w mieście.

Jaffa, zwana Jafe przez Izraelitów, a Joppe przez Greków, jest tyle sławną u pisarzy starożytnych świeckich, ile była w historyi świętej. Pliniusz i inni historycy utrzymują, że to miasto było założonem jeszcze przed potopem. Do skały, którą widzieliśmy na lewo od miasta, przykuto tu niegdyś, tak z pięćdziesiąt wieków temu, piękną księżniczkę Andromedę, aby ją pożarł potwór morski. Lecz Perseusz, śmiały ry-

cerz, przybiegł z Grecyi, zabił potwora, wybawił księżniczkę i zaślubił ją.

O tem żaden tu drabant portowy nie wątpi, że tak było istotnie, doskonale wymawia imię księżniczki i rycerza, pokazuje nawet ogromny żelazny pieścień, wkuty w skałę, do której przytwierdzono księżniczkę. Darmo—trudno się opierać rzeczywistości, trzeba wierzyć, że tak było.

Tu znów,—ot właśnie w tem miejscu, —Jonas, chroniąc się, przed ścigającym go obliczem Boga, wsiadł na nawę fenicką, płynącą do Tarsu (Jonas I—3). Jeden z tych Cyceronów chciał w nas koniecznie wmówić, że pozostały ślady niezatarte jego stóp w piasku.

Odwiedziłem kościół kapucynów w Jaffie, dla obrazu pięknego pędzla włoskiego, wyobrażającego cnotliwą, dobroczynną Dorkas w chwili, gdy ją Ś-ty Piotr, już leżącą na marach, wskrzeszał. Tu w tem miejscu stał dom, zaręczał mi braciszek, i dla tego też Ś Piotr kazał wznieść pierwszy kościół chrześciański, aby tu była pochowaną Dorkas, lecz naprzód Rzymianie, potem Bisurmanie zniszczyli kościół, który jedakże, dzięki Bogu, zawsze został dźwigniętym tak, że się aż do obecnej chwili cudownie zachował.

Na miejscu, na którym przed laty, zaledwie dwudziestu, wystawiono dzieło fortyfikacyjne, stał wprzódy szpital, który w ostatnim roku stulecia przeszłego był widownią sceny wiekopomnej, często zaprzeczonej, dziś aż zbyt pewnej. Generał Bonaparte, zmuszony ustąpić z Jaffy przed natarczywością ścigających go Turków, kazał otruć wszystkich żołnierzy francuzkich, złożonych tu dżumą i którzyby byli zapewnie i bez tego umarli na tę nieubłaganą chorobę. Tem chciał im oszczędzić okrutnej śmierci, czekającej ich ze strony barbarzyńskich Turków. Czy to dobrodziejstwo? czy to zły czyn? na dwoje wróżka wróżyła,—lecz mnie się zdaje, że na zimno zabijać i w dobrej intencyi jest zbrodnią.

Dzięki żegludze parowej, Jaffa wzrosła ogromnie w ostatnich dziesięciu latach, liczy do 12,000 mieszkańców; za egipskich czasów, od roku 1732 do 40, miała tylko pięć tysięcy. Samo miasto nie jest pię-

knem, chociaż Jafo znaczy po hebrajsku *piękność*,—lecz ogrody, otaczające miasto, są cudowne. Pomarańcze tego kraju są niezwykłej wielkości i smaku tak przedziwnego, jak owe małe pomarańcze chińskie, zwane mandarynkami. Pomarańcza tutejsza waży przynajmniej cztery razy tyle, ile mandarynka, jest również dobrą. Za para, to jest za centym francuzki, dostanie tu piękną pomarańczę, przódy dostał nawet trzy, lecz teraz tyle ich się wywozi, że zdrożały.

Charakterystyczną wegetacyą tutaj jest owa figa z kaktusu, zwanego Opuncyą. Kaktusy te dochodzą do nadzwyczajnych rozmiarów i używane są na nieprzebite kulą armatnią, żywe płoty, na których żyje zastanawiające mnóstwo gadów jaszczurkowatych, zwanych kameleonami, opisanych już dokładnie przez Arystotelesa. Jest to gad dziwnych kształtów, bez szyi, częstokroć z rożkami na ogromnej głowie, z językiem wysuwalnym, z ogonem chwytliwym, z nogami niedźwiedziemi, z oczyma, z których każde może się ruszać, niezależnie od drugiego: najczęściej jedno patrzy naprzód, drugie w tył. Skórę ma zwykle jakby nankinową, lecz ona się zmienia często gęsto w niebieską, czerwonawą, fioletową, ciemno-żółtą i zielonkową, co pochodzi nietylko z światła, nań spadającego, lecz także od większej lub mniejszej ilości krwi w płucach i w skórze. Dziwaczny ten gad, któremu napatrzyć się nie można, był przedmiotem rozmaitych bajek, lecz są to istoty łagodne, niewinne i nawet dobroczynne, gdyż oczyszczają świat z owadu szkodliwego. Nikt z niego też nie szydzi, jak Francuzi, jak gdyby nie wiedzieli, że oni sami doń podobni pod względem politycznym i moralnym przynajmniej. Przyganiał kocioł garnkowi, że smoli.

Teraz jesteśmy w siodle, Azzima zaś wysoko na pakach i materacach, na plecach dromadera, ubrana po męzku, bo jako dziewczyna nie mogłaby wejść do klasztoru. Mniejsza o to, czy nią jest, czy nie, byleby nie wyglądała na to. Ona przyzwyczajona do tej jazdy na wielbłądzie, osobom nieprzyzwyczajonym kręciłoby się, a nawet zawróciłoby w głowie: mnie samemu trudno było do tej lokomocyi przywyknąć.

Wstępujemy w dolinę Saron, już za czasów Dawida i Salomona słynną z urodzajności i z kwiecistości: róże, anemony, olbrzymie fiołki, lilie różnobarwne, irydy i luy duże i pełne, stokrotki, astry, tulipany, gwoździki, wszystko to jeszcze teraz znajdziesz w różnych miejscach i w rozmaitych porach dnia. Canticus canticorum porównywa piękną Sulamitę z różą Saronu, a Ezaiasz tak tkliwie przemawia o tym pachnącym różnobarwnym kobiercu natury. Nikt nie przesadził żadnym opisem rzeczywistości, nikt jej przesadzić niezdolny; ci, co utrzymują ze sztuka wyższa od natury, nie widzieli kwiatów Sarona.

Mijamy miasteczko Lydda, także bardzo sławne w dziejach apostolskich. Chrystus, nim wstąpił do nieba, rzekł swym uczniom: idźcie, teraz znacie wszystkie języki, bo prawdę poznaliście, idźcie, nauczajcie prawdy wszystkie narody i chrzcijcie je! Simon Piotr nie wrócił tedy do swej żony i do swych dzieci i do jeziora Genezaret i do swych sieci, lecz puścił się sam w stronę, której jeszcze nigdy nie zwiedził i stanął w małem miasteczku Lydda, z drugiej strony gór, a tam przemyśliwał nad swem posłannictwem.

— Jakżesz ja mam żyć z nieczystemi i ich nauczać, kiedy się temu prawo, oddzielające nas czystych od poganów nieczystych, sprzeciwia. Nie stanęż ja się nieczystym, kiedy przestawać będę z niemi? Ojcze pana mojego, Chrystusa, wybaw mnie z kłopotu, bo niewiem co mam czynić?

Usnął i miał takie widzenie, że Bóg Ojciec był przed nim i rzekł: krew mojego syna była wylaną nie tylko dla żydów, lecz także dla wszystkich ludzi,—ona zmyła wszystkie grzechy i wyczyściła wszystkie ludy. To co Bóg uczynił, nie powinno być uważanem za brudne przez ciebie.

Teraz dopiero Piotr pojął prawdę, a w krótce potem przyśli doń ludzie z Jaffy i błagali go, by poszedł z niemi do tego miasta i wskrzesił ich dobrodziejkę Dorkas, która umarła, a żyć powinna, bo wiele robi dobrego.

Piotr już się nie wachał i począł obcować z poganami i nawracać ich do uznania prawdziwego Boga.

Jeszcze przed zapadnięciem nocy stajemy w Ramleh czyli Arimatei. Jazda konna oddziałała niekorzystnie na mnie. Miałem nie tylko list, lecz także jakiś bardzo ważny pakiet dla Gwardyana klasztoru od Ojca Soragna, S. J., z którym się bardzo zaprzyjaźniłem w Bejrut. Przyjął nas poczciwy mnich jak tylko można najlepiej, chociaż wiedział kim i czem jesteśmy, a, że był włochem z Sienna, gdzie najlepiej mówią po włosku, więc mi miło było z nim rozmawiać. Zaraz też nalegał, widząc mnie tak obolałym, żebym nietylko tę noc, lecz jeszcze dzień cały jutrzejszy i noc przyszłą tu wypoczął, że on się urządzi z mukrami naszych wielbłądów i koni, których właścicieli zna dobrze i że to spóźnienie na żadne nas nie wystawi koszta.

— Zobaczymy, mój Ojcze, w jakim się stanie znajdę jutro,— jeżeli w jakim takim, tobym wolał puścić się w podróż, choćby tylko dla tego, że pojutrze wesele doktora, którego mam zastąpić w dyrekcyi szpitala izraelickiego, i że mu wiozę chleb i konfitury z Aten, wino z Cypru, owoce z Karmelu i tu z doliny Saron, wszystko to zrobi mu przyjemność, zwłaszcza przy takiej sposobności.

— Bravo,— bravissimo! krzyknie ojciec Archanioł,— dobrze, że mi pan doktór o tem powiedział, wszystko natychmiast, owinąwszy w słomę, zapakujemy w mocny i lekki koszyk i przeszlemy przez umyślnego, który pana nie będzie nic kosztował, natychmiast do Jerozolimy. Bez tego miałem go wysłać,—jest to Arab zupełnie mi oddany, i wielce szanowany w okolicy całej.

— A nie zrabują go inni Arabi lub Beduini w drodze? wiem, że beduini gór Ephraima są rabusie, a w potrzebie i zbójcy.

— Nic mu nie zrobią złego, bo on należy do bractwa Santonów, wielce poważanego. Racz pan tylko napisać list do swego przyjaciela, jutro rano o dziesiątej podarunki pańskie będą w jego rękach.

Tak się istotnie stało, jak Ojciec Archanioł chciał, żeby się stało. Widziałem tego Araba, był to krępy człowiek, herkulesowej budowy, ciężar swój, ważący ze

czterdzieści funtów, wziął na głowę i niebawem puścił się w podróż na całą noc. W kieszeni miał niemniej jak 400 napoleonów, które gwardyan przesyłał patryarsze Jerozolimy. Do wiktuałów ojciec Archanioł, człowiek dobrze wychowany i niegdyś oficer w toskańskiem wojsku, dodał śliczny bukiet z kwiatów najświeższych dla narzeczonej doktora Meg..... Wszystko to doszło w najlepszym stanie i sprawiło doktorowi i jego narzeczonej niezmierną radość, a przygotowało nam najlepsze przyjęcie.

Częstokroć małym darem, w stosownej chwili danym, można sobie zniewolić serca.

Wszyscy spaliśmy snem sprawiedliwych, w tym klasztorze, który raczej był fortecą, i do którego wchodziło się jedną tylko nizką, sklepioną poterną, łatwą do obronienia od najazdu. Miasto Ramleh zawiera także klasztor grecki, prawosławny i konsulat amerykański, w którym stawali i Anglicy, jeśli się nie mogli gdzieindziej pomieścić.

Dopiero nazajutrz, po dobrym odpoczynku i po napiciu się doskonałej kawy, dowiedziałem się dla czego gwardyan nalegał na moje pozostanie, była w mieście krowa, chorująca na ospę i mnóstwo matek zgłosiło się do mnie z prożbą, abym tę ospę zaszczepił ich dzieciom. Tutaj już są przekonani, że szczepienie krowiej ospy zabezpiecza od naturalnej, gdy tymczasem w niektórych okolicach Anglji, w ojczyznie Gennera, o tem wątpić zaczynają. Wielu także pacyentów mojej zasięgało rady i wykonałem trzy, czy cztery operacyjki, zwłaszcza na małej dziewczynce pięcioletniej, która miała język tak zupełnie przyrośnięty do dolnej części szczęki, że nim wcale władać nie mogła. Nie łatwo mi przyszło zatamować krwotok po operacyi,— lecz, dzięki nadchloraretowi żelaza, mogłem tego dokonać.

Jeden pacyent, umyślnie przywołany z Emaus, z miasta, o dwie mile ztąd oddalonego. Nie jest to ten sam Emaus, w którym Chrystus Pan po zmartwychwstaniu spotkał Kleofasa i Łukasza, płaczących śmierci Jego, będziemy w tamtym ten co tu bliżej leży, niema tego znaczenia historycznego, lubo jest dość boga-

tym i pięknym. Arabczyk szesnastoletni, którego mi przywieziono, miewał napady bardzo częste wielkiej choroby, zwanej epilepsyą; poznałem, że jej przyczyną był soliter, i istotnie po usunięciu go, arabczyk zupełnie się uwolnił od tych napadów. Dopiero w cztery miesiące potem ojciec arabczyka, który był bogatym, uznał, że mi się należy nagroda, i przyprowadził mi do Jerozolimy bardzo piękną białą oślicę z oślątkiem, dziwnie srokatym. Wiedział szanowny Abd-Adar od ojca Archanioła, że lubię wszystko, co jest cokolwiek niezwykłem, i chciał mi się wywdzięczyć za uratowanie mu tak oczywiste syna. Uszczęśliwiłem tym bydełkiem Azzimę więcej, niż gdybym jej był królestwo darował, kazałem jej zrobić dobre damskie siodło, tak, że mogła przejeżdżać się na oślicy, pić jej mleko i bawić się z srokatym osiołkiem, który z szlachetnością, oślej naturze rzadko wrodzoną, zrzekł się mleka macierzyńskiego, dla dobra swej pani, i zadawalniał się parzonym jęczmieniem, chlebem moczonym w krowim mleku i cukrzonym cokolwiek. Nie było mu krzywdy, wzrósł i zyskał wszelkie przymioty dobrego wychowania, dzięki towarzystwu, z natury dobrej istoty. Mieszkańcy Jerozolimy lubili patrzeć na młodą, czarną Madonnę, z obliczem tak szczęśliwem, siedzącą na bielutkiej oślicy, której uszy, chociaż bardzo długie, giestykulowały ciągle, jak skrzydła dawnych telegrafów optycznych!

We wszystkich moich chirurgicznych operacyach pan Stick pomagał mi nader skutecznie, był mi istotnie pomocnym i gdym mu to ze szczerością, zwykłą mi, objawił, złapał mnie za rękę, przycisnął ją do serca swojego i prosił, bym go już nie nazywał Mister Stick, to jest panem kijem, lecz po prostu Alfredem, bym go uważał za swego niepłatnego, lecz posłusznego, do wszystkich poruczeń gotowego i nieodstępnego towarzysza.

Serdeczność dobrego Anglika jest niewyczerpaną kopalnią zadowolenia dla człowieka, umiejącego żyć duchowo, kształcącego się nauką, nie przywykłego ani do gnuśności, ani do rozpusty. Polityki dzisiejszej

angielskiej nie pojmuję, lecz pojmuję charakter stały i silny anglika.

* * *

Jeszcze przed świtem wyruszamy w pochód, — nie potrzebujemy żadnej eskorty, tenże sam santon arabski, który zaniósł moje wiktuały do Jerozolimy, który wrócił i wypoczął po dwudziestomilowej polskiej podróży pieszej, jest teraz na naszym czele, pomaga nam, służy i dostateczną jest eskortą, bo go znają i poważają wszyscy w około, dobrzy ludzie i rabusie.

Postępując naprzód, nuci jakąś monotonną płaczliwą dumkę, lecz gdy ujrzał pierwsze promyki słońca, wznoszącego się nad górami Ephraim, zeszedł z drogi, upadł na ziemię i modlił się w niebogłosy, przewracając ciągle kozły, jeden po drugim, jak mógł najgorliwiej, należał do sekty Santonów, to jest pietystów, a dla tych modlitwy są manną Boską, są jedyną przyjemnością życia, — wszelkich innych odmawiają sobie, prócz — kapitalizowania. Tak jest, chociaż bardzo mało wydają i potrzebują, starają się zarabiać ciągle i składają grosz do grosza, a jak zarobią tyle, ile sobie postanowili, wówczas idą do Medinet-el-Nebi, to jest do Medyny, miasta położonego w zachodniej Arabii, w którym prorok Mahomet życie zakończył i w którym snem wiecznym spoczywa. Wówczas prowadzą życie wygodniejsze, ubierają się czysto, palą fajkę i piją kawę, czego sobie teraz odmawiają, chyba, że ich się gwałtem do tego zmusza.

Zbliżamy się do góry, nad którą wznosi się słońce prawie pionowo. Okolica stała się bardzo nagą i suchą jest ona. Przed nami pasmo gór niewysokich, których kształt i wysokość podobna chyba do tak zwanych *montagnes pouilleuses du Jura*. Jest to opoka, bez drzew i prawie bez żadnej roślinności, jest to szereg jednostajny pagórków okrągławych, łysych, gołych, nagich, rozpękniętych, oskorupiałych. W dolinach, tu i owdzie, zboże, tu i owdzie, trawa, lecz nie jest to już ziemia pulchna Saronu, jest to grunt skalisty, ma-

ło wydający, na którym ziarnko wyda najwięcej siedm. Cały ten kraj zamieszkiwali dawniej owi sławni Dannici, których naczelnikiem był kiedyś silny Samson. Wiemy z księgi Jozuego, że Dan dostał ostatnią część przy rozdzieleniu Kanaanu pomiędzy plemionami izraelskiemi, i, że ta część mu nie wystarczała, kusił się on o zdobycie nowego gruntu, na północy Palestyny. Ale tym czasem szło o to, żeby się zabezpieczyć od wtargnięcia ze strony Filistynów, tuż, tuż blizkich sąsiadów, i znalazł się ten, który umiał w potrzebie być mądrym jak wąż, i jadowitym jak żmija. A tym był Samson, syn Dana, który potem umiał sądzić swój naród jeszcze lepiej, jak każdy inny w Izraelu (Genesis XLIX, 16). Sądzić swój naród, znaczy panować nad nim.

Mijamy jakąś wiejską osadę, złożoną z kilkunastu chatek, tak nędznych, jak tylko mogą być chatki cygańskie, jak wszystkie te budy, są zaokrąglone w górze, a nie spiczaste, podobne raczej do ula. Oskoczyło nas mnóstwo dziatwy najzupełniej nagiej i nawet kilka wychudłych kobiet, prosząc o bakszysz, to jest nagrodę. Nigdy nie proszą giaura, żeby najdostojniej wyglądał, o jałmużnę, tylko o nagrodę, tak są dumni w swem ubóstwie. Mężczyzn nie widziałem w tym duarze.

— Gdzie się kryją mężczyzni? spytałem mego santona.

— Pracują gdzie w polu, lub w mieście Jaffa, — lub w Jerozolimie, lub też myszkują gdzieś, — odpowiedział arab z najzimniejszą w świecie krwią, jak gdyby myszkować nie znaczyło to samo co kraść, oder stehlen, etc., ale tutaj trzeba się przyzwyczaić do innych pojęć o prawie własności.

Niedaleko za tą osadą kraj przybiera cechy jeszcze większej nędzy, jeszcze większej dzikości, wstępujemy na właściwe parszywe góry, jak ich tu arabi nazywają. Tu już niema dolin, w którychby coś siać można, tylko są przepaście głębokie i ciasne, w które bardzo łatwo wpaść, a z których nic już nie wydostanie, drzewa już ani jednego, krzaki! wszędzie skała wyziera po za niemi. Wody nigdzie, — cienia nigdzie, — ślisko wszędzie, konie nie stąpają tylko, wyprężywszy

się na czworakach, ślizgają się, ze sztuką, godną najlepszych akrobatów. Okropnie siedzieć na takich koniach i patrzyć w przepaści. Ale wielbłądy stąpają na swych miękkich, szerokich stopach, i niema obawy patrzeć na ich nogi. Koń czasem runie ze swym jeźdzcem w przepaść, jak to się zdarzyło jednemu stolarzowi maltańskiemu, niedaleko ztąd, przed tygodniem, ale wielbląd postępuje tu z taką pewnością, z jaką postępuje w pustyni, krok za krokiem, po powierzchni nie szerszej, jak jego wielka stopa, wyrównywająca wielkości głowy ludzkiej. Najlepiej patrzeć w niebo, jak się jedzie nad przepaścią, „jeżeli zginiesz, to się przynajmniej Bóg nad twoją duszą ulituje,“— mówi Santon.

— A czy zlituje się nad duszą tych, co nie wierzą w Mahometa? spytałem Araba.

— Bóg jest najwyższą szlachetnością, tak, jak jest najwyższą dobrocią i mądrością, i wiele wybacza tym, co zwolennikom swego Wielkiego Proroka dobrze czynią, odpowie Arab, z wyrazem przekonania, a dobrze mówił po turecku, bo służył w wojsku lat dziesięć i przebiegł całą Turcyę europejską, gdzie nieraz był w styczności z europejczykami.

Słońce zaczęło dokuczać niemiłosiernie swemi ognistemi, ostremi, pionowemi promieniami,— były to raczej dzidy, w ogniu rozgrzane. Nawet Azzima schroniła głowę pod burnus, a biedny Anglik, chociaż wytrzymały, bladł, chylił się i ciągle się trzeźwił, wąchając kwas octowy.

— Chyba nie wytrzymamy dłużej, — mój przyjacielu.

— Jeszcze tylko półgodzinki, — a staniemy na wierzchołku pasma, gdzie cień znajdziemy, rzecze arab, intonuje swój wieczny, lamentowy recitativ i bieży w górę nieobracając twarzy, która mu się nie pociła, tak już skóra na niej zgrubiała.

— Tu cienia niema, a na wierzchołku góry ma być cień,— mówię głośno sam do siebie,— niewierząc Arabowi.

Dopiero po kwandransie czasu odpowiada mi:

— Tam na grzbiecie jest dawny Kizial-Yearim, granica pomiędzy Danem i Judą.

I ta mnie nie zadowolniła odpowiedź: Kizial-Yearim znaczy miasto leśne, widzę grzbiet pasma, a nie widzę drzewa. Nieśmiem już przerywać recitativum araba i Boga proszę o cierpliwość; teraz góra staje się bardzo spadzistą, lecz szeroką, — przepaści nie ma ani na prawo, ani na lewo.

— Zejdźcie raczej z koni, pójdziemy pieszo, wnet będziemy u celu.

Zstępujemy z koni nie bez trudności, — mnie arab zsadzać musi, niebyłbym się z razu mógł utrzymać na nogach, — w jednej ból, w drugiej zupełna niemoc. Musiałem leżąc przyjść do siebie. Lecz konie nasze, pozbywszy się nas, pobiegły rączo w górę i znikły nam wkrótce z oczu za zakrętem skalistym. Za niemi poszły wielbłądy, Azzima chciała wstrzymać swojego, lecz nie zdołała, niechciał wielbłąd usłuchać. Zaczęła płakać, aż jej Arab przytrzymał bydle. Potem Mukr, to jest masztalerz, posługacz koni i wielbłądów, wziął mnie silnie pod pachę z arabem i prawie mnie unieśli z sobą w górę. Po kwandransie, za dwoma zakrętami drogi, stajemy u góry i mamy przed sobą prawie okrągłą, obszerną dolinę, czyli raczej olbrzymią kotlinę, w którą stacza się ze strony wschodu, strużka wody, i w której dole zieleni się drzew oliwnych kilkanaście, parę drzew figowych i krzaków jałowcu, bukszpanu i genisty kilkadziesiąt.

Oto wszystko, co pozostało z bogatego Kizial-Yearim, w którym arka przymierza była przechowaną za Samuela, aż do wzięcia Jerozolimy przez Dawida.

Kilka chatek i kilkanaście drzew oliwnych, nic więcej w miejscu, gdzie kiedyś tysiące żyło ludzi, gdzie spadało siedm rzek w dolinę i czasem zalewało domy.

Lecz i to było Edenem dla nas, tak znużonych, jak nigdy w życiu, — tak przynajmniej każdy z nas zaręczał.

Tak nam smakowała woda bez żadnego przydatku, broń Boże! bylibyśmy wzgardzili najlepszym szampanem.

Roztasowaliśmy się pod drzewami i to na całe cztery lub pięć godzin. Podróżowaliśmy od czwartej

do dziesiątej—wyruszamy o trzeciej, o ósmej jesteśmy w Jerozolimie, ztąd bowiem prawie ciągle schodzimy.

Wszystkie dzieci i z piętnaście kobiet, z których żadna nie była ani piękną, ani ładną, ani przyjemną, zlecieli się do nas i wymagali nagrody.

Kobiety i dzieci rzucały się na nasze bagaże, dotykali się wszystkiego, nawet naszych koszul, których podziwiały białość, — wkładały nam ręce do kieszeni.

— Hamel—El Hadżi!—biegnij po Szeika i zaproś go na kawę, — niech przyjdzie natychmiast pocałować firman sułtański,—rzekłem do Araba przewodnika.

— Hameel — el Hadżi — przetłómaczył rozkaz otrzymany na arabski język i tem zmusił owe natrętne, bezwstydne damy, do odwrotu natychmiastowego; pozostały dzieci, które teraz Azzima trzymała rózgą w klubach przyzwoitości.

Szeik przybiegł,—był to stary, brodaty, jednooki rozbójnik, z kilka razy skaleczoną, jeszcze niezabliźnioną twarzą. Uprzedził mnie o tem Hammel, że jego fizjonomia nie wywrze na mnie miłego wrażenia, tak łotrowskiej nie spodziewałem się jednakże po szeiku, po najlepszym człowieku z dua u, jakim przecie naczelnik być powinien.

Zaimponowałem mu jednakże moim białym burnusem z złotym rękawem, moim turbanem z ogromnym złotym kutasem i z gwiazdą, świecącą fałszywemi dyamentami, kindżałem suto oprawnym i miną, wyrażającą dobroć, lecz zarazem i nieubłaganą surowość.

Przypuściłem go do ucałowania mojego firmanu, lecz spostrzegłem się, że to wykonał z udaną tylko pokorą, i że zergał ślipiem na moje bagaże i na Azzimę, która mu się, staremu łotrowi, widocznie spodobała. Niespokojność wstąpiła mi w serce, wątpiłem, czy wpływ mojego santona wystarczy na pohamowanie chciwości tak oczywistego łotra. Przyjął jednakże fajkę i kawę, jako rękojmię przyjaźni i odpędził dzieci, które mi tymczasem pochłonęły dwa bochenki chleba.

Z dalszej obawy wybawiło mnie przybycie kilkunastu zbrojnych marynarzy austryackich, z okrętu marynarki Ces. król. Austryacko-Węgierskiej, który wi-

dzieliśmy w przystani Jaffy. Byli to prawie wszyscy Dalmaci i Istrianie i mówili z sławiańska, a dwaj oficerowie mówili dobrze po niemiecku i włosku. I oni także zmierzali do Jerozolimy,—w jednym dniu tę podróż odbyć zamyślili i zamiaru tego dokonali,—naprzemian pieszo i konno. Są to dzielni ludzie. Jednego pamiętnego zwycięztwa pod Lissą wspomnienie zrobiło z nich wszystkich coś dzielnego: armia lądowa tego ducha nie ma. Sadowa brzęczy jej ciągle nieprzyjemnie w uszach, nie może się pozbyć tego niemiłego dźwięku, zdaje się jednakże, że ten krzyk raczej ją zbliża do szczerze niemieckiego żywiołu. Spaść z dobrego konia nie jest tak wielkim wstydem, a z takiego, z którego spadł i francuz, to prawie jest zaszczytem.

Dość, że z oficerami marynarki i z niezawodnym kapelanem, Czechem z rodu, który znał dobrze mój język sławiański, dwie ostatnie butelki cypriaka zostały najsolenniej wypite na zdrowie przyszłego zjednoczenia wszystkich dobrych chrześcian.

Wyspawszy się godzin kilka, puściliśmy się w dalszy pochód, z lżejszem sercem, muszę bowiem szczerze przyznać, że, nawet pod austryackiemi karabinami, czułem się bezpieczniejszym w kraju, w którym tacy panowie Szeikowie rej wodzą.

Czy to spustoszenie doliny, dawniej tak żyznej, to zupełne wysuszenie jeziora, kiedyś tak rybnego, to zniknięcie zupełne kilku źródeł, ciągle wody dostarczających, pochodzić może li tylko z niedbalstwa ludzkiego, czy też w skutek klątwy, tak uroczyście rzuconej przez samego Boga, Twórcę wszystkiego, co jest i będzie na świecie? Oto pytanie, które niejednego zajmowało i różnie było rozstrzygane.

Dla mnie widok Kiriad-Yarimu był dostatecznym: mogliż ludzie zatkać źródła, wysączyć jeziora? żadna siła ludzka tego dokonać niezdoła, — kataklizm ogólny nastąpił tu prawie od razu, nie był przewidzianym przez nikogo, prócz Chrystusa, i nastąpił w skutek zasłużonego przekleństwa. Ziemia Palestyny jest dla tego świętą, że jest przeklętą, że na niej ziściły się skutki gniewu Boga, obrażonego na lud tak niewdzięczny, jakim się żaden inny nie okazał.

Z drugiej strony, ze wschodnio północnej pasma gór Efraim, kraj jeszcze jest brzydszym, szpetniejszym i więcej nagim. Znów wchodzimy pomiędzy przepaście, po drogach śliskich jak lód, wężykowatych i ciasnych. A przecież przez te góry niegdyś Salomon przeprowadzał olbrzymie cedry i głazy tytaniczne, z których stawiał świątynię i pałace, i w niektórych miejscach znać dobrze, że tu prowadziła niegdyś droga szeroka, dobra, po której za pomocą, choćby stu wołów, można było sprowadzić największe grubego i długiego rozmiaru ciężary. Tu pękały skały pod nogami podróżnych, tworzyły nieprzebyte przepaści i zawierały rzeki, potoki i strugi skalistemi zaporami. Tu niemiał pozostać ani dom, ani ogród, ani rzeka, ani jezioro, ani nawet wierzchołek gór, ani gruntu urodzajnego ślad najmniejszy,— taki był rozkaz, i wykonanym został nieubłaganie. I wiele ludzi pozostało pogrążonych w otchłani, wszelkie styczności ze światem zostały przerwane i samym sobie pozostawieni ludzie, wymierali, aż też nakoniec przeniesieni zostali licznemi chmarami w najodleglejsze strony świata tak, że i nam na północy dostało się ich kilka milionów, ad majorem humanitatis in commodum.

Ów strzelisty upał zaczął nareszcie ustępować, ustąpił wkrótce zupełnie—schodzimy, wchodzimy, znów schodzimy,—później prawie zawracamy,— raz widzimy słońce z tej, drugi raz z innej strony, często bardzo nie widzimy go wcale;—już też i nudno i znów znużenie,—jeszcze raz w górę, potem na dół—aż naraz....

Panie Boże Wielki, jesteśmy pod Jerozolimą,— widzę Maryi, widzę kościoła św. Grobu wysokie kopuły, widzę górę oliwną, widzę wieże Dawida, oglądam wysokie, warowne, zębate mury Jerozolimy!

Zatrzymuję konia, z głowy zdzieram turban, wszelkie znużenie w jednej chwili ustępuje wzruszeniu, łzy mi występują rzęsiste w oczy i przejmują mi widok. Ścieram je, kryjąc moje wzruszenie, lecz widzę, że i inni, że wszyscy, temiż samemi wzruszeniami miotani, płaczą w swe wąsy i brody. Oh Tasso miał słuszność: lacrime, rotti singulti, angoscia e gisia nel cuor! Patrzę na Jerozolimę, jak dobry syn na dawno

niewidzianą zestarzałą matkę — mam w sercu radość, a duszę mi rozrywa litość, bo jej oczy zaklęsłe, jej lica zwiędłe! Otóż miasto, które tak kochał Jezus, że w niem zapomniał Matki i domu, i pozostał zachwycony w jej świątyni! Otóż miasto, w którem Ten najmilszy, najsłodszy z wszystkich Jestestw świata, cierpiał za ludzkość, za grzechy wszystkich ludzi i za moje własne grzechy!

Azzima płakała także jak małe dziecko, głosem i łzami i zbladła, wyciągając ręce ku miastu.

Azzima sama siebie ochrzciła: jest chrześcianką! Jeruzalem! dokazujesz cudów!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.